

15 SIERPNIA WIARA NA GORĄCO | PIERWSZE TAKIE ŻNIWA | GAŚNIE PAŃSTWO
POLECIMY NA NEPTUNA | AL-KAIDA PO PRZEJŚCIACH | ELITARNE DISCO POLO
WSZYSTKIE KRAŃCE ŚWIATA | MARIA MOCY PEŁNA **WCZYTAJ SIĘ W LATO**

TYGODNIK POWSZECHNY

Kraków 14 sierpnia 2022 | nr 33 (3814)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

WYDANIE SPECJALNE

Kraków 17 sierpnia 2022 nr 2-3 (22-23)
cena 28 zł (w tym 8% VAT)

ciało się udało



**UPRAWIA SPORT I JE, PRZEŻYWA ROZKOSZ
I PRACUJE, MENSTRUUJE I RODZI,
ŚNI I MEDYTUJE, JEST ROZBIERANE I UBIERANE,
STARZEJE SIĘ, UMIERA
I MARZY O NIEŚMIERTELNOŚCI...**



bella cialo!

KUP!

WYDANIE SPECJALNE

DOSTĘPNE OD 17 SIERPNIA

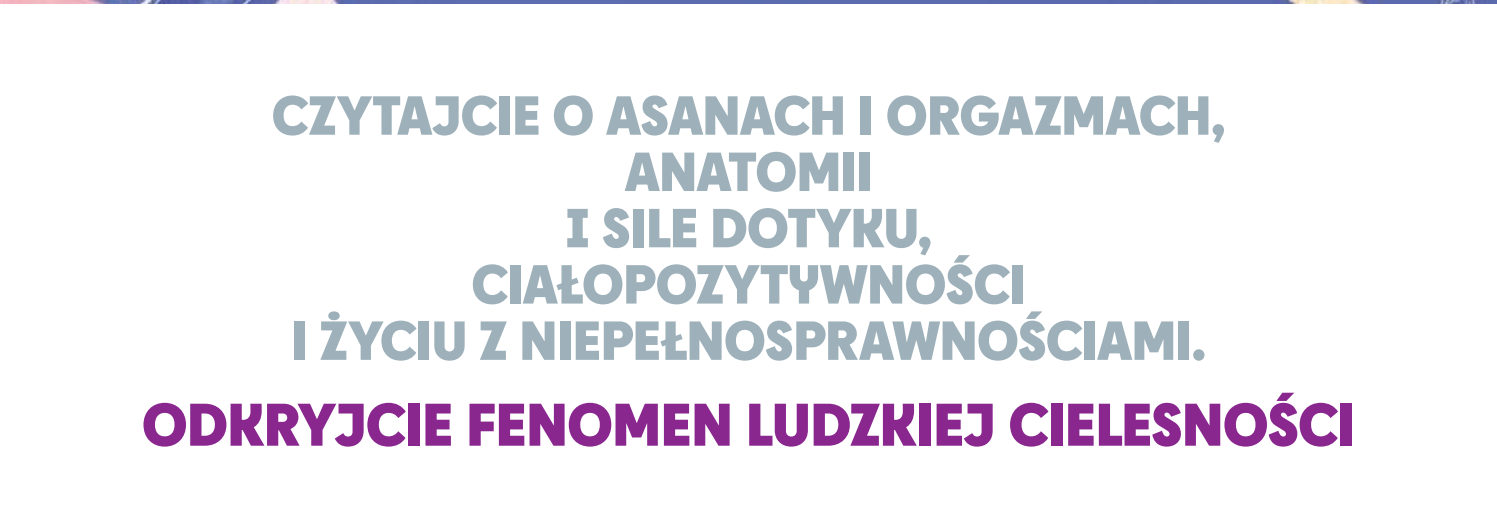
**-> W NAJLEPSZYCH MIEJSCACH
Z PRASĄ**

ZAMÓW!

**Z GRATISOWĄ PRZESYŁKĄ
W PRZEDSPRZEDAŻY**

-> NAPISZ NA

ZAMOWIENIA@TYGODNIKPOWSZECHNY.PL



**CZYTAJCIE O ASANACH I ORGAZMACH,
ANATOMII
I SILE DOTYKU,
CIAŁOPOZYTYWNOŚCI
I ŻYCIU Z NIEPEŁNOSPRAWNOŚCIAMI.**

ODKRYJCIE FENOMEN LUDZKIEJ CIELESNOŚCI

26 Prastare i jare**ANDRZEJ MUSZYŃSKI**

*Sąsiad nauczył mnie, jak bez maszyn,
zachowując rytm kroków i układ palców
dłoni, wysiać ziarno w odpowiedniej gęstości.
Zasiałem, teraz zbieram.*

**30 Maria mocy
pełna****ROZMOWA****Z PROF. ELŻBIETĄ
ADAMIAK,****TEOLOŻKĄ:**

*Maryja to symbol
niezgody na
porządek społeczny,
w którym kobiety są
dyskryminowane.*

**40 Egipski łącznik i przyszłość
dżihadu****WOJCIECH JAGIELSKI**

*Śmierć Ajmana az-Zawahiriego, następcy Osamy
ibn Ladina, to kres pewnej epoki w dziejach dżihadyzmu
– lecz nie jego definitywny koniec.*

**58 Kosmos w erze
Webba****SEBASTIAN****J. SZYBKĄ**

*Jakość zdjęć, które
przesyła na Ziemię
teleskop Webba,
chwilowo odwróciła
uwagę od głównego
celu istnienia tego
precyzyjnego
instrumentu.*

64 Portret z kozami**KAJETAN
PROCHYRA**

*Dla artysty
najgorszą rzeczą
jest stanąć
wysoko i jeszcze
dyndać – mówi
Mikołaj Trzaska,
saksofonista,
klarnecista,
kompozytor
muzyki filmowej.
Artysta totalny.*

**78 Zatoka Akaba****MICHAŁ
MILCZAREK**

*Jestem na
wakacjach
niemożliwych.
Wakacjach, które
nie są w pełni
wakacjami,
bo nie mogą
być. Zepsute.
Nie rabotajet.*

6 Tajwan: granie z ogniem
PIOTR BERNARDYN

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia

MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

20 Kraj o zmierzchu

MARCIN KĘDZIERSKI:
*Institucje państwa coraz częściej
przegrywają w konfrontacji
z rynkiem*

24 Wiatr w oczy

PIOTR WÓJCIK *o narastającej
fali frustracji pracowników
budżetówki, lekceważonej zarówno
przez rząd, jak i obywateli*

26 Prastare i jare

ANDRZEJ MUSZYŃSKI

■ ■ **WIARA**

30 Maria mocy pełna

ROZMOWA
Z PROF. ELŻBIETĄ ADAMIAK

34 Warsztaty wstawania z kolan

MARCIN CHODUŃ *o zakonnicy,
która udowadnia ofiarom
wykluczenia, że Bóg się nimi nie
zmudził*

37 Więcej Boga, więcej strzelb

AGNIESZKA PISKOZUB-PIWOSZ:
*Dekalog i druga poprawka – jak
Ameryka połączyła wiarę
z prawem do posiadania broni*

■ ■ **ŚWIAT**

**40 Egipski łącznik i przyszłość
dżihadu**

WOJCIECH JAGIELSKI

**44 Naszym zadaniem było nie
umrzeć i to się udało**

PAWEŁ PIENIAŻEK Z CHARKOWA
I KIJOWA: *Jak mieszkańcy
Charkowa uczą się żyć w ciągłym
zagrożeniu*

TEMAT TYGODNIKA



12 Jak się włamać do ich dusz

EDWARD AUGUSTYN

Czym jest dziś religijność ludowa?

Czy nadal jest domeną wsi?

Odpowiedzi na te pytania najlepiej poszukać
wędrując w sierpniu drózkami
Kalwarii Zebrzydowskiej.

■ **FELIETONY** ■

39 WOJCIECH BONOWICZ

76 JAN KLATA 77 PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA:

PORTISHEAD1/GETTY IMAGES

Redaktor prowadzący: MAREK RABIJ

47 Kosowo: gry eskalacyjne

MARTA SZPALA: *Incydent
polityczny w Kosowie przerodził
się w pogłoski o początku nowej
wojny na Bałkanach*

48 Pieśni z przeszłości

DAMIAN NOWICKI *o zaginionych
językach Ameryki Południowej*

51 Republika marzeń

KACPER DZIEKAN:
*Jak uchodzić z Białorusi ułożyli
sobie życie w Polsce*

■ ■ **HISTORIA**

54 Jaśnie oświecony łotr

PIOTR SAUTER-ZAWADZKI
*przybliża postać Adama
Ponińskiego, jednego
z architektów pierwszego
rozbioru Polski*

■ ■ **NAUKA**

58 Kosmos w erze Webba

SEBASTIAN J. SZYBKĄ

61 Misja dla Szekspira

WOJCIECH BRZEZIŃSKI:
*Amerykanie i Chińczycy myślą
o wysłaniu sond kosmicznych
w pobliże Urana i Neptuna*

■ ■ **KULTURA**

64 Portret z kozami

KAJETAN PROCHYRA

68 I tupała nóżką bosą

DARIUSZ KOSIŃSKI: *Czy disco
polo może być sztuką elitarną?*

72 Po młodości

JAKUB MAJMUREK:
*Narracyjna doskonałość serialu
„Yellowjackets”*

74 Tragedia na tapecie

ANITA PIOTROWSKA
*o filmie „Głupcy” Tomasza
Wasilewskiego*

■ ■ **WAKACJE**

78 Zatoka Akaba

MICHAŁ MILCZAREK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➤ **Rosyjska ruletka**

Kreml zapewnia o słusznej linii polityki wobec Ukrainy.
Z wierzchu – pozór spokoju – ANNA ŁABUSZEWSKA pisze o tym,
co dziś dzieje się w Rosji | tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

➤ **Własny pokój [Podkast Powszechny]**

Czuję się wolną kobietą. Wyjątkiem są momenty, kiedy ogarnia
mnie lęk. Ale moją domyślną funkcją jest poczucie wolności
– opowiada NATALIA DE BARBARO | tygodnikpowszechny.pl/podkast

Serwisy specjalne: patrz szerzej

GOSPODARKA TRZESZCZY

Wojna, waluty i inflacja: co nas czeka?

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/GOSPODARKA

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



TAJWAN: IGRANIE Z OGNIEM

Eskalacja konfliktu na Dalekim Wschodzie może osłabić zainteresowanie Stanów Zjednoczonych Ukrainą oraz zacieśnić współpracę Chin z Rosją.

PIOTR BERNARDYN

FOTOGRAFIA POCHODZI Z 1991 ROKU – KONGRESMENKA Nancy Pelosi stoi na placu Tiananmen z banerem: „Dla tych, co umarli za demokrację w Chinach”. Incydent, zakończony interwencją policji, wywołał wówczas drobne spięcie między Waszyngtonem a Pekinem. Dziś reakcja Pekinu na zachowanie tej samej polityk rodzi dużo poważniejsze konsekwencje.

Poszło o wizytę Pelosi, obecnie spikerki Izby Reprezentantów, na Tajwanie, która wywołała wściekłość chińskich władz. Pekin uznaje tę wyspę za swoją, a pobyt tutaj polity-

ka numer trzy w hierarchii władzy USA określił jako naruszenie chińskiej suwerenności. „Jeśli odważy się przyjechać, to poczekajcie, a zobaczycie” – wygrażało chińskie MSZ.

4 sierpnia, po zakończeniu jednodniowego pobytu Pelosi w Tajpej, Chińczycy rozpoczęli największe dotąd manewry wojskowe w pobliżu Tajwanu. Wokół wyspy utworzono sześć stref, wyłączając je z cywilnego ruchu na wodzie i w powietrzu; ćwiczenia obejmują tu całkowitą blokadę tajwańskiego terytorium oraz symulację jego inwazji. Z jedenaśtu odpalonych rakiet jedna przeleciała nad

*Na lotniskowcu
USS Ronald
Reagan, Morze
Południowochińskie,
2 sierpnia 2022 r.*

Tajwanem, a pięć innych wylądowało w japońskich wodach – oba przypadki nie mają precedensu. Oprócz presji wojskowej, riposta Pekinu objęła też embargo na tajwańskie produkty, przerwanie rozmów z USA na temat klimatu i obronności oraz sankcje na Pelosi i jej rodzinę. W sobotę nadeszła jeszcze informacja o zagadkowej śmierci tajwańskiego eksperta od wyrzutni rakietowych.

Wizytę Pelosi poparła większość kongresmenów USA, bardziej wstrzemięźliwie wypowiadają się za to eksperci oraz część mediów, pisząc nawet o jej „beźmyślnej brawurze”. Prezydent Biden powstrzymał się od osobistego komentarza, zaznaczył jednak, że wojsko wyraziło swój sceptycyzm. Podczas rozmowy telefonicznej tłumaczył Xi Jinpingowi, że nie może wydawać poleceń władzy ustawodawczej, którą Pelosi reprezentuje. W odpowiedzi usłyszał, że „kto igra z ogniem, ten spłonie”.

Krytycy mówią, że 82-lletnia Pelosi gra na siebie – chce zakończyć publiczną działalność w glorii orędowniczki chińskiej demokracji i praw człowieka. Jej obrońcy powiedzą, że jest w tym konsekwentna. Od incydentu na Tiananmen u progu kariery spotykała się z Dalajlamą i chińskimi dysydentami, wspierała protesty w Hongkongu, była też za bojkotem obu pekińskich igrzysk. Dziś mówi, że jej podróż miała być wyrazem podziwu i wsparcia dla demokracji Tajwanu, chciała też dodać otuchy mieszkańcom wyspy. Większość z nich witała ją ciepło, na ulicach dało się też jednak dostrzec przeciwników wizyty, choćby z plakatem „podpalaczka”.

Przytakując pryncypiom Pelosi, wątpliwości budzić może jednak czas tej wizyty. Xi Jinping, szykujący się do objęcia trzeciej kadencji, musiał wszak zareagować twardo na „ingerencję obcych”. Teraz łatwiej mu też odwrócić uwagę społeczną od problemów wewnętrznych – w gospodarce i walce z covidem. Z drugiej strony eskalacja konfliktu na Dalekim Wschodzie może osłabić zainteresowanie Stanów Zjednoczonych Ukrainą oraz zacieśnić współpracę Chin z Rosją. Zadaniem wojskowych powinno być dziś raczej dozbrajanie Tajwanu, bez fanfar, uczynienie z wyspy naszpikowanego bronią „jeżozwierz” oraz szkolenie miejscowej armii. Wyzwaniem pozostaje też uniezależnienie tajwańskiej gospodarki od chińskiego rynku.

Chińczycy nie są wciąż zapewne gotowi na militarny podbój wyspy. Cel stanowi raczej wzmożone nękanie jej mieszkańców oraz straszenie sojuszników Stanów Zjednoczonych w regionie. Zwolennicy Nancy Pelosi twierdzą, że jej podróż łamie chęć izolowania Tajwanu i że wrota do kolejnych wizyt wysokiej rangi zostały otwarte. Opinie te pochodzą jednak z czasu, zanim poznali skalę chińskiego odwetu. ©

Pracownicy powiedzieli szefom: „dość”

MAREK KĘSKRAWIEC



CIOS PRZYSZŁEŁ Z NIEOCZEKIWANEJ strony. Nie od PiS-u, straszącego sieć Biedronka inspekcją pracy za jawną pogardę dla ustawy o ograniczeniu handlu w niedziele. Decydujące uderzenie wyprowadzili sami pracownicy sieci i związkowcy Solidarności, którzy sprzeciwili się swoim przezesom. Supermarkety Biedronki nie będą więc otwarte w każdą niedzielę pod pozorem działalności kulturalnej, czyli prowadzenia wypożyczalni książek.

Można oczywiście żartować, że w kraju, w którym tylko 38 proc. ludzi przeczytało w ciągu roku jedną książkę, każda taka inicjatywa jest dobra. Nawet jeśli nie ma nic wspólnego z troską o stan umysłu Polaków, a jest produktem ubocznym pogoni za zyskami, premiami i dywidendami. Niemniej w sprawie Biedronki chodzi o poważne rzeczy: o słabość państwa, nieumiejętność tworzyć skutecznego prawa, które obywatele chcieliby szanować. A nie zgadzając się z nim – lobbować za zmianą, zamiast po cwaniacku je obchodzić.

Kiedy w 2018 r. wprowadzano, a dwa lata później zaostrano przepisy o niedzielnych handlu, słyszeliśmy mroczne przepowiednie, jak to spadną firmom zyski, i jak wielu pracowników pójdzie w konsekwencji na bruk. Oka-

zały się fałszywe. Zdecydowana większość sieci handlowych dała sobie radę także z pandemią. O tym też warto pamiętać.

W Europie nie ma jednej reguły. W większości państw Unii w niedziele handluje się swobodniej niż w Polsce, ale w kilku innych krajach, np. w Niemczech i Austrii, ograniczenia są dużo bardziej restrykcyjne. Nikt tu jednak nie mówi o „końcu wolności”.

W czasach, w których wielu z nas żyje w stresie, cierpi na chroniczne zmęczenie, a relacje z bliskimi coraz częściej bywają zaburzone i naskórkowe, przywrócenie podstawowego sensu dnia bez pracy staje się cywilizacyjnym wyzwaniem. Zwłaszcza gdy słyszymy takie argumenty: „haruję cały tydzień i nie mam poza niedzielą czasu na zakupy, a zakaz handlu godzi w moją wolność wyboru”. Ja to czasem czytam jak: „zamieniłem swoje życie w więzienie, więc inni też mają cierpieć. Niech stoją za kasą, zamiast marnować czas z rodziną”. Czy naprawdę musimy biegać po galeriach akurat w niedzielę albo zapełniać wtedy lodówkę? A poza tym nie przesadzajmy: co to za zakaz handlu, skoro zawsze możemy znaleźć w okolicy sklepik, jeśli już naprawdę musimy coś kupić. Przepraszam, nie sklepik, pocztę. ©©

Na pomoc Ukrainie wydaliśmy 10 miliardów

RAPORTY O SKALI WSPARCIA dla uchodźców z Ukrainy opublikowały Polski Instytut Ekonomiczny i zrzeszająca 12 największych miast w kraju Unia Metropolii Polskich. Z obu wynika, że w pomoc zaangażowało się 70 proc. dorosłych Polaków. Najchętniej przekazywaliśmy jedzenie i ubrania albo wpłacaliśmy pieniądze – w sumie 10 mld złotych z prywatnych portfeli przez trzy miesiące wojny (to dwa i pół raza więcej, niż wydaliśmy na wszystkie cele dobroczynne w całym 2021 r.). Kolejne 16 mld złotych poszło z pieniędzy publicznych, co podważa popularną tezę, jakoby państwo całą odpowiedzialność zrzuciło na obywateli.

Według raportu PIE najchętniej pomagali ludzie z wyższymi pensjami, ale nawet wśród najslabiej zarabiających zaangażowało się 74 proc. osób. Połowa deklarowała pomoc zarówno na początku wojny, jak i kilka miesięcy później. Teraz gotowość do niej spada, bo coraz mocniej boimy się o własne finanse, niektórzy Polacy uważają też, że wypełnili już swój obowiązek wobec Ukraińców.

Uchodźców pod swój dach przyjęło 3 proc. mieszkańców największych miast. Ugościli 525 tys. osób (najwięcej, bo ponad 100 tys., we Wrocławiu i Warszawie). Eksperci UMP podkreślają jednak, że większość znalazła schronienie w mieszkaniach Ukraińców od dawna mieszkających w Polsce. To pokazuje, jak ogromna była skala często niedocenianej ukraińskiej samopomocy.

©© KRZYSZTOF STORY

Wywiad w ręce kontrwywiadu

DO DYMISJI podał się szef Agencji Wywiadu Piotr Krawczyk. Rezygnacja została wymuszona przez tajemniczą śmierć Andrzeja I., którego firma na początku pandemii podpisała kontrakt na import 1241 respiratorów. Ponad tysiąc z nich nigdy do Polski nie dotarło, a straty oszacowano na 50 mln zł. Pozytywną opinię jego firmie E&K wystawiła właśnie Agencja Wywiadu, ale wtedy jeszcze jej szefowi się upiekło. Nie przetrwał ostatniej kompromitacji – Andrzej I. umarł w Albanii, jego ciało krewni sprowadzili do Polski, po czym skremowali je i pochowali. W identyfikacji zwłok nie uczestniczył nikt z Agencji, są więc wątpliwości, kto leży w grobie (ustalenie tożsamości na podstawie popiołu jest niemożliwe).

Z naszych informacji wynika, że to niejedyny powód dymisji Krawczyka. Koordynator służb, Mariusz Kamiński miał do niego również pretensje o niezbyt aktywne działania w czasie głośnych protestów na Białorusi, a także o sprawę oddania w ręce Rosjan informatora, który zgłosił się do naszej ambasady w Moskwie z rzekomo cennymi informacjami o katastrofie smoleńskiej.

Następcą Krawczyka ma być płk Bartosz Jarmuszkie-wicz, czyli obecny wiceszef ABW. Można to odebrać jako swoiste wotum nieufności dla całego obecnego kierownictwa wywiadu. Porządkować ma go bowiem oficer kontrwywiadu, który zajmował się nim jeszcze w czasach Urzędu Ochrony Państwa.

©© MAREK KĘSKRAWIEC

Czym zastąpić gaz z Rosji

UNIA EUROPEJSKA kupuje od Moskwy ok. 155 mld metrów sześciennych gazu, co stanowi niemal 40 proc. rocznego importu do krajów Wspólnoty. Część państw swój miks energetyczny wręcz oparła na dostawach z Rosji, co czyni je teraz bezbronnymi wobec szantażu energetycznego. Unijna inicjatywa ograniczenia konsumpcji błękitnego paliwa o 15 proc. to rozwiązanie tymczasowe. Wspólnota musi szybko znaleźć inne źródła energii.

W lipcu Komisja Europejska podpisała umowę z Azerbejdżanem, która przewiduje zwiększenie dostaw gazu z tego kraju z 8,1 mld metrów sześciennych (tyle sprowadzono w zeszłym roku) do 12 mld w tym roku i docelowo – 20 mld do 2027 r. Także w lipcu urzędnicy z Brukseli rozpoczęli rozmowy w sprawie zwiększenia importu z Nigerii. W 2021 r. kraje Unii sprowadziły stamtąd 23 mld metrów sześciennych gazu, co stanowiło 14 proc. europejskiego importu w płynnej formie LNG. W przyszłym roku Unia mogłaby podwoić zakupy w Nigerii, gdyż pod koniec sierpnia władze tego kraju zamierzają uruchomić ponownie gazociąg Trans Niger, który biegnie do Morza Śródziemnego.

Zwiększeniu uległy również dostawy gazu LNG z USA. W czerwcu Amerykanie sprzedali Europie blisko 5 mld metrów sześciennych tego surowca – ponad dwa razy więcej niż jesienią ubiegłego roku. Po raz pierwszy w historii dostawy gazu z USA były wówczas większe od importu z Rosji, który Moskwa zaczęła zmniejszać.

©© MAREK RABIJ

KRAJ W SKRÓCIE

KABARET

W czasie, gdy media społecznościowe pełne są cytatów ze skeczu kabaretu Neo-Nówka, tzw. życie publiczne dostarcza ekscytacji nie tylko satyrykom. O „animalizacji życia publicznego” mówi np. Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla „Sieci”. „Nasi wrogowie zawsze chcieli Polski prymitywnej, wulgarnej, odrzucającej kulturę” – wywodzi lider PiS, dodając, że taką właśnie Polskę buduje na niemieckie zamówienie Donald Tusk, Niemcy zaś walczą „o realizację konstrukcji niemiecko-rosyjskiej, która dałaby im pełnię władzy w Europie z jakimś niewielkim udziałem francuskim”.



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

KANONADA

Polskę w najbliższym czasie czeka zatem kolejne starcie z UE. „Będziemy stosowali taktykę »zab za ząb«” – zapowiada sekretarz generalny PiS Krzysztof Sobolewski (na zdjęciu), dodając, że kolejne próby ograniczania wypłat z Brukseli spotkają się z „wyciągnięciem wszystkich armat, które są w naszym arsenale” i odpowiedzią „ogniem zaporowym”.

KRUCHO

Byle tego ognia starczyło. Sejm przyjął wprawdzie ustawę przyznającą 3 tys. zł dopłaty gospodarstwu ogrzewanym węglem, ale poprawka Senatu, przewidująca wsparcie dla obywateli korzystających z innych źródeł ciepła, została odrzucona.

Bez szukania winnego

MAŁGORZATA SOLECKA



CORAZ GŁOŚNIEJ O SPORZE MIĘDZY ministrem zdrowia a lekarzami w sprawie tzw. systemu *no fault* (bez winy). O co chodzi? Podczas leczenia wszyscy życzymy sobie powodzenia, np. udanej operacji. Czasem jednak dochodzi do niepożądanego zdarzenia medycznego, co może oznaczać utratę zdrowia lub życia. W Polsce, podobnie jak w wielu krajach, rozpoczyna się wtedy, na ogół długotrwałe, ustalanie winnych. Pacjent lub jego bliscy czekają na werdykt sądów, a przewlekłość postępowań sprawia, że ten, kto ucierpiał, nie tylko nie może otrzymać odszkodowania, ale nierzadko traci resztki zdrowia. System nie stawia w centrum zainteresowania pacjenta, tylko błąd medyczny – wskazują organizacje pacjenckie.

Samorząd lekarski chce to zmienić. Postuluje, by wprowadzić – na wzór m.in. Szwecji – system „bez orzekania o winie”. Pacjent poszkodowany w wyniku niepożądanego zdarzenia medycznego otrzymywałby godziwą rekompensatę, a medykom (nie tylko lekarzom) gwarantowałoby się brak odpowiedzialności karnej (o ile nie doszło do działania umyślnego albo rażącego niedbalstwa). System, w którym błędy będą rejestrowane i analizowane, poprawi bezpieczeństwo, bo pracownicy ochrony zdrowia będą wiedzieć, czego unikać. Ci, którzy ucierpieli, zyskają szybką pomoc, a lekarze nie będą mieć poczucia niesprawiedliwości – ich praca polega przecież na ratowaniu życia, a to nie jest przestępstwo, z którego trzeba się tłumaczyć przed prokuratorem.

A o co lekarze toczą spór z ministrem? Adam Niedzielski obiecywał im wprowadzenie systemu *no fault*, ale pod wpływem ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry (który od lat prywatnie oskarża lekarzy o domniemane błędy popełnione podczas leczenia swojego zmarłego ojca) zmienił zdanie i teraz oferuje im jedynie nadzwyczajne złagodzenie kary. Pod warunkiem, że sami zgłoszą popełniony błąd. ©



MAHMUD HAMIS / AFP / EAST NEWS

ZAWIESZENIE OGNI zawarto po trzech dniach. Ale wcześniej co najmniej 44 osoby zginęły podczas najpoważniejszej eskalacji konfliktu izraelsko-palestyńskiego od czasu 11-dniowej wojny w maju 2021 r. Naloty na Strefę Gazy były według Tel Awiwu odpowiedzią na groźby ze strony Palestyńskiego Islamskiego Dżihadu; jednego z przywódców tej organizacji Izrael aresztował wcześniej na Zachodnim Brzegu Jordanu. Na zdjęciu: mieszkanka miasta Gaza, Palestyna, ogląda zniszczenia swojego domu spowodowane izraelskim nalotem, 8 sierpnia 2022 r. © P ZYM

Czy ukraińską armię można krytykować

MARCIN ŻYŁA



JEŚLI NIE MIESZKASZ W KRAJU, DO KTÓREGO wdarli się okupanci i rozrywają go na kawałki, to na pewno nie zrozumiesz, co to znaczy potępić armię obrońców. I nie ma słów, w żadnym języku, które mogą to przekazać temu, kto nie odczuł tego bólu. To słowa Oksany Pokalczuk, do minionego piątku szefowej ukraińskiego oddziału Amnesty International, która podała się do dymisji po tym, gdy centrala jej organizacji ogłosiła raport oskarżający ukraińską armię o celowe narażanie życia cywilów oraz łamanie praw i zwyczajów wojny.

Pokalczuk twierdzi, że długo usiłowała zapobiec publikacji dokumentu, ale nawet to nie uchroniło jej przed wpisaniem na internetową „listę wrogów narodu” jako „winnej odmawianiu Ukrainie prawa do obrony”. Jednym z pomysłodawców listy jest wysoki urzędnik MSZ, na co dzień opiekujący się w Kijowie zagranicznymi korespondentami. Pokazuje to skalę emocji i fakt, że w kraju szósty już miesiąc walczącym z rosyjskim agresorem o przetrwanie jakiegokolwiek krytyka armii jest w praktyce niemożliwa.

Sam raport Amnesty International na 231 stronach rysuje niejednoznaczny ob-

raz wojny. Zarzuca Ukraińcom gromadzenie oddziałów w pobliżu szkół i szpitali oraz przeprowadzanie ataków z obszarów gęsto zaludnionych, choć w kilku miejscach zastrzega: te naruszenia w żadnej mierze nie usprawiedliwiają ataków rosyjskich, w których giną ukraińscy cywile – oraz licznych rosyjskich zbrodni.

Amnesty skrytykowali prezydent Zelen-ski („anormalna wybiórność”) i szef MSZ Kuleba („fałszywa równowaga między przestępcami i ofiarami”). Mają prawo do takich słów, ponieważ toczą wojnę – i same te słowa są również jej elementem. Warto jednak przypomnieć, że pośród wielu innych rzeczy Ukrainę A.D. 2022 odróżnia od Rosji także to, że może uczciwie przyznać się do błędów. I nie zawsze – a na pewno nie w tym przypadku – oznacza to zrównywanie obrońców z atakującymi. Raport Amnesty nie jest elementem propagandy Krem-la – od 24 lutego organizacja opublikowała wiele innych, dokumentujących rosyjskie przestępstwa. Jeśli kiedyś niezawisłe ukraińskie lub międzynarodowe sądy będą skazywać winnych zbrodni w Buczy czy urbi-cydu Mariupola – także jej będą zawdzięczać część materiału dowodowego. © P

Jak premier Indii wynalazł szachy

MIĘDZYNARODOWA olimpiada szachowa w Cennaju to kolejna okazja do zaprezentowania światu nowoczesnej twarzy współczesnych Indii, a na lokalnym podwórku – również do korekty przeszłości w kierunku zgodnym z linią rządu Narendra Modiego. Media sprzyjające jego partii BJP na każdym kroku podkreślają więc pierwszeństwo czaturangi, indyjskiego przodka szachów, nad jej perskim rywalem, czatrangiem. W tak ukierunkowanym dyskursie wiadomo z góry, że skończy się gambitem – poświęcona zostanie prawda.

Czaturanga, znana w Indiach od VI wieku n.e., ma wiele wspólnego ze współczesnymi szachami, na czele z regułą, że zwycięża gracz, który najdłużej ocali króla. Nazwa wywodzi się z sanskrytu, oznacza coś o kształcie czworoboku, zaś sama gra umożliwiała rozgrywkę czterem osobom jednocześnie. Część historyków istotnie łączy ją z perskim czatrangiem, który mógł być jej rozwinięciem już w wersji dwuosobowej – choć zdaniem części badaczy rozwijał się on niezależnie od czaturangi. Aby jednak rozwiązać wszelkie wątpliwości co do pierwszeństwa, indyjskie media i tamtejsi politycy na wszelki wypadek datują teraz jej powstanie aż na I tysiąclecie p.n.e. Koronny dowód? Termin „czaturanga”, jako nazwa formacji bojowej, pojawia się w eposie „Mahabharata” traktującym o wydarzeniach z przełomu II i I tysiąclecia p.n.e. (choć spisany został ostatecznie dopiero w okresie guptyjskim, z którego pochodzą też pierwsze pisemne wzmianki o grze zwanej czaturangą).

„Nasi przodkowie wymyślili tę grę, żeby ćwiczyć umysły” – mówił premier Modi w czerwcu, odbierając osobście znicz, który miał trafić do Cennaju po odwiedzeniu po drodze kilkudziesięciu indyjskich miast. Szachy cieszą się dziś w Indiach wielką popularnością, ale olimpiada nie doczekałaby się tak hucznej oprawy, gdyby dla nacjonalistycznej BJP nie była też okazją do podkreślenia prymatu tradycji i kultury hinduskiej nad dorobkiem świata islamu, z którym szachy kojarzone są powszechnie w krajach Zachodu. Przemilczenie perskiego etapu w dziejach szachów jest też o tyle znamienne, że w indyjskiej tradycji wpływy perskie utożsamiane są z kulturą wysoką, nad którą działacze BJP przedkłada- ją tradycję ludową. © P MAREK RABIJ

Tłok na pątnicznych ścieżkach

PIERWSZA POŁOWA sierpnia to szczyt sezonu pielgrzymkowego. Wiele wskazuje, że w tym roku na Jasnej Górze liczba pątników powróci do stanu sprzed pandemii (nawet 200 tys. osób w zorganizowanych grupach). Pielgrzymowanie przybiera też nowe formy – w ostatnich dniach do Częstochowy dotarło osiem grup biegowych, przyjeżdżają też pielgrzymki rowerowe, konne i na rolkach.

Podobne jak Jasna Góra, popularne jest hiszpańskie sanktuarium w Santiago de Compostela, do którego w dniach 3-7 sierpnia przywędrowało 12 tys. młodych ludzi w ramach przełożonej o rok Europejskiej Pielgrzymki Młodzieży. Wyznaczenie dodatkowych 11 specjalnych tras niewiele pomogło – uczestnicy skarżyli się na tłok na szlakach, problemy z aprowizacją i noclegami, mieszkańcy Santiago narzekali na permanentny hałas.

Nowe formy pielgrzymowania to przykład zacierania się granic pomiędzy różnymi „aktywnościami duchowymi” i łączenia przeżyć religijnych z turystyką, sportem, ucieczką od cywilizacji. Camino de Compostela, ożywione po dwóch wiekach zapomnienia przez gen. Franco, przyciąga nie tylko katolików, ale też osoby innych lub żadnych religii, aktywistów ruchów kontrkulturowych, sympatyków New Age. Ich obecność na szlaku jest świadectwem pragmatyzmu Kościoła, który w otwartości na nietypowych pielgrzymów widzi szansę pozyskania nowych wiernych. Albo przynajmniej: zatrzymania odpływu starych.

© EDWARD AUGUSTYN



**DZIENNIKARZE
I AUTORZY
„TYGODNIA”** co

tydzień są gośćmi Grzegorza Chasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM | Siedlce 103,4 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

WYPADEK

5 sierpnia o 5.40 rano autobus z polskimi pielgrzymami do Medjugorja wypadł z autostrady w Chorwacji na północ od Zagrzebia. Na pokładzie było dwóch kierowców i 42 pielgrzymów z Mazowsza i Wielkopolski. Zginęło 12 osób, a 32 zostały ranne, w tym 19 ciężko. Trwa wyjaśnianie przyczyn katastrofy.

PODATEK

Według badań instytutu INSA 67 proc. Niemców opowiada się za zniesieniem obowiązkowego podatku kościelnego. Bp Gregor Hanke z Eichstätt ocenił, że „dobrze byłoby poszukać sposobów alternatywnego finansowania”.

Obowiązkowy podatek kościelny wynosi 8-9 proc. zobowiązania podatkowego, musi je płacić każdy wierny danego Kościoła. Kościół katolicki w Niemczech zanotował w ubiegłym roku rekord w liczbie apostazji: wystąpiło 360 tys. osób, w samej archidiecezji kolońskiej prawie 41 tys.

FAŁSZ

„Posiadanie i używanie broni jądrowej jest niemoralne” – przypomniał Franciszek z okazji trwającej w Nowym Jorku konferencji ONZ nt. Układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej z 1968 r. „Próba zapewnienia stabilności i pokoju poprzez fałszywe poczucie bezpieczeństwa i »równowagę strachu« kończy się zatrueniem relacji między narodami i utrudnia prawdziwy dialog” – napisał papież na Twitterze.

ASYSTENT

Watykański pielęgniarz Massimiliano Strappetti, który w 2021 r. nalegał na przeprowadzenie u papieża operacji uchyłków jelita grubego, został osobistym asystentem sanitarnym Franciszka. Papież uważa, że pielęgniarz uratował mu życie. 85-letni papież wymaga stałej opieki medycznej.

Chryste, fuzji pobłogostaw

MACIEJ MÜLLER



POŁĄCZENIE ORLENU I LOTOSU STAŁO SIĘ FAKTEM – OGŁOSIŁ 1 sierpnia prezes PKN Orlen Daniel Obajtek. Tego dnia w bazylice św. Brygidy w Gdańsku, jak doniósł „Fakt”, odprawiono mszę w intencji pomyślnej fuzji koncernów. Na bursztynowym ołtarzu symbolicznie połączono dwa krzyże, niegdyś poświęcone przez Jana Pawła II – gest miał symbolizować jedność firm. W przestrzeni medialnej słabo wybrzmiał osamotniony sprzeciw krakowskiego biskupa pomocniczego Damiana Muskusa. Przemawiając do pielgrzymów jasnogórskich, przypomniał on, że krzyż jest „najświętszym znakiem zbawienia, a nie symbolem udanej fuzji dwóch podmiotów gospodarczych”.

Eucharystia jest „źródłem, a zarazem szczytem całego życia chrześcijańskiego” – podkreślił Sobór Watykański II – i płyną z niej niezliczone łaski. Od starożytności kształtował się zwyczaj modlitwy podczas mszy w określonych intencjach – teologia mówi o „aplikowaniu” owoców Eucharystii. Najczęściej intencje dotyczą zbawienia zmarłych bądź uzdrowienia czy nawrócenia żywych, ale Kościół dopuszcza też modlitwę za „potrzeby własne, Kościoła czy świata”, a jedynym warunkiem jest to, by prośba była godziwa.

Skoro Eucharystia jest uobecnieniem ofiary Chrystusa, uprawniony będzie eksperyment myślowy: czy gdybyśmy mogli przenieść się do Wieczernika i porozmawiać z Chrystusem, naprawdę poświęcilibyśmy ten czas kwestii połączenia dwóch koncernów paliwowych? Swoją drogą, ciekawe, jak zareagowałiby obecni tam uczniowie – których następcami, w myśl nauczania o sukcesji apostoelskiej, są współcześni biskupi. ©



JACEK TARAN

„ZAPOMNIANE DZIEDZICTWO. 200. rocznica katedry tyńieckiej” – to tytuł wystawy w Muzeum Opactwa w Tyńcu, która przybliży krótką historię diecezji w tym miejscu. Funkcjonowała w latach 1821-26, a jej pierwszym biskupem został dawny przeor klasztoru o. Grzegorz Tomasz Ziegler. W skład diecezji wchodziło 18 dekanatów oraz blisko 300 parafii położonych na terenie powiatu bocheńskiego, myślenickiego, nowosądeckiego i tarnowskiego. Na ekspozycji znalazły się dokumenty i księgi z kancelarii diecezjalnej, listy pasterskie biskupa Zieglera, szaty i naczynia liturgiczne. Diecezja tyńiecka została ostatecznie przekształcona w diecezję tarnowską. © JT

KULTURA W SKRÓCIE

ZŁOTY YORICK

Zakończył się 26. Festiwal Szekspirowski w Trójmieście.

Laureatami konkursu na najlepszą polską inscenizację dzieł Williama Szekspira oraz utworów nimi inspirowanych zostali Polski Teatr Tańca w Poznaniu i Bodytalk w Münster za spektakl „Romeos & Julias unplugged. Traumstadt” w choreografii Yoshiko Waki.

FOTO W SOPOCIE

Tymczasem Festiwal Fotografii W Ramach Sopotu oferuje w najnowszej edycji rekordową liczbę wystaw premierowych.

Są tu: Kacper Kowalski z projektem „Horyzont zdarzeń”, Hubert Humka z wystawą „Divine” i Patryk Bułhak z serią fotografii „Porzucone córki tygrysa”.

WARSZEMUZIK

W zakamarkach warszawskiej Woli, Muranowa i Śródmieścia trwa cykl kameralnych koncertów podwórkowych, odbywających się przy dźwiękach codzienności – szczekających psów, przejeżdżających tramwajów, sąsiedzkich rozmów. Najbliższy koncert już 13 sierpnia na Chłodnej, wstęp wolny.

TEATR POMIĘDZY

W Rzeszowie rozpoczyna się 10. edycja festiwalu Źródła Pamięci. Szajna-Grotowski-Kantor. W programie spektakle, wystawy i performanse poetyckie. Wydarzenia łączy hasło „pomiedzy” – chodzi o bycie pomiędzy życiem a śmiercią, jawą a snem, normalnością a szaleństwem.



Pierwsze
Radio
Informacyjne
DZIENNIARZE

I AUTORZY „TYGODNIKA”

co tydzień goszczą w programie „Światopogląd” Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 95,2 FM Gdynia | 97,7 FM Poznań 97,4 FM Łódź | 95,8 FM Wrocław 97,4 FM Katowice | 96,9 FM Opole

www.tokfm.pl



NETFLIX / MATERIAŁY PRASOWE

„SANDMAN” SIĘ NIE DA ZEKRANIZOWAĆ – twierdził przez ponad 30 lat sam Neil Gaiman, pisarz i scenarzysta serii komiksowej o Śnie z Nieskończonych, władcy krainy snu i bracie Śmierci, Pożądania, Rozpacz czy Losu. Jak przypomnieli serwis BBC, Fabryka Snów chciała jeszcze jednego show o superb bohaterach, paradoksalnie nie rozumiejąc, o czym jest ta historia. Tym razem się udało: serial Netflixa recenzenci ogłosili sukcesem. Choć budżet miał sięgnąć nawet 15 mln dolarów na odcinek, to najważniejsze nie dzieje się tu w komputerowych efektach. Jak w odcinku pt. „24/7” – o tym, że w czasach kłamstw być może bardziej niż prawdy potrzebujemy swoich snów. © P MK

Eksperyment przywrócił pracę komórek po śmierci

ŚWINIA NIE ŻYŁA już od godziny, gdy naukowcy z zespołu Nenada Sestana z Yale School of Medicine wtłoczyli do jej żył płyn zawierający tlen oraz substancje wspomagające podziały komórkowe i zwalczanie procesów zapalnych. Trzy lata wcześniej ta sama grupa badaczy wykonała podobny zabieg na mózgu martwej świni – udało im się wówczas na chwilę przywrócić jego aktywność elektryczną. Tym razem eksperyment objął całe zwierzę, a w jego wyniku niektóre organy rozpoczęły pracę i przejawiały aktywność jeszcze przez sześć godzin po rozpoczęciu „terapii”. Doszło m.in. do skurczy serca.

Zatrzymanie krążenia w organizmie w krótkim czasie wywołuje kaskadę procesów w komórkach, które, pozbawione tlenu i glukozy, zaczynają obumierać i zanieczyszczać organizm. Zjawiska te zwalniają w niskiej temperaturze, dlatego utrzymanie jej jest kluczowe, gdy pobiera się organy do przeszczepów od zmarłych osób. Autorzy badania mają nadzieję, że rozwijana przez nich technologia otworzy nowe możliwości w transplantologii. Przywracanie zwierząt i ludzi do życia na razie nie wchodzi w grę. Ale dyskusje na ten temat pewnie się zaczną.

© P ŁK

Delfiny lubią obcych

WIELE SSAKÓW najlepiej czuje się wśród członków własnego stada. Pojawienie się obcych często zwiastuje konkurencję o zasoby, partnerów i terytorium. Ale zdarzają się wyjątki.

Na łamach „Royal Society Open Science” opisano społeczności delfinów płamistych, które nie wykazały wobec siebie wrogości i nawiązały koleżeńskie relacje. Zanim doszło do spotkania, zajmowały dwie różne pozycje u wybrzeży Bahamów, odległe od siebie o ok. 160 kilometrów. Od kiedy jedne znalazły się w pobliżu drugich, ich kontakty stały się regularne – część „imigrantów” zaczęła przemieszczać się w starych grupach z „miejscowymi”. Niektóre spośród nowo przybyłych osobników można było zauważyć w towarzystwie rdzennych delfinów również często, co bliskich przyjaciół pochodzących z tego samego stada. Wśród dorosłych samców wywodzących się z różnych stad regularnie dochodziło do przyjaznych interakcji i zachowań seksualnych, które służą spajaniu grupy.

Opisane zjawisko z pewnością ma związek ze specyfiką środowiska. W wodzie konkurencja może nadejść ze wszystkich stron, więc trudniej kontrolować terytorium, a małe ryby i głowonogi, którymi żywią się te delfiny, stale się przemieszczają, dlatego trudno byłoby bronić do nich dostępu. Niechęć do obcych może być głównie lądowym wynalazkiem.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

JAK SIĘ WŁAMAĆ DO ICH DUSZ

Religijność ludowa – co to w ogóle dziś jest? Na pewno przestała być domeną wsi. Wpisała się we współczesne trendy: ucieczki od nowoczesności czy jedności z ziemią i naturą. Nigdzie nie widać tego lepiej niż w Kalwarii Zebrzydowskiej.

EDWARD AUGUSTYN



BE&W

L Równocześnie zaczyna brzmieć dziesięć co najmniej śpiewów o odrębnej melodii. Widać setki gromad, idą swojacy przy swojakach, parafiami, wsiami, ba! nawet powiatami i zawsze się ktoś wysuwa na czoło, rozkłada książkę i intonuje pieśń nową. Powstaje z tego taka kakofonia, taki galimatias srogi, że słuchać niepodobna; lament tych głosów tworzy okropnie brzęczący wir, który bije niemiłosiernie o mój słuch niby jakiś ostry i chrapliwy klekot.

A NNA DUDA JEST KUCHARKĄ. OBSŁUGIWAŁA WESELA, PRACOWAŁA W RESTAURACJACH, NA OSTATNIE LATA PRZED EMERYTURĄ ZATRUDNIŁA SIĘ W FABRYCE SŁONYCH PALUSZKÓW.

– Pracowaliśmy na zmiany, także w niedziele – mówi. – Ale miałam wyrozumiałą kierowniczkę. Jak organizowałam Dróżki, nie robiła problemu.

Jest kalwaryjską przewodniczką z Leńcz, wsi leżącej w połowie drogi między Skawiną a Kalwarią Zebrzydowską. Jedną z 56 kobiet wśród 265 „przewodników, opiekunów asyst i orkiestr”, jak nazywa się świeckich organizatorów nabożeństw w kalwaryjskim sanktuarium.

Podkrakowska Kalwaria słynie z misterii pasyjnych w Wielkim Tygodniu i sierpniowego odpustu Wniebowzięcia Matki Bożej, kiedy do liczącego 4,5 tys. mieszkańców miasteczka przyjeżdża w jeden dzień nawet 200 tys. pątników. Ale pielgrzymi odwiedzają ją również w ciągu roku.

Przewodnik kalwaryjski nie jest, wbrew nazwie, osobą oprowadzającą turystów po sanktuarium i opowiadającą historię kościoła, klasztoru i rozsypanych po okolicznych wzgórzach kapliczek.

Pełni funkcję religijną – do niego należy prowadzenie „Dróżek Pana Jezusa” (rozszerzona wersja Drogi Krzyżowej, składająca się z 28 stacji), „Dróżek Matki Bożej” (rozważanie życia Maryi – 24 stacje) i „Dróżek za Zmarłych”. Czyta modlitwy, intonuje pieśni, objaśnia znaczenie poszczególnych stacji, symboli i rytuałów. Nawet gdy w „kompanii” jest ksiądz czy biskup, nabożeństwu przewodniczy osoba świecka. Taka jak pani Anna. „Tam właściwie ksiądz nie ma co robić, wszystko jest doskonale zorganizowane przez świeckich”, mówił ks. Karol Wojtyła. Przed wojną odwiedzał je z ojcem i starszym bratem (z Wadowic mieli 15 km),

a potem z parafianami od św. Floriana w Krakowie (35 km). Gdy został biskupem, bywał w sanktuarium jeszcze częściej – w wielkie uroczystości i prywatnie, aby samotnie pochodzić po Dróżkach.

Kalwaryjskim przewodnikiem nie zostaje się z nominacji proboszcza. Zwykle następcę wskazuje ustępujący poprzednik. Pani Anna zaczęła pomagać staremu przewodnikowi w Leńczach w 1994 r. Samodzielnie poprowadziła kompanię 21 lat później, po jego śmierci.



MARIA SORKOWICZ

2 Sam szczerzy lud. Twarze są proste, czarniawe od skwarów, rysy zgrubiałe, ubiory szare – i widzę przez oczy tego tłumu, że ma duszę napiętą jakimś niezrozumiałym dla mnie uczuciem. Mieszam się z nimi, wchłaniam setki rozmów, twarze niezliczone i ta szarzysta pospolitości, ten gwar jarmarczny przejmują mnie nudą i zniechęceniem. Czuję się ogromnie obcym i osamotnionym.

Dr Anastazja Sorkowicz z Brennej koło Cieszyna jest wykładowcą pedagogiki na Uniwersytecie Śląskim. Z Kalwarią związała się blisko 40 lat temu, gdy pojechała pierwszy raz, jako dziecko, na sierpniowy odpust.

– Podobała mi się procesja i to, że drużki otaczające figurę śpiącej Matki Bożej były ładnie ubrane. Tak jak Ania z Zielonego Wzgórza, która marzyła o sukience z bufiastymi rękawami, ja, będąc dzieckiem, w siermiężnych latach 70., chciałam pójść w takiej sukience w kalwaryjskiej procesji. Pamiętam, że w sklepach niewiele można było wtedy kupić, więc mama uszyła mi sukienkę ze starej, jedwabnej kapy. Bufiaste rękawy oczywiście były.

Do asysty – orszaku Matki Bożej – przyjmowane są młode dziewczęta po szkole podstawowej, cieszące się „dobrą opinią” (potrzebna rekomendacja). Drużką Matki Bożej można być do 22. roku życia lub zamażpójścia. Jest też asysta męska, dla kawalerów. Prawo wystawiania drużek i dru-

ków mają wybrane miasta (m.in. Kraków, Skawina, Żywiec, Kalwaria).

Pani Anastazja trafiła do asysty cieszyńskiej – najstarszej. Jej historia sięga 1614 r., gdy do klasztoru przyszła pielgrzymka nawróconych protestantów, którzy postanowili wrócić do Kościoła katolickiego. Wizyta zagranicznych gości, a zwłaszcza słynących z urody śląskich panien, zrobiła na miejscowych wielkie wrażenie. Do dziś cieszyńska asysta ma szczególne przywileje – przygotowuje pogrzeb i opiekuje się figurą Maryi. Dzień przed procesją dziewczęta z Cieszyna obmywają ciało Matki Bożej i ubierają w nowe szaty, a chłopcy wynoszą je jako pierwsi z Domku Matki Bożej i jako ostatni wnoszą do Grobku. Pierwszeństwo mają też podczas niedzielnej procesji Tryumfu, czyli Wniebowzięcia.

– Z tamtych lat pamiętam przede wszystkim świadectwo wiary prostych ludzi – wspomina pani Anastazja – którzy ze świecami w spracowanych dłoniach uczestniczyli w pogrzebie Matki Bożej, a w czasie procesji prosili nas o potarcie różańców o figurkę. Wzruszający był też widok mieszkańców Brodów, gdzie jest kościół Wniebowzięcia, zwany popularnie Grobkim, którym na jedną dobę „zabieraliśmy” Maryję. Podczas wynoszenia figurki płakali, jakby żegnali kogoś bliskiego.

Anastazja Sorkowicz rozstała się z asystą po wyjściu za mąż. Ale tylko na chwilę, bo tradycję podtrzymują dzieci.

– Kalwaria jest dla nas miejscem szczególnym, nie tylko na czas odpustu – mówi. – Wracamy tu kilka razy w roku, jak wraca się do domu. W przyszłym miesiącu odbędzie się tam ślub naszej najstarszej córki, Marysi.



EDWARD AUGUSTYN

3 Na odpoczynkach walili się na ziemię jak kłocze drzewa i za pierwszym odgłosem dzwonka już stali gotowi, już szli i zaczęli śpiewać. Większość żyje suchym chlebem, który sobie dźwiga na plecach, a nikt nie dba, czy jadł, czy spał, czy jest chory, czy upał lub zimno – tylko pada, podnosi się i idzie z coraz większym natężeniem.

→

– Moje pierwsze wspomnienie to wielki gar z herbatą, którą gotowała babcia, a ja, jako dziecko, mieszałem cukier – opowiada pochodzący z Kalwarii biskup Robert Chrzęszcz. W jego domu, jak w większości innych, podczas odpustu mieszkali pątnicy. Niektórzy przyjeżdżali co rok i traktowani byli jak rodzina. Miał 10 lat, gdy do Kalwarii pierwszy raz przyjechał papież.

– Byliśmy dumni z naszego miasteczka, wiedzieliśmy, że mieszkamy w miejscu wyjątkowym – mówi. – I nawet gdy młodzież szła rozpalić ognisko na Dróżkach, a może i wypić piwo pod kapliczką, miała szacunek dla *sacrum*. Nie było wandalizmu. Kapliczki były zniszczone, owszem, ale z powodu upływu czasu czy warunków atmosferycznych, nigdy z ręki ludzi. Chyba nikt nie potrafi być obojętnym wobec cierpienia ludzi, których tu widzi, ich też i żarliwej wiary.

Kalwaria biskupa Chrzęszcza ma różne oblicza, nie tylko odpustowe: – Inna jest zimą, przysypana śniegiem, inna jesienią, z wszystkimi kolorami liści, jeszcze inna upalnym latem. Ale najpiękniejsza wiosną, w maju, gdy zieleń jest jasna i świeża, budząca się do życia. Cztery różne Kalwarie, więc każdy może znaleźć jakąś dla siebie.

W zwykły dzień, poza sezonem, jest tu pusto. Pielgrzymi pojawiają się w weekendy. Ale nawet w wakacje, gdy klasztorny parking zastawiony jest samochodami i autokarami, przyjezdni rozpraszają się wśród łąk i nic nie zakłóca wszechobecnej ciszy. W niedzielę spotkać można ubłoconych pątników, krakowskich hipsterów w drodze do kawiarni w niedalekiej, modnej Lanckoronie, pracowników i właścicieli okolicznych fabryczek mebli i obuwia w odświętnych garniturach. Na spacer przychodzą zakochani, rodziny z dziećmi,

osoby starsze, właściciele psów. Nie dziwi ani pokutny worek, ani krótka spódniczka. Nie ma tabliczek z zakazami, jak na Jasnej Górze, ani plakatów informujących o zabronionych symbolach czy strojach. Franciszkanie nie zamierzają tego miejsca kontrolować. Dróżki to przestrzeń wolności.

– Każdy przeżywa wędrowkę po tych ścieżkach na swój sposób – mówi o. Tarsycjusz Bukowski z kalwaryjskiego klasztoru. – Każdy dotyka jakiejś tajemnicy. Jeśli to tajemnica wiary, nikt nie ma prawa oceniać, czy jest głęboka, czy płytka. Bo nikt tego nie wie. Kalwaria jest otwarta na wszystkich. Na niewierzących czy wierzących inaczej również.

Sanktuarium jest popularne nawet wśród muzułmanów. – Kiedyś jedna z linii lotniczych poprosiła nas o zdjęcia do folderu dla pasażerów – opowiada zakonnik. – Znalazły się na nich dwie kaplice, których dachy zwieńczone są półksiężycami. To bardzo zaciekawia turystów z krajów islamskich, którzy chcą zobaczyć to dziwne miejsce.

O. Tarsycjusz wyjaśnia, że gdy budowano kaplice, sugerowano się rysunkami budynków z Ziemi Świętej, która wtedy należała do imperium osmańskiego. W oparciu o taki wzór powstał Ratusz Piłata i kapliczka św. Weroniki. Budowniczości mogli nawet nie wiedzieć, że półksiężyc to symbol obcej religii i traktować go jako element dekoracyjny. Po 400 latach ich dzieło nabrało nowego znaczenia.

4 Odchodzę zły na ten głupi kostium, który mnie wyodrębnia widocznie, i na tę kulturę, która tak mnie przypiłowała, że nie umiem znaleźć słowa ani pojęcia prostego i naturalnego, aby się nimi włamać do ich dusz.

Kalwarie wiele

Pierwsze kalwarie – miejsca wzorowane na Jerozolimie, gdzie chrześcijanie mogli przeżywać Mękę Pańską bez konieczności długiej i niebezpiecznej podróży do Ziemi Świętej – pojawiły się w Europie w XV w. Najstarsza w Polsce to Kalwaria Zebrzydowska, u podnóża Beskidów, ufundowana przez Mikołaja Zebrzydowskiego, wojewodę krakowskiego i przywódcę rokoszu przeciwko Zygmuntowi III Wazie. W dolinie rzeki Skawinki (przemieszczanej na Cedron) i na zboczach góry Żar (Golgota) w latach 1600-1641 powstały kościół, klasztor oraz 42 kaplice ku czci Męki Pańskiej i Matki Bożej.

W 1667 r. w kalwaryjskim kościele umieszczono „słynący łaskami” obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem, подарowany przez Stanisława Paszkowskiego z Kopytówki. Przez ćwierć wieku przechowywano go w klasztorze w oczekiwaniu na uznanie jego cudownego charakteru przez władze

kościelne. Manierystyczny zespół architektoniczno-krajobrazowy i pielgrzymkowy w Kalwarii Zebrzydowskiej w 1999 r. wpisano na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Na liście znajduje się też kompleks Świętych Gór Piemontu i Lombardii, złożony z 9 sanktuariów. Na świecie jest ok. 1800 kalwarii, w Polsce – 29.

Losy Marii

Choć dogmat o Wniebowzięciu Marii został ogłoszony dopiero w 1950 r., świętowanie tego wydarzenia ma w chrześcijaństwie długą i skomplikowaną historię.

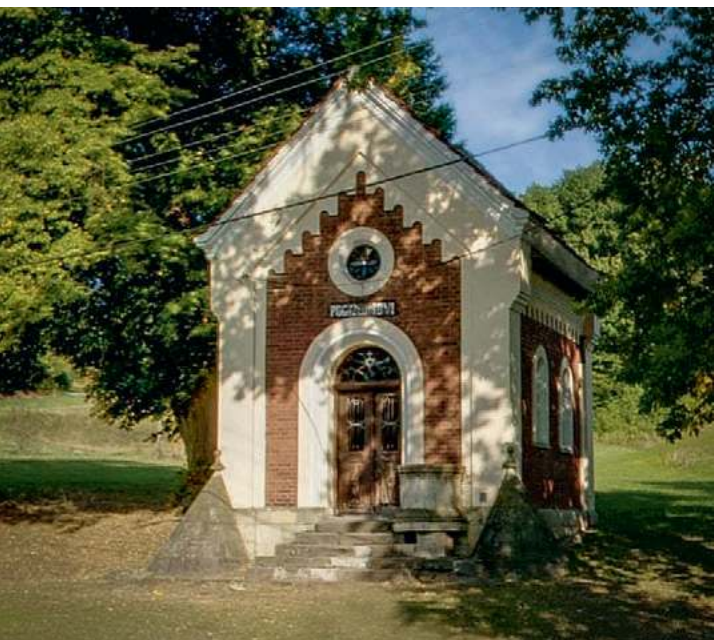
Kanoniczne teksty biblijne milczą o losach matki Jezusa po zmartwychwstaniu Syna. Ale już od najwcześniejszych wieków pojawiały się ustne i spisane przekazy, które – w różny sposób – opisywały ostatnie chwile jej ziemskiego życia. Najwcześniejsze zachowane pochodzą z II w. z Egiptu. Mówią one najczęściej

o „zaśnięciu” Marii. Wedle niektórych matka Jezusa miała po trzech dniach zmartwychwstać, wedle innych – pochowano ją w grobie, a jej duszę wzięto do nieba Jezus.

Dopiero od V-VI w. w świecie chrześcijańskim zaczyna dominować koncepcja, że Maria po zakończeniu życia ziemskiego została wzięta do nieba razem z ciałem. Zbiega się to z ustaleniem w Konstantynopolu daty święta na 15 sierpnia. Mniej więcej wiek później zaczęto je obchodzić w tym dniu także na chrześcijańskim Zachodzie.

Zróżnicowanie opowieści, metaforyki i teologicznych koncepcji „wniebowzięcia” nie powinno dziwić – mają one swoje korzenie w literaturze apokryficznej. Apokryfy to pisma powstające często poza głównym nurtem teologii kościelnej. Część z nich ma charakter ezoteryczny (gr. *ápókryphos* – ukryty, tajemny), część odzwierciedla rozmaite lokalne tradycje skupione na plastycznej narracji, a nie teologicznych spekulacjach.

© EA, PS



EDWARD AUGUSTYN

Pobożność ludowa to „prawdziwy skarb” i dowód „głodu Boga, jaki jedynie ludzie proszą i ubodzy duchem mogą odczuwać” – można przeczytać w watykańskim „Dyktorium o pobożności ludowej” (2001). Jest też ostrzeżenie: że grożą jej „błędne wyobrażenia i magiczne rozumienie wiary”, dlatego wymaga oczyszczenia, „by wiara, którą wyraża, stawała się wciąż bardziej dojrzała i autentyczna”.

Piętnastą stacją Drózek Matki Bożej jest kaplica Żydowina, przy której pielgrzymi słuchają historii, jak pewien Żyd drwił z czystości Matki Bożej i chciał sprofanować jej ciało. Został za to surowo ukarany – odpadły mu ręce. Scena jest pokazana na obrazie w ołtarzu kaplicy. Pytam, jak to możliwe, że 80 lat po Zagładzie, 60 po Soborze Watykańskim II, a także po licznych wypowiedziach papieży, w tym szczególnie na Kalwarii czczono go św. Jana Pawła II – przewodnicy nadal powtarzają tę, opartą na stereotypach i anty-judaizmie, historię.

Ojciec Bukowski tłumaczy, że opowieść, podobnie jak cała narracja o pogrzebie Matki Bożej, jest oparta na apokryfach, których Kościół nigdy nie podawał do wierzenia i nie włączył do kanonu ksiąg biblijnych.

– Legenda opowiadana przy kaplicy Żydowina nawiązuje do starotestamentalnej historii utraty rąk przez pobożnego Izraelitę, który chciał uchronić Arkę Przymierza przed upadkiem. Jej celem nie jest wprowadzanie podziałów, nienawiści czy obrażanie kogokolwiek. Jedyny morał, jaki z niej płynie, to konieczność szacunku dla świętości, ludzkiego ciała, pogrzebu czy cmentarza.

W aktualnych modlitewnikach na Dróżki Matki Bożej, dostępnych w klasztornej księgarni, nie ma wzmianki „o bluźnierstwie Żydowiny”. Jedynie książeczka dla młodzieży, autorstwa bp. Jana Szkodonia, nawiązuje do legendy, choć Żyda zastępuje w niej „zły człowiek”, udając, że nie ma związku z nazwą kaplicy. Pani Anna Duda potwierdza jednak, że kalwaryjscy przewodnicy opowiadają wiernym pełną, nieocenzurowaną wersję o bezbożnym Żydzie, „tak jak się zawsze mówiło”.

5 Szedłem razem z tym tłumem, bo mi z nim było iść coraz lepiej, bo coraz więcej się z nim rozumiał i jednoczył, a zapominał o reszcie świata. Miałem wokoło siebie tyle do widzenia, tyle do słyszenia i wyczuwania, że niepodobna byłoby myśleć o czym innym.



MARTA SORKOWICZ

Prof. Inga Kuźma z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Łódzkiego poświęca sporo miejsca Kalwarii Zebrzydowskiej w pracy „Współczesna religijność kobiet” (2008). Sierpniowe obrzędy Zaśnięcia, Pogrzebu i Wniebowzięcia Matki Bożej to przecież święto kobiecej pobożności, której „maryjność” jest szczególnym rysem. Rozważanie życia Matki Bożej – pięknej, cichej, pokornej, dbającej o rodzinę, trzymającej się na drugim planie, cierpiącej, ale wypełniającej do końca Boży plan – to pomoc w zmaganiu się z własnym losem. Ten wzór stawiano kolejnym pokoleniom kobiet.

Prof. Kuźma zauważa, że tradycyjny podział ról obecny jest w samym micie założycielskim Kalwarii – legendach o powstaniu sanktuarium i sprowadzeniu cudownego obrazu. Według jednej, żona Michała Zebrzydowskiego ujrzała z okien łanckorońskiego zamku trzy płonące krzyże na zboczu przeciwległej góry. Zawołała męża, a ten podjął decyzję o zbudowaniu tam kościoła. Według drugiej legendy, żona szlachcica Paszkowskiego, modląc się przed obrazem wiszącym w ich dworze, zauważyła dwie krwawe łzy na obliczu Najświętszej Panienki. Powiadomiony mąż postanowił odnieść cudowny wizerunek do klasztoru. W obu przypadkach – pisze badaczka – widzimy identyczny schemat: kobieta więc zauważa, dzięki swojej wrażliwości, mężczyzna – interpretuje i działa, dzięki wiedzy i władzy.

Przykładem utrwalania tradycyjnego podziału ról jest działalność asyst. Mężczyźni mają być troskliwi, rycerscy, szarmanccy i silni (chłopcy dźwigają ciężkie feretrony i przenoszą na rękach partnerki przez rzekę). Kobiety powinny być



→ opiekuńcze i dbać o porządek i estetykę (sprzątanie Domku Matki Bożej, mycie i ubieranie figury, strojenie w kwiaty). Nie mają jednak być służącymi, ale noszonymi na rękach królowymi (każdego roku dwie kolejne dziewczyny otrzymują taki tytuł oraz związane z nim przywileje).

W zwyczajach asysty dziewczęcej prof. Kuźma dostrzega też rytuały inicjacyjne: młode, 14- i 15-letnie dziewczęta wprowadzane są w kobiecy świat przez starsze nawet o 10 lat koleżanki. Wspólne mieszkanie, zwykle w spartańskich warunkach, codzienne problemy i obowiązki, dbanie o strój, fryzurę i makijaż – to często pierwsze doświadczenie siostrzanej wspólnoty.

Wydaje się, że asysty niemal na naszych oczach tracą opisaną w książce społeczną rolę (choć od badań prof. Kuźmy minęło raptem kilkanaście lat): z każdym rokiem ubywa chłopców (trudno znaleźć dziesięciu do niesienia feretronów, nie mówiąc już o partnerach dla każdej drużki), brakuje też starszych dziewcząt. Średnia wieku druzek obniżyła się i wyrównała – teraz większość stanowią uczennice pierwszych klas szkoły ponadpodstawowej, niemal równolatki, trudno więc mówić o wprowadzaniu w życie przez starsze koleżanki.

Asysta, ze swymi wciąż obowiązującymi ograniczeniami wiekowymi, jest też przykładem tradycyjnego podejścia do płciowości. W orszaku Matki Bożej mogą iść tylko młodzi kawalerowie, niezamężne panny (dziewice) oraz kobiety starsze, „w wieku poreprodukcyjnym”. Abstynencja seksualna jest utożsamiana z czystością, a okres aktywności płciowej uznaje się za najbardziej grzeszny w życiu człowieka.



MARIA SORKOWICZ

6 Widzę, że nie na spacer idą, wiem, po co idą. I moje „ja” sceptyczne, ironizujące, bo wyhodowane w ciasnej komórcie życia miejskiego, cofa się z trwogą i podziwem, stoi zdumione i niepewne wobec tylu cierpień, tylu trosk, tylu bólei... I coby robiły te wszystkie dusze, bóle, skargi cierpienia, nędze

wszelakie, gdyby je teraz, natychmiast ogarnął mrok zwątpienia, i nie wiedziały, dokąd iść, i nie wiedziały, w co wierzyć i komu się oddać w opiekę z tą bezgraniczną ufnością?

Wymykająca się sztywnym regułom, zanurzona w duchowości, tradycji i przyrodzie Kalwaria wpisuje się w trend, jaki w ostatnich latach przeżywa humanistyka, nazywany „zwrotem ludowym”. To choćby ucieczka od nowoczesności, szukanie nowej, niekoniecznie szlacheckiej, tożsamości, fascynacja tradycyjną religijnością, pamięć o martyrologii, idea jedności z ziemią i naturą.

Ludowość nie jest już rozumiana klasowo, więc i pobożność ludowa przestała być utożsamiana z wiejską. Kalwaria Zebrzydowska, założona przez przedstawicieli możnej rodziny i od początku łącząca wszystkie stany, jest tego dobrym przykładem. Rodowód ma barokowy (bynajmniej nie wiejski), a w architekturze i wystroju nawarstwiły się przez wieki elementy różnych tradycji – magnackich, rycerskich (szlacheckich), mieszczańskich, chłopskich, inteligenckich, patriotycznych, niepodległościowych czy robotniczych. I nawet jeśli dużą część „ludowych” obrzędów odpustowych czy misteryjnych zaliczymy do „folkloru”, to na pewno nie uda się tego zrobić ze wszystkimi formami religijności obecnymi w Kalwarii.

– W kościele, przed Cudownym Obrazem, czy na Drózkach Pana Jezusa, spotkamy różnych ludzi – mówi o Tarsycjuszu Bukowskim. – Prostych i wykształconych, biednych i bogatych, turystów i pątników. Czy się modlą, czy tylko zwiedzają – tego nie wiemy. Modlitwa bywa różna. Nie zawsze musi być wypowiedziana słowem czy śpiewem. Często jest milczeniem. Albo zmęczeniem. Tu się stykają różne światy. Z kościoła, domu pielgrzyma i auli korzystają zarówno Rodziny Radia Maryja, jak i Kluby Inteligencji Katolickiej.

– To miejsce wielowymiarowe – dodaje prof. Anna Niedźwiedz z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Jagiellońskiego. – Religijność jest tu przeżywana twórczo i na rozmaite sposoby. Jedna osoba może wchodzić w różne role i pomiędzy nimi krążyć. Antropologię ta polifoniczność najbardziej interesuje. Trudno nawet powiedzieć, co jest centrum Kalwarii: bazylika, cudowny obraz, dróżki? A może misteria albo odpust Wniebowzięcia? Dla każdego może być ważne co innego. Choćby jedna z kaplic czy któreś z miejsc związanych z wodą, uznawaną za cudowną, albo – po prostu – przyroda i krajobraz. Wielu ma świadomość, że to miejsce uduchowione. Antropolog powie, że dzięki tym interakcjom pomiędzy przestrzenią a ludźmi Kalwaria ma wiele znaczeń i ciągle zyskuje nowe.

W etnologii i antropologii unika się dziś etykiety „ludowy”, choćby dlatego, że w potocznym odbiorze „religijność ludowa” traktowana była jako naiwna, płytka, magiczna – jednym słowem: gorsza. W badaniu religijności ciekawsza jest jej strona praktyczna, a nie sprawdzanie proveniencji czy wierności doktrynie.

– Patrzymy nie tylko na to, w co ludzie wierzą, ale co robią i jak „wytwarzają” religię w działaniu – tłumaczy prof. Niedźwiedz. – Pytamy nie tyle o wierność dogmatom, ale o zachowania religijne, emocje, afekty. Badamy materialność religii – pielgrzymowanie, procesje, przedmioty kultu (obrazy,



ARCHIWUM SANKTUARIUM

NA ZDJEŃCIACH:

- [1] Kościół w Kalwarii Zebrzydowskiej
 [2] Dziewczyny z asysty cieszyńskiej przygotowują figurkę Matki Bożej Zaśniętej do procesji, 2021 r.
 [3] Półksiężyc na dachu Ratusza Piłata
 [4] Kaplica Żydowina
 [5] Przebieranie figurki Matki Bożej Wniebowziętej, 2021 r.
 [6] Gosia i Marysia, królowe asysty cieszyńskiej, 2021 r.
 [7] Procesja Tryumfu, 2021 r.

figury), zmysłowość i cielesność (stroje, gesty, zachowania). Religia przeżywana na co dzień, w praktyce, jest bardzo materialna.

Termin „religia przeżywana” ma tu kluczowe znaczenie. Kilkadziesiąt lat temu zaproponowali go francuscy socjolo-

gowie (*la religion vécue*). Prof. Anna Niedźwiedz dostrzegła jego potencjał w badaniach religii w Polsce. Uważa, że może on zastąpić kojarzące się negatywnie pojęcie religijności ludowej. Pozwala dostrzec znaczenie pozornie błahych działań oraz całą niedyskursywną sferę religii, które często umykały uwadze badaczy

Religia przeżywana – indywidualne i z innymi – zmienia człowieka.

7 Szedłem razem z tym tłumem, bo mi z nim było iść coraz lepiej, bom coraz więcej się z nim rozumiał i jednoczył, a zapominał o reszcie świata. Czuję, że w tej samej orbicie krążę, że ulegam przyciąganiu tego samego centrum. Sypiam pod tym dobrem słońcem, jadam, co jest, jeśli jest, idę jak wszyscy, śpiewam, częściej słucham i patrzę. Pytają – odpowiadam. Żądają czego – daję, jeśli mam. Nie jem nic więcej i nie piję nad chleb i herbatę. A nie mam tego, to nie idę już szukać po chałupach, bo wiem, że ta siostra, co obok, ten brat, co przede mną, i ci wszyscy dokoła, których przyjazne spojrzenia często odczuwam – pośpieszaj mi z kromką w imię braterstwa. Dałem się porwać strumieniowi i płynę – dokąd?... Nie pytam, bo mi jest dobrze. Czuję, jakbym się coraz więcej zrastał z nimi.

W maju 1894 r. Władysław Reymont wybrał się na pielgrzymkę z warszawskiej Pragi do Częstochowy. Ludzi, z którymi spędził w drodze dziesięć dni, miał na początku za nieokrzesanych prostaków, wierzących w gusła, szukających okazji do bitki i wypitki, niespecjalnie dbających o higienę. Wspólne przeżycia – zmęczenie, głód, rany na nogach – zmieniły, dzień po dniu, jego ocenę. Świadectwem przemiany jest „Pielgrzymka na Jasną Górę”, którą uważa się za pierwszy polski reportaż. Z niej pochodzą umieszczone w moim tekście cytaty.

©© EDWARD AUGUSTYN

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
 Redaktor senior ks. Adam Boniecki
 Zastępcy redaktora naczelnego:
 Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
 Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
 Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
 Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
 Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
 Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata
 Nocui, Michał Okoński, Marek Rabij,
 Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
 Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
 Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
 Wojciech Pięciak (kierownik)
 Historia: Wojciech Pięciak
 Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
 (kierownik), Łukasz Lamża
 Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
 Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
 Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
 Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
 Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
 Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik),
 Jacek Taran
 Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
 (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
 TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran,
 Zuzanna Kardysz, Andrzej Leśniak (kierownik)
 Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
 Sylwia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
 Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
 Maja Kuczyńska (kierownik), Mateusz Gawron,
 Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
 Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
 Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
 Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Kłata, Hanna
 Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz
 Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk,
 Tomasz Stawiszyński

Manager IT: Bartłomiej Swojak
 Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
 Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
 Wojciech Brzeziński, Beata Chomałowska, s. Barbara
 Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
 ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
 Andrzej Franaszek, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller,
 Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
 Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński,
 Dorota Kozłowska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka,
 Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk,
 Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski,
 Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena
 Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
 Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina
 Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik,
 Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek,
 abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepiolo, Tadeusz Sławek,
 Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
 Marcelina Zumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
 Piotr Mucharski (wiceprezes),
 Maja Kuczyńska (wiceprezeska)
 Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
 Reklama, promocja: tel. 602 590 416
 reklama@TygodnikPowszechny.pl
 promocja@TygodnikPowszechny.pl
 Prenumerata: tel. 668 479 075
 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
 Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
 Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne dla
„Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Kim był twój dziadek?*



WNUK AARONA, PINCHAS, OTRZYMAŁ wieczne kapłaństwo (zob. Lb 25). Porzucając dzisiejszą złożoność rodzin patchworkowych i nieheteroseksualnych, zapytajmy niewinnie: „Kim był twój drugi dziadek, Pinchasie?”. W tymże rozdziale

czytamy: „Pinchas, syn Elazara, syn Ahrona, kapłana, odwrócił zapalczywość Moję od synów Izraela” (wers 11; Cyllkow). Któż jednak został teściem arcykapłanowego syna? „A Elazar, syn Ahrona, pojął sobie jedną z córek Putiela za żonę, i urodziła mu Pinchasa” (Wj 6, 25). Talmud, tworząc karkołomne konstrukcje lingwistyczne, próbuje zidentyfikować Puti’ela jako jedną ze znanych biblijnych postaci. Propozycje są dwie: Jetro, który *pitem* (czyli tuczył) cielaki przeznaczone do bałwochwalczego kultu, oraz Józef, który *pitpet* (czyli toczył słowną potyczkę) ze swoim pożądanym, by nie ulec żonie Potifara. Konkluzja jest taka, że Pinchas był potomkiem ich obu.

Przydomek Praojca Józefa to „*ha-cadik*”, czyli „sprawiedliwy”, i zapewne nikt nie szukał w takim rodowodzie punktu zaczepienia dla czynienia wyrzutów Pinchasowi. Midianicki kapłan Jetro – choć teść również samego Mojżesza – nie wywodził się z „naszych” i niestety łatwiej było z tego powodu dokuczać jego potomkowi. Talmud twierdzi, że Najwyższy specjalnie powiedział „syn El’azara syna Aarona”, ponieważ po znamiennym czynie Pinchasa Izraelici komentowali: „Widzicie go? Ojciec jego matki tuczył cielaki, by składać je w ofierze bałwanom, a on teraz idzie i zabija izraelskiego księcia!”.

Co za obsesja, by po wsze czasy naznaczyć Jetrę? Talmud w innym traktacie analizuje fakt obronienia jego córek przez Mojżesza. Jetro był księciem swojego narodu – czy ktoś śmiałyby tknąć książęce córki? Dlaczego musiały one same pasać stado? Uprawdopodobnia więc to zajęcie, sugerując, że Jetro nie wierzył w moc bożków i jeszcze przed zjawieniem się Mojżesza w Midianie pragnął porzucić bałwochwalstwo. Stał się przez to wyrzutkiem swojego ludu i nikt nie chciał zajmować się jego zwierzętami.

Pinchas jako krwawy rzeźnik? W „Księdze blasku” czytamy, że gdy młodzieniec wkroczył do namiotu Zimriego, Symeonici szykowali się, by śmiaćka zabić. Dusza Pinchasa opuściła jego ciało ze strachu. Wówczas Najwyższy posłał dusze Nadaba i Abihu, by w nie wstąpiły, i w tym momencie Pinchas – zarazem „syn El’azara”, jak i „syn Aarona” – stał się godny, by zostać kapłanem.

Jeżeli już dziadek ma mieć wpływ na charakter wnuka, to może Pinchas odziedziczył konciliacyjną naturę Aarona? Wedle midraszu powiedział mu Najwyższy: „Uczyniłeś pokój między Izraelem a Mną na tym świecie, wobec tego w świecie przyszłym to właśnie ty pojednasz Mnie z Moimi dziećmi”. Pinchas miałby być Eliaszem? Tego się chyba nikt nie spodziewał. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Chodzi o higienę*



W TYM ROKU 20. NIEDZIELA ZWYKŁA WYPADA w wigilię uroczystości Wniebowzięcia Maryi, która „po zakończeniu ziemskiego życia z duszą i ciałem została wzięta do chwały niebieskiej”. Tak w 1950 r. ogłosił Pius XII. Matka poszła

więc w ślady Syna, który zabrał ją do siebie, uprzednio ustrzegłszy od „zmazy grzechu pierworodnego”. Jezus, jako Bóg-człowiek, wszedł (biblijnie: wstąpił) do nieba o własnych siłach, natomiast Maryja, jako człowiek, została tam wzięta, przeniesiona. To wędrowanie z ziemi do nieba odbywa się w pionie, w zgodzie z ówczesną geocentryczną kosmologią, dziś już nieaktualną. Mimo to, szukając Boga, wciąż postępujemy tak, jakbyśmy mieli płaską Ziemię pod nogami, a niebo nad głową. Stąd niektórzy przed „Ojczyzną” podnoszą wzrok i patrzą w sufit. A tymczasem znaki obecności Jezusa – chleb, wino, Słowo – znajdują się przed nami na wyciągnięcie ręki. A to znaczy, że Bóg nie przychodzi z „wysokiego nieba”, ale, jak w Betlejem, z wnętrza ciała świata, czyli materii.

Dyrektor Papieskiego Obserwatorium Astronomicznego, brat Guy Consolmagno SJ, mówi: „Jeśli zadowolasz się tym, co już wiesz, przestajesz się rozwijać, przestajesz żyć. Tylko dobrze utuczone cię nie interesuje się tym, co jest wokół. Każdy człowiek ma pragnienie i ciekawość zrozumienia, kim jesteśmy i czym jest świat, co jest »tam«, co się liczy. Nie w sensie, co jutro zjem, ale: co jako człowiek powinienem robić w swoim życiu, jakie miejsce w świecie zająć? Jeśli to odrzucimy, sprowadzimy się do poziomu dobrze wykarmionych krów. (...) Dlatego watykańskie obserwatorium oferuje wsparcie w rozwoju młodym naukowcom, z krajów rozwijających się, np. przez organizowanie letniej szkoły astronomii. Ma to ogromne znaczenie, by zachęcać młodych ludzi do zaangażowania i kształtowania przyszłości”. Mocne słowa, ale cóż to jest w zestawieniu z akcją Jezusa w świątyni jerozolimskiej, kiedy siłą przepędził tych, którzy dom Boży traktowali jako źródło utrzymania i prestiżu.

„Przyszedłem rzucić ogień na ziemię i bardzo pragnę, aby już zapłonął. Chrzt mam przyjąć i jakże jestem udręczony, aż się to wypełni. Czy sądzicie, że przyszedłem, aby dać ziemi pokój? Ależ nie! – mówię wam – raczej rozłam”. A praktycznie? Takim ogniem oczyszczającym jest religia, bywa jednak że i ona potrzebuje oczyszczenia. Według Guy Consolmagno SJ takim ogniem dla religii jest nauka. Ignorowanie jej to prosta droga do ośmieszenia Boga.

Covid znowu daje o sobie znać i za chwilę wybuchnie spór: Komunia do ust czy na rękę? A wystarczy posłuchać lekarzy, że o higienę tu chodzi, a nie o dogmaty. O troskę o zdrowie swoje i cudze, a nie o zbawienie wieczne. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Krzyż i życie



*Nic nie pomaga
w ograniczeniu pychy
bardziej niż poznanie siebie.
Jeśli jednak stajemy się
wówczas zniechęceni
– nie zrozumieliśmy,
co nam mówi.*

THOMAS KEATING



*Jest tylko jeden Nauczyciel
– bez względu na to,
jak był nazywany na
przestrzeni dziejów – który
przychodzi nieustannie,
aby budzić ludzkość
ze snu i aby prowadzić
ludzi w kierunku boskiej
doskonałości.*

HAZRAT INAYAT KHAN

Wybrał PIOTR SIKORA



„JEŚLI KTOŚ CHCE pójść za Mną, niech weźmie swój krzyż i niech Mnie naśladuje. Bo kto chce zachować swoje życie, straci je. Cóż bowiem za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł?” – brzmiała Ewangelia minionego piątku (zob. Mt 16, 24-28). To bardzo uczciwe Słowo Jezusa do każdego, kto chce iść za Nim, to znaczy chce być Jego uczniem. Jezus wyraźnie, otwarcie i prostym tekstem mówi, co pójsie za Nim nam da i czego nie da.

Nie da nam „całego świata”. Temu, kto idzie za Nim, Jezus nie obiecuje pieniędzy, władzy, łatwego życia, możliwości stwarzanych przez takie czy inne układy, zdrowia, pomyślności w życiu prywatnym, rodzinnym, społecznym (np. wygranych wyborów) – nawet jeśli wszystkie te (i im podobne) sprawy wypełniają 80 proc. czasu naszej młotliwości.

Jezus obiecuje nam natomiast, że jeśli pójdziemy za Nim, żadne doświadczenie, które nazywamy w swoim życiu krzyżem, nas nie zabije.

Czytałem to Słowo dzień po tym, jak z rektorem i diakonami z mojego se-

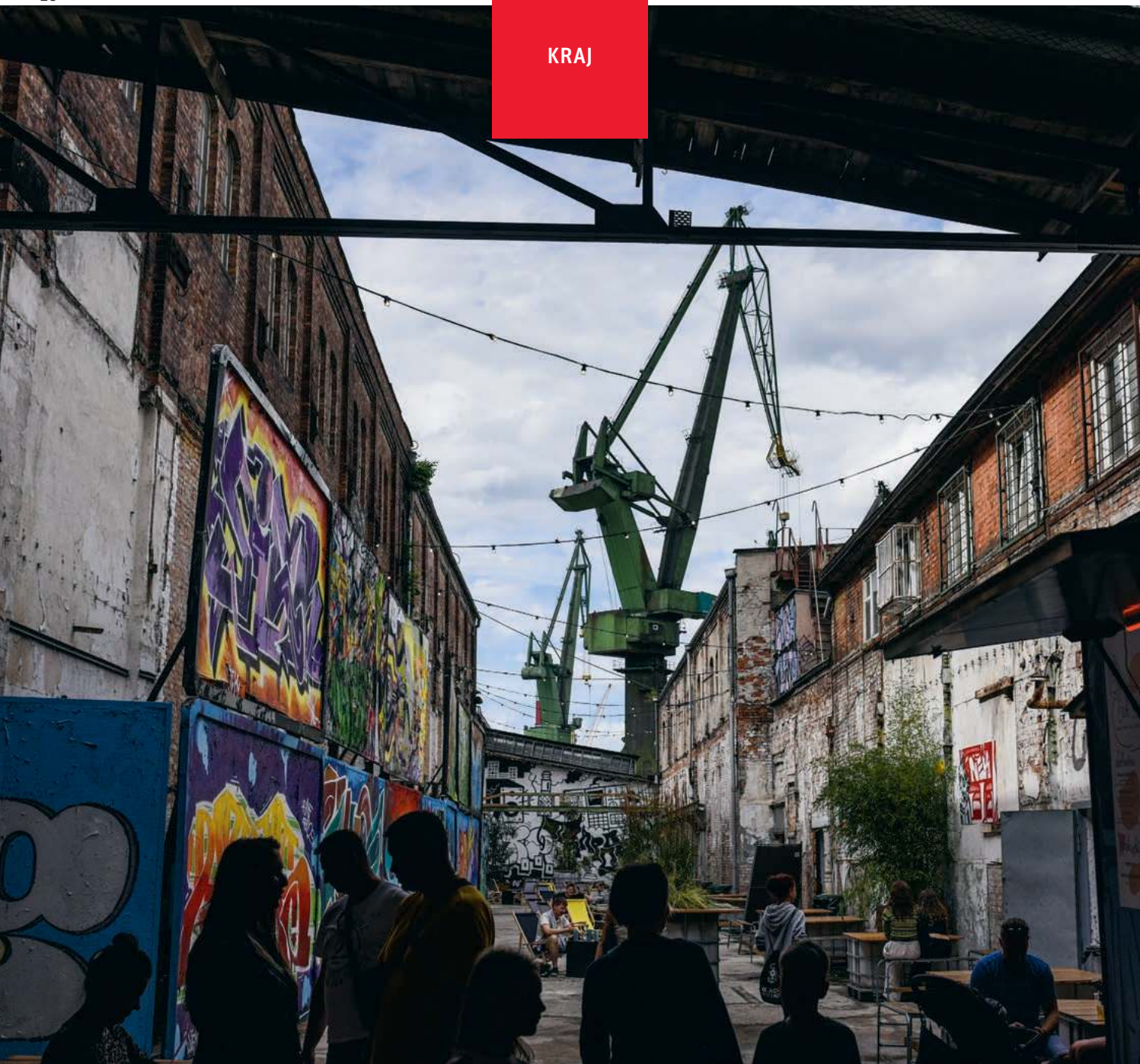
minarium w Łodzi byliśmy w domu Marty Robin – osoby, w której życiu Słowo to znalazło wcielenie. Marta od dziecka była uczennicą Pana – jako małe dziecko biegała na Eucharystię (sama, gdyż zasadniczo nikt w domu nie podzielał jej wiary). Niczego nie dostała ze „świata”. Żyła w skromnej rodzinie, w domu na uboczu, jak mawiamy nieraz: w miejscu, gdzie wrony zawracają. Z matką i ojcem, którzy jej nie rozumieli; z bratem, który ostatecznie nie uniósł traumy wyniesionej ze służby wojskowej w czasie wojny i popełnił samobójstwo (to jego zdjęcie miała najbliżej przy swoim łóżku). W tym łóżku przeleżała blisko sześćdziesiąt lat, utraciwszy jakkolwiek władzę w rękach i nogach, wskutek choroby mózgu, której medycyna nie była w stanie zdiagnozować i leczyć.

Żadne z tych doświadczeń jej nie zabiło. Jezus w pełnym pokoju i poczuciu sensu przeprowadził ją przez takie życie. Ten sens streściła w prostym zdaniu: „Jestem codzienną Eucharystią”.

Spełniona obietnica. Nie dostała wiele ze „świata”, ale dostała „coś”, czego świat dać nie może: dostała życie w sytuacji, w której „świat”, przy wszystkich swoich możliwościach, jest bezradny. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (14-21 VIII)

20. niedziela zwykła: Jr 38, 4-6. 8-10; Ps 40; Hbr 12, 1-4; Łk 12, 49-53.	Środa: Iz 61, 1-3a; Ps 40; Mk 1, 14-20;
Poniedziałek, Uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny:	Czwartek: Ez 36, 23-28; Ps 51; Mt 22, 1-14;
1 Krn 15, 3-4. 15-16; 16, 1-2; Ps 132; 1 Kor 15, 54-57; Łk 11, 27-28;	Piątek: Ez 37, 1-14; Ps 107; Mt 22, 34-40;
Wtorek: Ez 28, 1-10; Pwt 32; Mt 19, 23-30;	Sobota: Ez 43, 1-7a; Ps 85; Mt 23, 1-12;
	21. niedziela zwykła: Iz 66, 18-21; Ps 117; Hbr 12, 5-7. 11-13; Łk 13, 22-30.



Puste hale po Stoczni Gdańskiej zagospodarowane na lokale gastronomiczne. Gdańsk, 26 lipca 2022 r.

KRAJ O ZMIERZCHU

Instytucje państwa coraz częściej przegrywają w konfrontacji z rynkiem, oddalając się od obywateli. Nawet głośne transfery społeczne PiS nie są w stanie zatrzymać tego procesu. Nasze państwo gaśnie.

MARCIN KĘDZIERSKI

INSTYTUCJA NOWOŻYTNEGO PAŃSTWA
 Od początku miała na celu ochronę jednostki przed zagrożeniem zarówno z zewnątrz, jak i ze strony innych obywateli. Ale definicja jednostki jako podmiotu politycznego, jak również katalog przysługujących jej praw i wolności, ewoluowały przez setki lat. Podczas gdy w XVII wieku zadaniem państwa było zapewnienie bezpieczeństwa oraz praw politycznych monarchy, szlachty oraz arystokracji, to od rewolucji francuskiej ochrona ta stopniowo rozciągana jest na nowe grupy (chłopi, robotnicy, kobiety, dzieci, mniejszości etniczne i seksualne etc.) oraz kolejne obszary życia (prawa społeczno-ekonomiczne).

Ewolucja ta wprowadziła dodatkową logikę – poza możliwością stosowania przymusu w celu zapewnienia obywatelom bezpieczeństwa, państwo zaczęło kierować się zasadą sprawiedliwości. Można ją tłumaczyć jako zapewnienie równości obywateli wobec prawa i troskę, aby różne pod względem siły podmioty dysponowały w miarę porównywalną pozycją negocjacyjną. Tak narodziły się ważne idee: sprawiedliwej redystrybucji dóbr, usług publicznych, ochrony praw pracowniczych albo polityki antymonopolowej, które znamy już z praktyki funkcjonowania państw w XX wieku.

Te dwie logiki – bezpieczeństwa i sprawiedliwości – doprowadziły do wytworzenia szeregu instytucji regulujących funkcjonowanie zarówno samego państwa, jak i dwóch pozostałych mechanizmów koordynacji ludzkich zachowań: rynku oraz społeczeństwa. Istotne znaczenie miały zwłaszcza normy regulujące rynek, gdyż społeczeństwa jako takiego nie uważano za odrębny mechanizm wymagający szczególnej uwagi. Teza ta była o tyle dyskusyjna, że ani rynek, ani państwo nie kierują się logiką solidarności. Ona zaś reguluje (a przynajmniej powinna) wiele obszarów życia społecznego, choćby życie rodzinne. Co więcej, w momentach rewolucyjnych to właśnie społeczeństwo jest w stanie czasowo narzucić dominację i państwu, i rynkowi. Sytuacje takie są jednak historycznie na tyle rzadkie, że zwykle stosujemy dycho-
 tomie: państwo vs. rynek, w której zgadzamy się powszechnie, że to państwo podejmujące w naszym imieniu różne działania winno mieć prymat nad rynkiem, a nie odwrotnie.

Rzeczywistość jest bardziej złożona – mamy w historii wiele dowodów na to, jak podmioty rynkowe przejmowały kontrolę nad państwem, „przechwytywać” jego kompetencje. W ten sposób Polacy zostali np. pozbawieni sprawnego transportu publicznego poza dużymi miastami, na podobnej zasadzie państwo od lat toleruje też umowy śmieciowe. Ostatni przykład to wzięcie przez społeczeństwo na siebie największego ciężaru fali uchodźców, gdyż państwo nie było w stanie zapewnić im dachu nad głową i wyżywienia.

Dzieje się tak m.in. dlatego, że instytucje państwa do realizacji swojej misji we współczesnych czasach potrzebują ogromnych zasobów, generowanych w dużym stopniu przez rynek. Aby je uzyskać, rządzący decydują się na różne ustępstwa i „luzowanie” regulacji, chcąc ułatwić funkcjonowanie rynkowi, zyskać jego przychylność albo zrzucić na niego swe obowiązki. Dzieje się to kosztem trwałego osłabiania instytucji państwa i rosnących nierówności.

Świat zaburzony

W historii byliśmy nieraz świadkami wahadła, które albo wychylało się bardziej w stronę państwa, albo w stronę rynku, co w jakiejś mierze pozwalało zachować chwilę, lecz jednak równowagę. Globalizacja i neoliberalny kapitalizm, które zaczęły się rozwijać od lat 70. XX wieku, trwale zmieniły te zależności. W konsensusu waszyngtońskiego, będącego kanonem dla polityki MFW i Banku Światowego, obserwujemy stałe słabnięcie instytucji państwa. I nawet kryzys roku 2008, który miał skutkować „utemperowaniem” rynku, niczego nie zmienił. Państwa okazały się bezradne wobec sektora finansowego. Podobnie sytuacja ma się z globalnym rynkiem pracy – jesteśmy świadkami postępujących nierówności dochodowych i prekaryzacji zatrudnienia, a niedawne doniesienia o założeniu pierwszego związku zawodowego w Amazonie traktować należy raczej jako ciekawostkę niż przejaw odwrócenia trendu.

Teza o słabnięciu państwa może wydać się polskiemu czytelnikowi nie do końca zrozumiała. Zaczęliśmy budować nasze liberalne państwo dobrobytu dopiero po 1989 r., czyli w momencie, w którym globalnie ta instytucja była już w odwrocie. W efekcie jesteśmy przyzwyczajeni do sytuacji, w której państwo dość luźno

podchodzi do swojego „sprawiedliwościowego” zadania i nie staje w naszej obronie – czy to na rynku pracy, finansowym czy mieszkaniowym. Co więcej, po latach PRL byliśmy tak stęsknieni za rynkiem, że stosunkowo łatwo przełknęliśmy trudne reformy Leszka Balcerowicza. Jeśliby jednak spytać przeciętnego Amerykanina, Francuza czy Włocha, urodzonego w latach powojennych, usłyszelibyśmy utyskiwanie, że państwo przestało bronić ich praw. Teza, że neoliberalny kapitalizm, globalizacja i związane z nią migracje podkopują fundamenty państwa dobrobytu, nie budzi już na Zachodzie większych kontrowersji.

Mało tego, zmieniło się też samo państwo, które weszło w rynkową logikę. Coraz bardziej staje się nie tyle regulatorem gry rynkowej, ile jej uczestnikiem. Proces ten rozpoczął się wraz z urynkawianiem usług publicznych (ochrona zdrowia, edukacja, transport, dostęp do kultury), ale globalizacja oraz bezpośrednie inwestycje zagraniczne wyraźnie go wzmocniły. Państwa zaczęły wręcz konkurować między sobą o przyciągnięcie biznesu, zapominając o swoim obowiązku wobec społeczeństw, które nie mogą już korzystać z adekwatnej ochrony i taniej oferty.

Wystarczy spojrzeć na to, co dzieje się wokół specjalnych stref ekonomicznych, gdzie decydenci (niezależnie od proveniencji partyjnej) zawieszają wiele regulacji prawnych. Bardziej wymownym przykładem byłby jednak rynek kredytów hipotecznych. Proces „przechodzenia” państwa na pozycję rynkową, czyli w tym przypadku na stronę sektora bankowego, widać tu szczególnie wyraźnie. Polski rząd co prawda próbuje wprowadzić rozwiązania mające na celu ochronę konsumentów, ale mają one charakter doraźny i nie zmieniają strukturalnej nierównowagi. Banki nadal mogą zdecydowaną większość ryzyka przenosić na klientów. Smaczku w polskim kontekście dodaje fakt, że prawie połowa aktywów sektora bankowego znajduje się w rękach... państwa. I w tym kontekście premier złościący się na banki za niskie oprocentowanie lokat wygląda dziwnie.

Zresztą obecny rząd, który w oczach wielu, a przede wszystkim swoich własnych, uchodzi za najbardziej prospołeczny i propracowniczy gabinet w historii III RP, w gruncie rzeczy kontynuuje prorynkową politykę swoich

→ poprzedników. Zgoda – wprowadzenie 500 plus oraz minimalnej stawki godzinowej stanowiło rewolucję – te dwa rozwiązania będą już na zawsze mieć swoje miejsce w historii polityki publicznej w Polsce. Z drugiej jednak strony niewiele się zmieniło, jeśli idzie o funkcjonowanie sektora bankowego oraz społeczny dialog, w którym wciąż to organizacje przedsiębiorców są faworyzowane kosztem związków zawodowych.

(Bez)tożsamość mediów

Problem przechwycenia państwa przez rynek nie jest wyłącznie domeną sektora finansowego. Branża deweloperska też skutecznie wpłynęła na taki kształt regulacji, że przez ostatnie 30 lat umożliwiały one uzyskiwanie ogromnych marż kosztem wyraźnego wzrostu zadłużenia Polaków. Politycy różnych opcji, którzy uzależnili się od finansowego wsparcia ze strony biznesu, nie mają dziś wielkiego interesu, by „grać” po stronie społeczeństwa. Co więcej, im bardziej profesjonalna (czytaj: kosztowna) będzie polityka, tym to uzależnienie będzie większe.

To nie jest żadna polska specyfika – to samo zjawisko widać choćby w przypadku branży naftowej w USA czy motoryzacyjnej w Niemczech, choć w tej strategii da się zauważyć paradoks. Politycy realizują interes biznesu kosztem obywateli po to, by dostać od niego pieniądze na kampanię mającą na celu... przekonanie obywateli do głosowania na nich. Przedsiębiorcom skutecznie udało się wytworzyć dominujący sposób myślenia, wedle którego jedynym odpowiedzialnym zachowaniem państwa jest wspólna gra z rynkiem, a dokładniej – pod jego dyktando. Nawet jeśli w rzeczywistości ta „odpowiedzialność” prowadzi do generowania nierówności, będących na dłuższą metę receptą na kryzys społeczny.

Oczywiście nie wszystkie słabości państwa można powiązać wprost z globalizacją i neoliberalnym kapitalizmem. Popatrzmy choćby na rozwój mediów, które swój model biznesowy oparły na narracjach odwrotnych – tożsamościowych, co doprowadziło do wzmocnienia polaryzacji, a jednocześnie uczyniło łagodzenie sporów nieopłacalnym z perspektywy polityków, którzy dzięki nim żyją. W rezultacie elita polityczna ma coraz słabsze bodźce do troski o te instytucje, których zadaniem od wieków była reduk-

Kryzys 2008 roku,
który miał skutkować
„utemperowaniem” rynku,
niczego nie zmienił.

**Państwa okazały się
bezzadne wobec instytucji
sektora finansowego.**

cja społecznych napięć (mowa tu choćby o roli sądów rozwiązujących społeczne konflikty na drodze pokojowej). W konsekwencji państwo traci zdolność do wypełniania swej podstawowej funkcji – zamiast redukować konflikty między obywatelami, *de facto* samo te konflikty generuje i wzmacnia.

Jesteśmy więc świadkami nie tylko nierówności, ale i wzrostu napięć pomiędzy różnymi grupami, przez co państwo w coraz mniejszym stopniu będzie stanowiło realną wspólnotę polityczną. Powyższe obserwacje skłaniają do przyjęcie hipotezy, że instytucja państwa nowożytnego w dotychczas znanej nam postaci gaśnie. Nie wiadomo, czy ten trend jest nieodwracalny, jednak na horyzoncie nie widać dziś przesłanek, by sądzić, że czeka nas wielki renesans państwa. Skoro ani kryzys finansowy roku 2008, ani epidemia COVID-19 nie doprowadziły do zauważalnego odwrócenia trendu, trudno sobie wyobrazić, jakie doświadczenie (poza jakąś globalną rewolucją) mogłoby wzmocnić tę „sprawiedliwosciową” i „wspólnotową” nogę.

Na straży bezpieczeństwa

To wszystko nie oznacza, że instytucja państwa odchodzi w przeszłość, ona ewoluje. Po pierwsze, nadal pozostaje strażnikiem bezpieczeństwa – jeśli pojawia się zagrożenie zewnętrzne o charakterze egzystencjalnym, jak wojna czy pandemia, oczekujemy działań ze strony państwa, a ono podejmuje rękawicę. Nawet zwykle mało sprawne polskie państwo było w stanie wznieść się na wyżyny i stać się obok USA największym dawcą wszelkiego rodzaju pomocy dla Ukrainy, od uzbrojenia po ubezpieczenia i pomoc humanitarną dla ukraińskich uchodźców. Choć w tej ostatniej kwestii kluczowa była wspomniana już, oddolna samoorganizacja naszego społeczeństwa.

Po drugie, w obliczu kryzysów mamy tendencję powrotu do retoryki narodowej – im bardziej egzystencjalny kryzys, tym ta retoryka silniejsza. Swoją vs. obcy pozostaje wystarczająco silną emocją, by spinać wspólnotę – ale tylko czasowo. „Narodowość” za sprawą globalizacji jest dziś w znacznej mierze fasadowa i wojna w Ukrainie nic w tym zakresie nie zmienia. Francis Fukuyama w „Ostatnim człowieku” przekonywał, że na końcu historii nie czeka nas żaden renesans nacjonalizmu, tylko raczej tryumf konsumpcjonizmu i lifestyle'u nad polityczną samoświadomością. Nie jest przypadkiem, że w odpowiedzi na kryzys migracyjny UE stworzyła specjalną tekę dla komisarza odpowiedzialnego za ochronę „europejskiego stylu życia”, co w praktyce oznaczało przyzwolenie na procedurę tzw. push-backów na grecko-tureckiej granicy, kontynuowanych rok temu w Polsce.

Po trzecie wreszcie, kryzys uchodźczy spowodowany wojną w Ukrainie i pandemią COVID-19 wyraźnie pokazały, że aktualny model funkcjonowania państwa nie jest optymalny z perspektywy społeczno-gospodarczej. Dlaczego? Bo w chwili próby państwa często dezertowały, spychając odpowiedzialność na rynek lub społeczeństwo. Doświadczylśmy tego wszyscy bardzo mocno organizując na własną rękę laptopy do edukacji zdalnej naszych dzieci, do której dostęp w Polsce jest rzekomo bezpłatny i równy.

Jeszcze wyraźniej widać to zjawisko, badając statystyki pandemicznych zgonów. W krajach naszego regionu, które zaczęły budować swe instytucje w momencie, gdy zglobalizowany kapitalizm zaczynał przejeżdżać już po nich walcem, skala nadmiarowych zgonów była znacznie wyższa niż w Europie Zachodniej. Jednak nawet w takich krajach jak Niemcy czy Francja, uznawanych za swego rodzaju wzorce sprawności, pojawiły się ogromne problemy z zarządzaniem kryzysami. Jednym z dowodów bezradności okazała się choćby reakcja na przybycie na berliński dworzec 10 tys. ukraińskich uchodźców, z którymi niemieckie instytucje nie wiedziały, co zrobić.

Nie oznacza to oczywiście, że te struktury zawiodły na całej linii. Nawet w Polsce udało się dość sprawnie zdigitalizować proces szczepienia przeciwko COVID-19 (choć inne czynniki przesądziły o relatywnie małym sukcesie Narodowego Programu Szczepień). Tak samo sprawnie

udało się przyjąć specustawę, umożliwiającą uchodźcom z Ukrainy ubezpieczenia społeczne, legalny pobyt i pracę w naszym kraju. Choćby dzięki temu już prawie połowa pełnoletnich uchodźców znalazła zatrudnienie.

Nie zmienia to faktu, że w zakresie bardziej złożonych wyzwań wewnętrznych o charakterze społeczno-ekonomicznym byliśmy świadkami porażki. Wszystkie współczesne kryzysy – finansowy, migracyjny, covidowy, uchodźczy, klimatyczny – dostarczają raczej dodatkowych argumentów, że państwo nie staje po stronie obywateli, zwłaszcza tych znajdujących się w gorszym położeniu.

Wystarczy spojrzeć na bodaj najważniejszy współczesny program reform, związany z polityką klimatyczną i transformacją energetyczną. W pierwszej kolejności dba ona bowiem o interesy firm produkujących zielone technologie (albo je udających, co pokazuje zjawisko greenwashingu), natomiast Fundusz Sprawiedliwej Transformacji, który ma łagodzić jego negatywne społeczne skutki, traktowany jest w praktyce jak piąte koło u wozu. Zresztą podobna sytuacja dotyczy kryzysów migracyjno-uchodźczych, gdzie gros kosztów przerzucanych jest na biedniejszą część społeczeństwa. Jej nie stać na prywatną edukację czy ochronę zdrowia i to ona musi konkurować nie raz na śmierć i życie o niskopłatne miejsca pracy z imigrantami.

W konsekwencji kapitulacji państwa w tym obszarze będziemy świadkami narastających nierówności społecznych, które przyniosą napięcia polityczne. Już zresztą w Europie doszło do rozpadu wielu stabilnych dotąd scen politycznych. Duże ruchy migracyjne, które prawdopodobnie jeszcze przyspieszą w najbliższych latach za sprawą postępujących zmian klimatycznych, będą pogłębiać tę destrukcję.

Spółeczna koordynacja

Czy odpowiedzią na współczesny kryzys może być powrót do państwa? Czy to w nim należy upatrywać nadziei na przeciwwagę dla rosnącego globalnego kapitału? Czy współczesne państwo potrafi

Większość kosztów przerzuca się na biednych.

Ich nie stać na prywatną edukację czy ochronę zdrowia i to oni muszą konkurować o miejsca pracy z imigrantami.

jeszcze zapewnić sprawiedliwość, rozumianą jako równość wobec prawa i równość szans? Czy jest w stanie dostarczyć odpowiednią liczbę usług publicznych wysokiej jakości?

Już przed pandemią byliśmy w Polsce świadkami postępującej prywatyzacji usług publicznych, co opisał Łukasz Pawłowski w „Drugiej fali prywatyzacji”. Widać to zarówno w ochronie zdrowia, jak i w edukacji, co brutalnie obnażył, a zarazem przyspieszył, covid. Publiczna ochrona zdrowia, a zwłaszcza publiczna edukacja są chyba bardziej niż kiedykolwiek wcześniej w historii III RP zagrożone lokalnymi zapaściami. Jednocześnie jednak pandemia, ale także kryzys uchodźczy dowiodły, że prywatna ochrona zdrowia, prywatna edukacja czy prywatny transport zbiorowy nie są w stanie zapewnić społeczeństwu poczucia bezpieczeństwa i sprawiedliwości.

W moim odczuciu nie ma jednak powrotu do modelu państwa „sprawiedliwościowego”, które znamy z historii powojennej Europy Zachodniej i do którego aspirowaliśmy od momentu transformacji ustrojowej. Politycy zbyt mocno uzależnili się od rynku i kreujących społeczny *mindset* prywatnych mediów, w tym gigantów technologicznych zarządzających globalnym obiegiem informacji. Nie mam odpowiedzi, jak sobie z tym problemem poradzić. Pandemia i kryzys uchodźczy pokazały jednak, jak ogromną siłę może mieć społeczeństwo, w tym różne nieformalne inicjatywy.

Znaczenie społeczeństwa jest nie do przecenienia także w kontekście innych

stojących przed nami wyzwań, takich jak polityka demograficzna, opiekuńcza, społeczna czy integracyjna, która wraz z napływem kolejnych setek tysięcy migrantów także w Polsce będzie zyskiwała na znaczeniu. Istnieje tu ogromna przestrzeń do uruchomienia usług realizowanych przez podmioty społeczne, finansowane ze środków publicznych. Taki model wymaga jednak bardzo wyraźnego wzmocnienia samorządów jako podmiotu publicznego, zdolnego integrować zasoby i koordynować proces świadczenia usług „na dole”.

Ze zrozumiałych powodów model państwa, w którym ważną rolę odgrywa czynnik społeczny, napotyka wiele trudności. Na pierwszym planie wyłania się niski poziom zaufania, z którym każda osoba próbująca coś robić w przestrzeni publicznej na pewno się zetknęła. Drugim problemem jest słabość samorządu, który systematycznie jest pozbawiany aktywów – i finansowych (poprzez przekazywanie coraz większej liczby zadań bez dodatkowych środków), i ludzkich (drenaż mózgów przez silniejsze miasta i instytucje, spowodowany niskimi wynagrodzeniami).

Obawiam się, że dopiero gdy zdołamy przełamać obydwie wspomniane wyżej przeszkody, a tym samym odbudować relacje na linii państwo-społeczeństwo, to pierwsze będzie w stanie zagrać ze społeczeństwem przeciw rynkowi przechwyconemu przez globalnych graczy. Do tego czasu będziemy niestety świadkami pogłębiającej się dominacji rynku i rosnących, politycznych turbulencji tym spowodowanych. Dlatego właśnie kluczowym wyzwaniem dla współczesnego państwa, o ile chce przetrwać w innej postaci niż tylko zwykły gracz rynkowy, jest walka o budowę wspólnoty opartej o wzajemne zaufanie. Byłoby dobrze, gdyby elity polityczne – nie tylko polskie – wreszcie to zrozumiały.

© MARCIN KĘDZIERSKI

Autor jest głównym ekspertem Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego, adiunktem w Centrum Polityk Publicznych Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie i radnym sołectkim.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

Wiatr w oczy

PIOTR WÓJCIK

Polscy urzędnicy i nauczyciele czują się upokorzeni. Zarabiają coraz gorzej i coraz więcej Polaków patrzy na nich z góry. Skutki mogą być katastrofalne dla funkcjonowania państwa.

PIERWSZE INFORMACJE O PODWYŻKACH w budżetówce wywołały społeczne oburzenie, gdyż miały objąć parlamentarzystów i najważniejszych w Polsce urzędników. Cała dyskusja skupiła się na nich, tymczasem zapomniano, że pracownicy sfery budżetowej od lat cierpią z powodu postępującej pauperyzacji. Chociaż rząd chętnie uruchamia kolejne transfery pieniężne, obejmujące także najzamożniejsze gospodarstwa domowe – mowa chociażby o dopłatach do węgla – to w przypadku podwyżek dla budżetówki tak szczodry już nie jest. Pensje wielu pracowników sektora publicznego nie nadążają nie tylko za płacami w całej gospodarce, ale także za wzrostem cen.

Budżetówka realnie biednieje, więc nic dziwnego, że jej pracownicy mówią „mamy dosyć”. Po niedawnych protestach pod urzędami wojewódzkimi, OPZZ zapowiada kolejne w sierpniu, tym razem już w stolicy. Związki oburzone są propozycją władz w sprawie podwyżek, które dalece odbiegają od oczekiwań pracowników. Niewiele zmienia w sektorze, w którym panuje ogromna rotacja, braki kadrowe oraz negatywna selekcja, co fatalnie odbija się na jakości naszego państwa.

To nie jest podwyżka

Rząd zaproponował, by wzrost płac w budżetówce w przyszłym roku wyniósł 7,8 proc. To dwa razy mniej, niż wynosi obecna inflacja. Nic więc dziwnego, że związki zawodowe chcą znacznie wyższej korekty pensji – o 20 proc. „Jest to bezwzględne minimum” – czytamy w komunikacie OPZZ z 1 sierpnia. Związki argumentują, że w czasie pandemii płace w budżetówce zostały zamrożone, a w tym



roku podniesiono je ledwie o 4,4 proc. Tymczasem od 2019 r. ceny wzrosły o niemal jedną czwartą. – Będziemy rozmawiać ze stroną społeczną. Na dziś nie powiedziałbym, że ta podwyżka skończy się na 7,8 proc. – zapewniał w ostatni czwartek wiceminister finansów Artur Soboń.

Proponowanego obecnie wzrostu płac nie można traktować jako podwyżki, gdyż nie przekracza ona wskaźnika inflacji. Możemy więc mówić co najwyżej o częściowej waloryzacji, czyli próbie wyrównania siły nabywczej. Zniwelowanie spadku wartości wynagrodzenia, pozwalające utrzymać dotychczasowy poziom życia, byłoby możliwe dopiero przy waloryzacji na poziomie 20 proc. Tego właśnie domagają się związki. Jeśli wzrost nominalnych wynagrodzeń wyniesie tylko proponowane przez rząd 7,8 proc., nie zrekomensuje inflacji nawet w połowie.

Na razie nic nie wskazuje na to, by obie strony spotkały się w jakimś sensownym punkcie, co tylko zaoğnia sytuację. Zwłaszcza że płace w całej gospodarce rosną w tempie dwucyfrowym. W zeszłym roku było to 10 proc., a w tym roku kolejne 13 proc. Pracownicy budżetówki tracą więc także w stosunku do pozostałych obywateli, z każdym rokiem przesuwając się w dół na drabinie społecznej. Łatwiej byłoby im pogodzić się z tą sytuacją, gdyby całe społeczeństwo w podobny sposób zaciskało pasa. Jednak spadek realnych zarobków w czasach, gdy

wielu osobom wokoło żyje się tak samo jak kiedyś, boli w dwójnasób.

Nabory bez kandydatów

W 2021 r. według GUS przeciętne wynagrodzenie w sektorze przedsiębiorstw wyniosło 5,9 tys. zł brutto. To niedużo na tle państw UE, ale wielu pracownikom polskich urzędów państwowych nawet do takich pensji jest daleko. Według sprawozdania szefa Służby Cywilnej za 2021 r., na stanowiskach specjalistycznych w urzędach wojewódzkich średnie wynagrodzenie całkowite (czyli ze wszystkimi dodatkami i nagrodami) wynosi 5,2 tys. zł brutto, a w powiatowej administracji zespolonej ledwie 4,8 tys. zł. Tymczasem do tych ostatnich należą bardzo ważne urzędy dbające o nasze bezpieczeństwo. Mowa chociażby o powiatowych inspektoratach handlowych czy inspektoratach nadzoru budowlanego, w których pensje należą do najniższych w całym sektorze publicznym.

Efektom pauperyzacji urzędników jest fluktuacja kadr i problemy z zapełnianiem wakatów. Praca w administracji publicznej od dawna nie jest już spełnieniem marzeń. Ludzie masowo odchodzą, a urzędy muszą nieustannie szukać kogoś na ich miejsce, co dezorganizuje pracę i każe wciąż oddelegowywać niektórych pracowników do szkoleń stażystów, z których część i tak odejdzie. Według sprawozdania szefa SC, w 2021 r. liczba



ATTILA HUSEINOW / FORUM

Pracownicy sądów i prokuratury domagali się 12 proc. podwyżki płac. Warszawa, 10 września 2021 r.

odniósł się bowiem do rządowej propozycji podniesienia płac nauczycieli kontraktowych i stażystów. „Planowana przez rząd podwyżka wynagrodzeń nauczycielskich, i to tylko dla nauczycieli początkujących, nie zneutralizuje negatywnych skutków utraty siły nabywczej wynagrodzeń w roku 2022. Po wejściu w życie nowych stawek wynagrodzenia zasadniczego we wrześniu br. nastąpi dalsza faktyczna obniżka wynagrodzeń nauczycieli” – czytamy w opinii ZNP do projektu rozporządzenia Ministerstwa Edukacji.

Związek zaproponował poprawki do nowelizacji ustawy o Karcie Nauczyciela, w wyniku której pensje wszystkich pedagogów wzrosłyby o 20 proc. Poprawka została przyjęta przez Senat, jednak jej prze głosowanie przez Sejm jest mało prawdopodobne. Jeśli finalnie zostanie odrzucona, ZNP planuje protesty, których dokładną formę określi pod koniec sierpnia. W grę wchodzi nawet strajk.

– Nauczyciel dyplomowany, czyli z najwyższym stopniem awansu zawodowego, ze stażem kilkunastu lat pracy, z dodatkiem za wychowawstwo oraz dodatkiem motywacyjnym, zarabia 3,3 tys. złotych na rękę – mówi Artur, nauczyciel wychowania fizycznego w jednej ze śląskich szkół. – Dopiero z nadgodzinami można zarobić pensję, która ledwo starcza na utrzymanie.

Najgorsza jest sytuacja nauczycieli stażystów, których wynagrodzenie zasadnicze to 2949 zł brutto, czyli jest niższe od pensji minimalnej. Dopiero od września wzrośnie do 3424 zł, czyli tylko 40 zł więcej niż przyszłoroczna pensja minimalna. Z kolei pensja zasadnicza nauczyciela mianowanego będzie zaledwie 200 zł wyższa od przyszłorocznej płacy minimalnej. W takich warunkach trudno do pracy w szkole przyciągnąć młodych absolwentów uczelni. Rośnie więc liczba wakatów. W kuratoriach zarejestrowano ich już 16,5 tys. Szkoły ratują się m.in. zatrudnianiem pedagogów w wieku emerytalnym, co przy okazji pozwala ulżyć systemowi ubezpieczeń społecznych.

– W mojej szkole właściwie nie ma młodych nauczycieli – przyznaje Artur. – Większość jest po pięćdziesiątce, niektórzy nawet po sześćdziesiątce. Sam

mam prawie 40 lat i należę do najmłodszych. Jeszcze dekadę temu wuefista musiał mieć szczęście, żeby szybko znaleźć pracę, teraz szkoły same ich szukają.

Według Eurostatu, spośród osiemnastu dużych grup zawodowych w Polsce pracownicy oświaty są piątą najgorzej wynagradzaną. Nasi nauczyciele zarabiają bardzo słabo nawet na tle krajów od nas biedniejszych. W 2020 r. średnie zarobki w polskiej edukacji wynosiły 979 euro miesięcznie. W Rumunii 1125 euro, a w Chorwacji 1217 euro.

Brak pieniędzy i szacunku

Degradacja finansowa zawodu nauczyciela wpływa także na postrzeganie pedagogów przez społeczeństwo. Dotyczy to zresztą większości pracowników budżetówki, którzy są często pogardzani, co odbija się negatywnie nie tylko na nich samych, ale też na zaufaniu i szacunku do instytucji państwa w ogóle.

Nauczyciele podkreślają, że zasadnicza zmiana zaszła w ostatnich kilku latach, i mówią wręcz o „dewastacji” swojego zawodu. Zarobki wyznaczają w pewien sposób ich pozycję społeczną i pedagodzy czują to na każdym kroku, choćby kontaktując się z dużo lepiej sytuowanymi rodzicami uczniów. Ci zresztą coraz częściej patrzą na nich z góry, bo są przekonani, że mają do czynienia z nieudacznikami żywiołymi.

Z powodu fatalnych zarobków w sferze budżetowej następuje też selekcja negatywna. Trafia do niej coraz więcej osób, które po prostu nie odnalazły się w sektorze prywatnym. Największe talenty czy ludzie z pasją omijają nasz sektor publiczny szerokim łukiem. Widać to też w oświacie. Jeszcze niedawno szkoły wołały zatrudniać młodych nauczycieli, którzy mieli dużo energii i zapału do pracy. Obecnie woła zatrudniać starszych, gdyż ci młodzi zaraz po studiach są znacznie słabsi niż jeszcze pokolenie wcześniej.

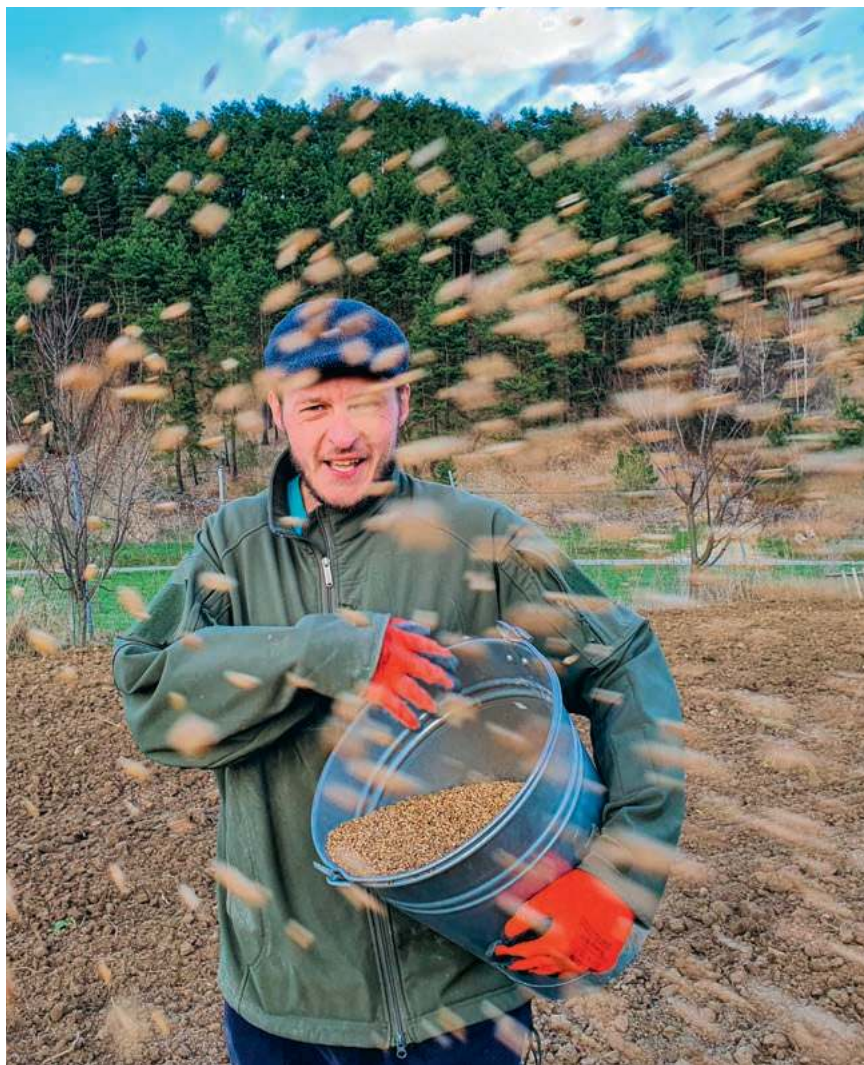
Głodząc budżetówkę, rząd tak naprawdę wybiją zęby sobie oraz społeczeństwu, gdyż odcina instytucje publiczne od najbardziej kompetentnych ludzi. Nic więc dziwnego, że jakość nowych regulacji prawnych spada (przykładem liczne błędy w Polskim Ładzie), a nasze państwo z roku na rok ma coraz większe problemy ze stawianiem czoła rosnącym wyzwaniom cywilizacyjnym. I nawet jeśli przyszedłoby w tej kwestii nagłe opamiętanie, na efekty będziemy czekać latami. ©

naborów wzrosła o prawie jedną trzecią w stosunku do 2020 r. Przeprowadzanie ich nie daje jednak żadnej gwarancji zatrudnienia odpowiedniej osoby, gdyż większość chętnych do pracy nie spełnia nawet minimalnych wymagań. W 2021 r. aż 46 proc. naborów zakończyło się nieobsadzeniem stanowiska, rok wcześniej było to 40 proc. W przypadku jednej trzeciej nie zgłosił się żaden kandydat. W sumie liczba chętnych do udziału w naborach na stanowiska urzędnicze od 2013 r. spadła czterokrotnie.

Wokół budżetówki narosło sporo mitów, które zniechęcają kolejnych rządzących do jej dofinansowania. W powszechnej opinii sektor publiczny jest przerośnięty, a administracja pochłania ogromną część budżetu. Te przekonania jednak mijają się z rzeczywistością. Według Eurostatu w polskiej budżetówce pracuje 17 proc. zatrudnionych, czyli niemal dokładnie tyle co w Austrii i tylko punkt procentowy więcej niż średnio w UE. We Francji sektor ten zatrudnia 22 proc. pracowników, a w Estonii prawie 24 proc. Na administrację publiczną i zarządzanie państwem wydajemy 4,4 proc. PKB, przy średniej unijnej 6,2 proc. Z tego niedofinansowania biorą się właśnie marne pensje pracowników wielu urzędów.

Niewielu chętnych do szkoły

Jesienią o swoje zamierzają też powalczyć nauczyciele. ZNP bardzo krytycznie



Prastare i jare

TEKST I ZDJĘCIA: **ANDRZEJ MUSZYŃSKI**

Sąsiad nauczył mnie, jak bez drogich maszyn, zachowując rytm kroków i układ palców dłoni, wysiać ziarno w odpowiedniej gęstości. Zasiałem, teraz zbieram.

DZISIEJSZY STRACH PRZED NIEDOBREM zbóż i głodem jest lękiem znanym chłopom od wieków. Był pewnie obecny, odkąd człowiek zaczął uprawiać ziemię – z 10 tysięcy lat temu, a nawet, na co wiele dziś wskazuje, znacznie wcześniej. Teraz możemy trochę tego niepokoju doświadczyć sami; w polu trzeba zapomnieć o sprawdzonych gdzie indziej metodach kontroli nad rzeczywistością. Siejesz i nigdy nie wiadomo, co

będzie. Susze, dzikie zwierzęta albo nawalnice, bywa że tuż przed zbiorem.

Dlatego udane żniwa zawsze były radośnym świętem. To jak nowy rok w środku tego kalendarzowego. Kombajn, metr po metrze, zbliża się ku ostatnim łanom i już wiesz, że się uda. Ziarno jest gorące i pyli. Rozprowadzasz je w magazynie dłonią, żeby trochę podeschło przed wyprawą do młyna, i siadasz twarzą do słońca z satysfakcją nieporównywalną do żadnej innej.

*Wysiewam samopszę.
Racławice, 26 kwietnia 2021 r.*

Na rzysku siadają ptaki. Stare zamknięte, idzie nowe. Mąki starczy na rok.

Jeszcze niedawno wydawało się, że dobiega ostateczny kres epoki, która zaczęła się wraz z neolitem. Wielkie farmy skutecznie wypierały bowiem w ostatnich latach rodzinne gospodarstwa. Kto wie jednak, czy w najbliższym czasie nie czeka nas masowy powrót do porzuconych niedawno poletek, które zamieniły się w ugory. Znajoma z Iranu, gdzie ludzie zaczęli uprawiać zboże przed tysiącami lat, a dziś brakuje tam mąki, powiedziała mi, że z łatwością wyobraża sobie ten scenariusz we współczesnym świecie, nad którym unosi się groza nowych wieków ciemnych.

Sam uprawiam zboża na niewielkim obszarze (z pół hektara) od pięciu lat. Teraz jest pierwszy sezon, kiedy opłaca mi się to ekonomicznie. Jest to też pierwszy rok, kiedy spoglądam przez okno w stronę pola z taką wdzięcznością jak moi dziadkowie.

Tryjer z austriackiego zaboru

W połowie lat 90. w mojej rodzinnej wsi niedaleko Pustyni Błędowskiej zboże siało się obficie. Pole się naprawdę złośliło. Z końcem lipca budził mnie przed świtem długi regularny szelest. Dobiegał przez uchylone okno wraz z chłodem poranka. Długo nie było słyhać nic innego. Czasem jeszcze świst oselki. Zaczynały się żniwa. Pan Czyż kosił zboże swoją ręczną kosą, a mój dziadek wypowiadał się o nim z największym uznaniem. Pan Czyż czasem pomagał mu ładować słomę z wozu do stodoły. Dziadek zawsze wspominał: „Ćwierć fury na widły potrafił wziąć”. Podwijał rękawy białej koszuli i łany miękko upadały u jego stóp.

To nie jest wcale takie proste. Choć kosa przydaje się do dziś, to mało kto potrafi ją tak fachowo wykładać. Być może pan Czyż nie ufał maszynom. Obrabiał w ten sposób swoje pole po północnej stronie drogi, przy uroczyskach Podkrzywdzia, ale po stronie południowej, to jest mojej, kombajny hulały na całego na rozległym wzgórzu, które obserwowałem z okna.

Z kombajnista się nie umawiało. On po prostu przyjeżdżał. Kosił o swojej porze pole po polu, więc trzeba było pilnować, żeby zebrał nasze. Wieś spowijał złoty

kurz. Czerwone bizony i vistule w od-dali, jak żuczki, telepały się nieporadnie na miedzach. Wieczorami wracały przez wieś. Z nieruchomych pysków sypały im się resztki żdźbeł. Przy drodze rosły wielkie lipy. Ulice spowijał mrok ich cieni. Kombajny zajmowały całą jezdnię. Jasne osobówki tuliły się do płotów jak owce. Dzieciakom mocniej biły serca. Liny na kołowrotkach rzeziły – ziarno trzeba było wynieść w wiadrach na strych. Dalej, gdzieś za domem pana Czyża zaczynała pracować młocarnia. Skradaliśmy się, by być bliżej niej. Maszyna razem z ziarnem pożerała noc, tłukła się, a mężczyźni głośno krzyczeli.

Mniej więcej od 2004 roku, kiedy Polacy masowo już emigrowali, to wszystko zaczęło zanikać. Byłem świadkiem kresu tamtego świata. Kiedy jednak parę lat temu postanowiłem zmienić swój ugó-r w pole uprawne, nie kierowała mną nostalgia, lecz czysta ciekawość. Jak to jest wziąć za to odpowiedzialność? Zmierzyć się z żywiołem ziemi. Jak smakuje pszenica relikto-wa, którą uprawiali pierwsi rolnicy? Dla mnie zboże jest dość łatwą uprawą, bo nie trzeba go plewić. Trzeba tylko wcześniej solidnie odchwacić pole i je użyźnić. Zadbać w porę o kombajn, a do tego działki w Małopolsce są upiornie wąskie i nie każda maszyna wjedzie.

Wytrzebiłem pole. Sąsiad nauczył mnie, jak bez drogich maszyn, zachowując rytm kroków i układ palców dłoni, wysiać ziarno w odpowiedniej gęstości. Zamiast siewnika używał płóciennej tkaniny, jeszcze po ojcu.

Parę lat walczyłem z perzem. Dla-tego w pierwszym sezonie przywio-ziłem do młyna niewiele ponad 50 kilo-gramów ziarna. Tymczasem minimalna ilość zboża, z jaką wypada pojawić się w młynie, to sto kilogramów. W kolejnych sezonach bez problemu spełniałem ten warunek. Ostatniego lata przywioziłem do domu około 120 kilogramów mąki, tortowej i chlebowej. Wystarczyło, żeby obdzielić rodzinę i znajomych. Pojawił się tylko problem z ziarnem, bo było mocno zanieczyszczone żdźbłami. Tak się dzieje, kiedy kosi się wilgotne zboże. Łało, a zbliżał się koniec sierpnia i nie było wyjścia.

Ale od czego są sąsiedzi. Pan Staszek w Raclawicach ma stary niemiecki tryjer

– maszynę, która czyści zboże. Przy ob-róbce zboża jest sporo takich tajemni-czych urządzeń. Staszek oznajmił, że try-er ma sto lat. „Sto lat – pomyślałem – to pewnie nie ma, jakaś II wojna”, ale on za-pewniał: „Z Austrii. Dziadek z kolegami szmuglowali przez granicę zaborów. Na rękach ją nieśli przez las. A to trochę waży...”.

Wpisuję nazwę maszyny w sieci. Nic. Pięknie jest obracać się w światach, do których wirtualne oko wciąż nie ma do-stępu.

Przyszedł czas na eksperyment. Poje-chałem po ziarna samopszy do gospodar-stwa państwa Gumiennych w pobliżu Jasła. Bliżej Krakowa nic nie znalazłem. Nic dziwnego, bo samopsza, choć ce-niona przez miłośników żywności eko-logicznej, nie jest popularna wśród rol-ników. Daje niskie plony w porównaniu z innymi. Tona z hektara. Czasem trochę więcej. Tymczasem dziś wciąż liczy się ilość, a nie jakość. Samopsza jest też dość delikatna. Ma łuskę, którą trzeba zdjąć w specjalnych maszynach. Takich nowo-

czesnych urządzeń, które nie uszkadzają wartościowego zarodka ziarna, jest w Pol-sce według pani Barbary Gumiennnej nie więcej niż cztery. Jesienią kupiłem od niej cztery worki ziarna i wysiałem w porę, przed połową października. Samopszę można siać wiosną jako zboże jare, ale to raczej gatunek ozimy.

Wiosną samopsza eksplodowała. Pani Gumienna poradziła mi, że wymaga wtedy lekkiego obronowania. Już po przymrozkach, żeby nie uszkodzić ko-rzeni. Traktory z ciężkimi bronami, do których mam dostęp, zrobiłyby jednak więcej szkód.

– Konikiem se to zrób – powiedział mój kolega Rysiek, prawdziwy fachowiec, człowiek, który bez pola żyć nie może. – A skąd ja ci konika wezmę? – zapytałem go. – Robek ma, pod kościołem – odparł.

Faktycznie, miał. Bo poza nim już nikt nie ma. Kiedy podjechał pod moje pole, osłupiałem. Zamiast dzień do-bry, krzyknąłem: „Jaki ładny ten koń!”. Był zadbany, silny, ozdobiony czer-wonymi krakowskimi pomponami. →



Ważymy zboże w młynie w Dolinie Prądnika. 9 października 2021 r.

→ No i, w przeciwieństwie do ciągników, nie niszczył delikatnego zboża.

Kiedy Robek odjeżdżał, zapytałem go:
– Co pan tak te konie jeszcze trzyma?
– Robek spojrzał na mnie i odparł bez wahania, nim ruszył pod Powroźnikową Skalę: – Wie pan, bez konia bym nie był.

Siła samopszy

Nigdy nie miałem w polu tak wysokiego zboża, dobre półtora metra. Po szyć. Przypomina żyto. Do dziś kilku rolników po sąsiedzku nie wierzy mi, że to odmiana pszenicy. Sprowadzili ją do Europy pierwsi rolnicy z pięć tysięcy lat przed naszą erą. Najpierw rosła w górach na Bliskim Wschodzie. Do dziś można się tam natknąć na jej dziką odmianę. Uprawia się ją na Zakaukaziu. Samopsza jest zbożem o prostej budowie, na przestrzeni tysięcy lat uległa niewielkiej modyfikacji. Nie ma specjalnych wymagań glebowych, ale jest dość wrażliwa.

W Muzeum Archeologicznym w Krakowie natknąłem się na wielkie gliniane naczynie wypełnione zbożem. Z początku nie wierzyłem, że to oryginał, bo stało w korytarzu. Można go było dotknąć. Pan Mirosław Zajac, pracownik muzeum, rozwił moje wątpliwości. To naczynie zasobowe. Kraków-Nowa Huta-Mogiła, stanowisko 53, Kopic Wandy. Faza osadnicza datowana na kulturę trzciniecką, starsza epoka brązu, około 1600-1350 lat p.n.e. Jego przeznaczenie nie jest do końca znane, ale rolnicy mogli wypełniać je zbożem, np. płaskurką czy samopszą.

Samopsza była znana z badań Stanisława Jana Czarnowskiego z jaskini w skałach Ogrojca w okolicy Krakowa. W „Pamiętniku Fizyograficznym” (1914) pisał: „Ziarna owego było kilka litrów, a miało czarne z mąki przepalanej litrów kilkanaście. (...) Ziarno zbożowe w Jaskini górnej w Ogroju odkryte, obok licznych kamieni żarnowych tamże znalezionych, oraz wobec mnóstwa żaren wydobytych przeze mnie w licznych pieczarach doliny Prądnika (w samej tylko Jaskini Ciemnej i Oborzysku wielkim za skalą Rękawicą wśród zabytków neolitycznych), stanowi dowód, że początki rolnictwa sięgają u nas w tych stronach odległej starożytności młodszej epoki kamiennej.”

Materiały te opublikowała Aniela Kozłowska, siostra Leona Kozłowskiego, wybitnego archeologa i premiera rządu,



Nigdy nie miałem w polu tak wysokiego zboża, dobre półtora metra. Po szyć.

Przypomina żyto.

Do dziś kilku rolników po sąsiedzku nie wierzy mi, że to odmiana pszenicy.

która oznaczyła właśnie samopszę (*Triticum monococcum*). Z kolei znalezione płaskurki znane są m.in. z Krakowa-Olszanicy czy Strachowa na Dolnym Śląsku.

Wydawałoby się, że te gatunki przepały na stulecia i dopiero w ostatnich latach sprowadzane są do Polski przez pionierów ekologicznego rolnictwa. Tymczasem pani Barbara twierdzi coś innego: – Bardzo lubimy kontakt z klientem, dlatego bywamy często na targach żywności, bazarach. Zabieram kłosa, żeby pokazać ludziom. Starsi je rozpoznają. Odróżniają je od żyta. Mówią, że pamiętają je z dzieciństwa, a rodzice kazali im wyrywać samopszę jak chwasty. Rosła dziko na obrzeżach pól.

W końcu czerwca moja samopsza zaczęła się złocić. Lubi ciepłe noce, jakby zachowując pamięć o kraju pochodzenia. Nabiera wtedy siły. Wyższa niż inne znane mi odmiany, z woskami na kłosach, bujała się na wietrze. Wiedziałem już, co miała na myśli pani Gumienna, kiedy wyznała: – Cudo. Można stanąć jak na brzegu morza i patrzeć.

Ja tymczasem, wyczekując na żniwa, próbowałem ustalić, czy słowa o jej legendarnych właściwościach to fakt, czy efekt kolejnej promocji. Ileż razy dałem się niepotrzebnie skusić na mit „starych przedwojennych gatunków”?

– Samopsza naprawdę ma wyjątkową moc – powiedziała pani Barbara. – Jeszcze większą niż orkisz i płaskurka, które też uprawia się w Polsce. Zawiera aminokwasy nieobecne w innych odmianach, a znakomite dla układu nerwowego. Dużą ilość białka, nawet 50 procent więcej niż w pszenicy zwyczajnej, do tego witaminy. Minerale? Istna tablica Mendelejewa. Lekko orzechowy posmak.

Gumienni nie zaczęli jej uprawiać ze względów biznesowych. Pani Barbara twierdzi, że do upraw ekologicznych odmian najczęściej mobilizują ludzi choroby. Ponad dziesięć lat temu u ich syna, wtedy nastolatka, wykryto w jelicie komórki nowotworowe. Trzeba było wywrócić świat całej rodziny do góry nogami. Całkowicie zmienić dietę. Organizm ma duże zdolności regeneracyjne, tłumaczy mi, ale potrzebuje z pięć lat, żeby się oczyścić. Szukali więc zdrowej żywności, ale, jak się okazało, większość rolników w okolicy stosuje opryski.

Wtedy postanowili sami ją wyprodukować. Na początek kupili orkisz – odmianę o nazwie Schwabenkorn. Mieli ten sam problem co wszyscy początkujący: po pierwszych zbiorach zastanawiali się, jak prawidłowo obłuszczyć ziarno. Robili to prostą i starą metodą, cepami.

Orkisz jest zbożem bardzo wymagającym podczas łuszczenia, dlatego z początku oddzielali ziarno od plew ręcznie, używając dużego sita, czyli przetaka. W końcu obsiali, na swoje potrzeby, pół hektara samopszy, którą przywieźli od pioniera upraw zbóż reliktowych w Polsce, pana Babalskiego z Kujaw. Udała się, zwiększyli uprawy. Dziś przerabiają ją na mąkę, kaszę, makarony i oferują klientom, najchętniej bez pośredników. W 2020 r. otrzymali nagrodę Rolnik Roku województwa podkarpackiego. Zdrowie dopisuje.

Pierwsze dożynki w dziejach

Kiedy przechodzę obok dojrzałej samopszy, często myślę o pierwszych rolnikach na Bliskim Wschodzie. W górach Zagros ludzie uprawiali zboża pomiędzy 12 tys. a 9800 lat temu. Na neolitycznym stanowisku archeologicznym w Chogha Golan w Iranie badacze znaleźli np. płaskurkę. Jednak pierwsze próby hodowli roślin pochodzą nawet sprzed 23 tysięcy lat z okolic Jeziora Galilejskiego.

Filmowcy różnie wizualizują te chwile. W świetnych fabularyzowanych doku-



Przez wilgotne zboże popsuł nam się kombajn. Racławice, 11 sierpnia 2021 r.

mentach francuskiego reżysera Jacques'a Malaterre'a mieszkańcy neolitycznej wioski wracają z wędrówki ze zbiorem dzikiej pszenicy. Trochę ziaren wysypuje się z worka na ścieżkę w pobliżu wsi. Wiosną kielkują. Ludzie są w euforii. Być może właśnie wtedy ktoś ogłosił pierwsze święto dożynek?

Myślę o chwili, kiedy człowiek nad Wisłą napełniał ziarnem naczynie gliniane, które stoi dziś w Muzeum Archeologicznym. Natura, kształt rośliny są dziś jedynym łącznikiem między naszymi umysłami, bo pierwsi rolnicy nie zostawili słów i wielu symboli. Ale nasze ciała wciąż wykonują te same gesty – radośnie przesypują zboże między palcami, prostują powalone źdźbła, z niepokojem obserwują burzowe chmury. Czujemy po całym dniu roboty to samo zmęczenie i żar na karku.

To rolnicy z Bliskiego Wschodu przynieśli ze sobą zboże do Europy. Z ziem, z których dziś, przez polsko-białoruską granicę, uciekają rodziny spragnione chleba, pokonując tę samą drogę. Imigranci z Bliskiego Wschodu przed tysiącami lat wytrzebili i obsiali pierwsze europejskie pola. Potem, wnosząc na podstawie własnych doświadczeń, było już tylko prościej.

Kiedy pojedziemy do młyna w Dolinie Prądnika, będziemy już wypatrywać jesieni. Wymłócone ziarno obeschnie i będzie można je mielić. Dla ludzi, którzy regularnie uprawiają ziemię, to kolejne święto, czas wielkiej radości. Wybieramy zwykle słoneczny jasny dzień. Jurajskie skały biela się wtedy najmocniej, a czerwieni buków nie ugasi żaden deszcz. Na stole wciąż jeszcze wtedy stoi bukiet z kłosów, wysuszony i trwały.

Kiedyś na dożynki plotło się wieniec. Symbolika związana ze zniwami była bogata i pełna znaczeń. Ja robię to zupełnie odruchowo. Ładnie wygląda i przywołuje pamięć dobrych chwil. Trzeba jeszcze tylko wybrać stopień rozdrobnienia mąki i schować ją w spiżarni w jutowych, gęsto plecionych workach. Wtedy nie psuje się długo. W tym roku przed wyjazdem do młyna czeka mnie wycieczka pod Jasło do państwa Gumienych, którzy użyczą mi swojej łuskarki do samopszy.

Kiedy oddaję ten tekst do redakcji, jest 3 sierpnia. Przygotowałem już magazyn na zboże. Gdy zaczynałem uprawy na własną rękę, często pytałem starszych gospodarzy o rozmaite konkrety: kiedy siać, czy już pora kosić, jak głęboko sadzić. Nigdy nie potrafili udzielić jasnej odpowiedzi. „To

zależy”, „tak na oko”. To tak jakby zapytać ich, jak chodzić. Trzeba dotknąć ziarno, obrócić je w palcach, żeby ocenić, czy już pora. Kłosa obróciły się ku ziemi gotowe wysypać się w każdej chwili. Na środku pola znalazłem legowisko, to chyba sarna, bo raz nakryłem jedną, jak wędrowała przez sad. Widziałem w jej oczach zdziwienie zawarte w lęku. Uciekła.

Za dwa dni przyjedzie kombajnista. Wyprowadził się co prawda do sąsiedniej wsi, ale go namówiłem, bo ma mały niemiecki kombajn claas, idealny na nasze pole. Zapewne będzie się upierał, że to żyto. Wysłałem mu więc esemesem instrukcję wziętą z opisu charakterystyki gatunku: „Nasiona zbiera się w łusce (razem z plewą). Pamiętać o tym, aby zmniejszyć obroty motowideł, co zapobiega odłamaniu dużej ilości kłosów i spadaniu ich na ziemię. Odpowiednio ustawić sita młocarni w taki sposób, aby przez szczeliny wpadały połamane kłosa. Nadmuchiwanie powietrza jak przy owsie. Najlepiej kosić po południu, dzięki temu kłosa są suche i łatwiejsze do odplewiania”. Nie odpisał. Ale nigdy tego nie robi. Po prostu przyjeżdża. © ANDRZEJ MUSZYŃSKI

Dziękuję panu Mirosławowi Zajączowi z Muzeum Archeologicznemu w Krakowie.

MARIA MOCY PEŁNA

ELŻBIETA ADAMIAK, TEOŁOŻKA:

To kobiety wskazują na niesprawiedliwe struktury społeczne. Maryja nie zgadza się na porządek, w którym kobiety są dyskryminowane.

ZUZANNA RADZIK: Zaczyna się sezon mariologicznego kaznodziejstwa.

Kobiety będą słuchać, jakie mają być – na wzór Maryi.

PROF. ELŻBIETA ADAMIAK: Z perspektywy Niemiec, przynajmniej okolicy, w której mieszkam, to trudne do wyobrażenia. Są tu oczywiście sanktuaria czy zakony związane z pobożnością maryjną, ale powiązanie Maryi z pewnym wzorem kobiecości spotyka się rzadko. Maryję wiąże natomiast z kobietami ruch reformatorski katolicki o nazwie Maryja 2.0, który w postulatach reformy Kościoła idzie jeszcze dalej niż Droga Synodalna. Powstała na ten ruch reakcja, ruch Maryja 1.0 zrzeszający kobiety, które trwają przy tradycyjnym podziale ról w rodzinie i uważają macierzyństwo za główne powołanie kobiety. Ale w Kościele katolickim w Niemczech to zjawisko marginalne.

Bardzo cenna w ruchu Maryi 2.0 jest kreatywność kobiet. Ich propozycje zmian w Kościele opierają się na nowym modelu prezentowania Maryi: jest dla nas ważna jako kobieta, nie chcemy jej opuszczać, tylko na nowo zrozumieć jej postać dla siebie i ruchu kobiet w Kościele.

Co można powiedzieć o Maryi innego, niż słyszemy w tradycyjnych kazaniach?

Aktualna nauka Kościoła, opierająca się na Biblii i starożytnej tradycji, stawia inne akcenty niż wiązanie tradycyjnych ról płciowych z Maryją. Poza tym ważne są dwa aspekty wynikające z Soboru Watykańskiego II. Pierwszy to powiązanie

mariologii z eklezjologią, stwierdzenie, że Maryja jest typem Kościoła – czyli że z jej postaci cały Kościół może odczytywać to, co jest jego powołaniem.

Kolejny krok posoborowej teologii dotyczy bardziej mnie, konkretnej jednostki, czyli odczytania Maryi jako modelu człowieka zbawionego. I tu akcent pada na człowieczeństwo, a nie na identyfikację płciową. W takim modelu wszyscy mogą się odnaleźć. Z historii Maryi można odczytać jej drogę zbawienia, która jest unikatowa, jedyna, niepowtarzalna. Ale taka jest droga każdej, każdego z nas. Spojrzenie na nią jako człowieka zbawionego daje nadzieję, że i my jesteśmy na swojej specyficznej drodze do zbawienia. To, co ją odróżnia, staje się drugorzędne. To, że została zbawiona, sprawia, że podobieństwo widzimy w tym, co mamy nadzieję otrzymać. W tym ujęciu to, że Maryja jest uczennicą Jezusa, staje się ważniejsze niż jej macierzyństwo. Można powiedzieć, że jest naszą siostrą w wierze.

I jesteśmy cały czas nie w teologii feministycznej, tylko w posoborowej mariologii?

Jak najbardziej.

Czyli nie można temu myśleniu nic zarzucić, ono nas wręcz obowiązuje?

Tak. To droga, która może najbardziej wiąże się z papieżem Pawłem VI. U Jana Pawła II odnajdziemy wprowadzić tę nową, posoborową teologię, ale też tradycyjną pobożność maryjną z jej teologiczną wizją

ról kobiety i mężczyzny. Paweł VI chciał odnowić kult maryjny poprzez jego zakorzenienie biblijne, chrystologiczne i ekumeniczne. U Jana Pawła II przeważa afirmacja różnych form pobożności maryjnej. Dla Franciszka maryjność nie jest tak ważna, ale także u niego znajdziemy i nowe elementy, i te oparte na tzw. objawieniach prywatnych, jak niedawne poświęcenie Rosji i Ukrainy Niepokalanemu Sercu Maryi.

A gdzie w tym jest mariologia feministyczna?

Myślenie feministyczne rodzi się ponieważ z posoborowego, i to w obu tendencjach. Widzenie Maryi jako typu Kościoła to jedna z linii mariologii, która zwraca uwagę, że Kościół jest symbolicznie i językowo kobiecy. Stąd wywodzi, że to, co dotyczy całego Kościoła jako wspólnoty, jest symbolicznie kobiece i w tej kobiecości odnajdują się wszyscy, niezależnie od płci. Reprezentowanie Kościoła jest w związku z tym zadaniem wszystkich ochrzczonych.

A na poziomie indywidualnym?

Z antropologicznej linii mariologii posoborowej wywodzi się drugi kierunek myślenia feministycznego. Z jednej strony krytykuje on redukcję Maryi do definiowania roli kobiet. Mówienie o niej jako o służebnicy oznacza, że każdy

Antonello da Messina,
Zwiastowanie, ok. 1476 r.,
Galleria Regionale Della Sicilia, Palermo



→ wierzący jest powołany do służenia. A z drugiej strony, gdy chodzi o Magnificat, ubóstwo, różne formy społecznego marginalizowania – podkreśla się, że one w sposób szczególny dotyczą kobiet. W tej logice odczytuje się pieśni Anny, matki Samuela w Starym Testamencie, i Maryi, matki Jezusa w Nowym. To kobiety wskazują na niesprawiedliwe struktury i wyrażają nadzieję na wyzwolenie z nich. Nadzieję, którą jest Bóg. Różnica wobec zwykłej mariologii polega na tym, że dyskryminacja ze względu na płeć zostaje nazwana *explicite*. Jej przewyżczenie to zadanie całego Kościoła. Tutaj widać powiązanie teologicznej twórczości kobiet z reformatorskimi kościelnymi ruchami kobiecymi. A także wspólne cele społecznych i kościelnych ruchów kobiet: przewyżczenie niesprawiedliwości opierających się na przynależności płciowej.

Co jeszcze na temat feministycznej mariologii każdy kaznodzieja powinien wiedzieć?

Że Maryja jest bardzo ważną osobą jako kobieta solidarna z kobietami, stojąca po naszej stronie. Nie jako wzór kobiety zgadzającej się na porządek społeczny, w którym kobiety są dyskryminowane. Mariologia feministyczna jest jednak inkluzywna, dyskryminację ze względu na płeć widzi jako element struktur niesprawiedliwości opartych na innych rozróżnieniach. Nawiązuje przez to do analiz interwencyjności, czyli nakładania się na siebie i wzmacniania różnych form dyskryminacji.

Maryja jest kobietą autonomiczną i niezależną, samostanowiącą. Taki jej obraz wylania się z nowotestamentowych tekstów. Wprost z Magnificat. Podróż do Elżbiety jest jej własną decyzją, nie ma tu wzmianki o mężczyźnie. Teologicznie istotna scena zwiastowania przedstawia Maryję w jej wolności wyrażenia zgody, przyjęcia zadania czy też własnego powołania. W tej scenie nazwana jest dziewczą, co teologie feministyczne odczytują jako wyraz jej autonomii. Dziewica rozumiana jest nie jako kobieta niemająca relacji z mężczyzną, ale jako pełna mocy, niezależna. Są też teolożki, które widzą Maryję Dziewicę jako tę, która stoi po stronie kobiet doświadczających molestowania czy gwałtu.

W jaki sposób?



MARIUSZ FORECKI DLA „JP”

PROF. ELŻBIETA ADAMIAK jest teolożką, wykładowczynią Instytutu Teologii Katolickiej Uniwersytetu Koblencja-Landau. Autorka licznych tekstów i książek z zakresu teologii dogmatycznej, ekumenicznej i feministycznej. Wydała m.in.: „Błogosławiona między niewiastami. Maryja w feministycznej teologii Cathariny Halkes” (1997), „Kobiety w Biblii. Stary Testament” (2006), „Kobiety w Biblii. Nowy Testament” (2010), „Traktat o Maryi” (2006), „Communio sanctorum. Zarys ekumenicznie zorientowanej dogmatycznej teologii świętych obcowania” (2011).

W niej odnajdują to, co wbrew własnej woli utraciły. Możliwość stanowienia o sobie. To jest nowe odczytanie dziewictwa.

Idąc dalej, widzimy, że w pewnych formach kultu Maryi oddawana jest cześć niemal boska. Oczywiście teologicznie nie jest ona Bogiem ani boginią. Wiemy jednak, że główny nurt teologii i kultury widział Boga w kategoriach męskich i współcześnie jest to przełamywane poprzez nowe odczytywanie Biblii i tradycji. Reinterpretacja pobożności maryjnej polega na tym, by odczytywać, jakie cechy przynależą do niej jako stworzenia, a co było – i wciąż jest – na nią projektowane ze względu na potrzebę oddawania czci Bogu we wszystkich możliwych aspektach. Tu przemiana obrazu Maryi zmienia obraz Boga.

Czyli inna konstrukcja postaci Maryi zmienia nam opis człowieka oraz odmienna obraz Boga, oddaje mu czułość, macierzyńskość.

Tak. Gdyby iść dalej, można powiedzieć, że to przekracza granice płci. Bo czuły Bóg może być wyobrażany i po-

myślany jako męski i żeński, zależnie od tego, co w danej kulturze uznawane jest za męskie, a co za żeńskie.

Czyli chodzi o to, by nie mówić, że teraz oddajemy Bogu cechy żeńskie, bo troska i czułość są żeńskie i macierzyńskie, tylko oddać je Bogu bez kolorowania tych cech na niebiesko i różowo.

Ostatecznie tak. Jeśli mówimy, że człowiek został stworzony na podobieństwo Boga, dotyczy to człowieka w każdej postaci.

Jak teolożka patrzy na siłę pieśni i obyczajów związanych z dawną maryjną teologią? Te treści przesiąkają nam do krwi. I potem dziewczyna płacze na warsztatach, gdy przypomni sobie pieśń „Była cicha i piękna jak wiosna” – bo ona to odrzuca.

Rzeczywiście w procesie rozwoju wewnętrznego niektóre kobiety zęgnają się z Maryją. Jeśli pozostają na poziomie powiązania jej z jakąś ograniczającą je pobożnością, może się okazać, że wyzwolenie się prowadzi do utraty poczucia znaczenia matki Jezusa, jakby zagubienia jej samej poza formami jej kultu. Sama idę w inną stronę. Np. Godzinki wiążą alegoryczne obrazy biblijne z Maryją, choć pierwotnie nie mają one z nią związku. W ten sposób przypominają ważne kobiety Biblii.

„Judyt wojująca”?

No właśnie. Judyta nie jest pokorną służebnicą, która na wszystko się zgadza. To paradoks widzenia postaci Maryi. Godzinki powstały w ramach myślenia, o którym dziś byśmy powiedzieli, że jest biblijnie nieuzasadnione. Jednak powiązania w tych tekstach wzmacniają kobiety w ich własnych poszukiwaniach. Nawet ta „cicha i piękna jak wiosna” może taka być, bo „żyła zwyczajnie jak my”.

To „zwyczajnie jak my” ściąga ją na naszą stronę jako siostrę?

Tak. Ja to analizuję intelektualnie, ale rozumiem, że pieśni i tradycje pobożnościowe budzą emocje. Z jednej strony kojarzą się z czymś swojskim, bardzo bliskim, z drugiej z przemocą formacji w tradycyjnych modelach ról płciowych.

Kiedy zaproponowałam zrobienie feministycznego różańca, okazało się,

że dla niektórych dziewczyn wszystko, co się kojarzy z tradycyjną pobożnością maryjną, jest odstręczające. Pamięta Pani swój moment spotkania z mariologią feministyczną jako odzyskiwanie Maryi?

Przeżyłam dwa przełomy w mojej relacji z Maryją. Byłam wychowana w dzieciństwie i młodości w Ruchu Szentszackim, w duchowości zawierającej akt całkowitego oddania się Maryi i kult Współodkupicielki. Słowem, mariologia maksi-malistyczna. Pierwszym przełomem była intelektualna dekonstrukcja tego myślenia na studiach teologicznych. Nie na poziomie teologii feministycznej, tylko współczesnej mariologii i papię Pawła VI, którego nauczanie analizował i propagował o. prof. Celestyn Napiórkowski. Skorzystałam z potencjału, który był w nauczaniu Kościoła, tylko mało znany i dlatego nieprzyjmowany.

Drugim etapem były kontakty międzynarodowe i wynikające z nich nowe, feministyczne spojrzenie na Maryję. Dla mnie to jest kontinuum, nie miałam fazy odrzucenia Maryi, ale przemiany odno-

szczenia się do niej. Mariologia feministyczna jest bardzo twórcza w aktualizacji obrazu Maryi we współczesnej sytuacji, ale z całą świadomością, że jest to aktualizacja, a zatem reinterpretacja Biblii i tradycji.

Jak możemy feministycznie spojrzeć na święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny?

We współczesnej eschatologii rozwijana jest hipoteza zmartwychwstania w śmierci. Odnoszona do wszystkich ludzi, jest ona próbą rozwiązania trudności logicznych związanych z kategoriami czasu i przestrzeni, przenoszonymi na to, co jest „po” śmierci. Zgodnie z tą hipotezą wszystko, co istotne, wydarza się w śmierci, a nie „potem” – spotkanie w Bogiem, sąd. Przede wszystkim przejście przez śmierć jako dojście do pełni życia, jako uczestnictwo w zmartwychwstaniu Jezusa. Maryja jawi się tu jako pierwsza, co do której Kościół w sposób uroczysty wraził wiarę o „dopełnieniu życia ziemskiego” i wzięciu jej „z ciałem i duszą”, czyli w pełni jej człowieczeństwa do

nieba. Maryja jest więc naszą siostrą, poprzedzającą nas na drodze wiary.

Wniebowzięcie Maryi nazywane jest ze względu na zwyczaj święcenia ziół świętem Matki Boskiej Zielnej. Symbolika ta ma wiele poziomów. Związek z porą roku, z roślinnością w fazie dojrzewania, ze zniwami – a więc powiązanie Maryi ze stworzeniem; Wniebowzięcie jako faza dojrzałości w jej życiu. Ale moc lecznicza ziół związana jest również z wielowiekową wiedzą przekazywaną i stosowaną przez wieki przez kobiety. Wiedzę często ściągnącą na nie podejrzenia.

Jak wygląda Maryja w świetle dialogu ekumenicznego?

Chodzi o ekumenizm z kim? W przypadku prawosławia wspólne dziedzictwo jest głębokie, mimo różnej terminologii i akcentów. Oczywiście problemem są dwa ostatnie dogmaty maryjne – o niepokalanym poczęciu i wniebowzięciu Maryi, zwłaszcza ze względu na ich powiązanie z dogmatem o nieomyślności biskupa Rzymu.

→

TYGODNIK
POWSZECHNY

Tydzień zaczyna się w środę.

WAKACYJNY ROZKŁAD JAZDY STRONY „TYGODNIKA”

★ W każdą środę na stronie nowy numer

★ W czwartki nowe odcinki „Rosyjskiej ruletki” Anny Łabuszewskiej. Dowiedz się, co się dzieje w Rosji. Wszystkie teksty cyklu publikujemy w otwartym dostępie

★ W każdy piątek nowy tekst Wojciecha Jagielskiego. Jeden z najwybitniejszych europejskich reporterów o punktach zapalnych świata

★ W soboty czytasz wcześniej: tekst wybrany przez redakcję wyłącznie dla subskrybentów

★ W niedziele polecamy lektury na wakacje

★ W poniedziałki najważniejsze wydarzenia tygodnia krótko komentują redaktorki i redaktorzy „Tygodnika”

★ W każdy wtorek dowiesz się, który tekst był najchętniej czytany przez czytelniczki i czytelników

TygodnikPowszechny.pl

Weź, czytaj cały tydzień!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

→ Jeśli chodzi o ewangelików i ewangeliczki, mamy kilka trudności niefeministycznych. Pierwsza to pytanie, co można w mariologii i pobożności maryjnej uzasadnić biblijnie. Okazuje się, że jednak więcej, niż wskazuje życie codzienne Kościołów i potoczne wyobrażenia o sobie. Wspólne są sobory starożytności, które widzą Maryję w kontekście chrystologicznym. Mamy wspólną wiarę w Maryję jako matkę Jezusa. U dwóch ewangelicznych autorów występuje przekonanie o dziewiczym poczęciu Jezusa (choć ewangelicy powiedzą, że nie chodzi o wiecznotrwałe dziewictwo Maryi). Mamy wspólny tekst Magnificat czy inne słowa przypisane jej w Ewangeliach. Modlitwa tekstem Magnificat jest pobożnością maryjną, choć nie jest skierowana do Maryi, lecz modlitwa z nią. Warto zadać sobie pytanie, co rozumiemy przez pobożność maryjną. Czy nie zacieśniamy tego pojęcia do modlitwy skierowanej do niej? Maryja, którą naśladujemy modląc się tekstem Magnificat, widzenie w niej uczennicy Jezusa – to jest jak najbardziej wspólna tradycja.

Czyli we współczesnej mariologii blisko nam do siebie.

I współczesnej, i starożytnej. Nauki o niepokalanym poczęciu i wniebowzięciu są stosunkowo późne, pojawiają się od IV-V wieku na marginesach teologii. Pierwsze wspólne sobory nie traktują Maryi niezależnie od historii zbawienia w Jezusie Chrystusie. Typologia Maryja-Kościół też jest starożytna. Inny wspólny poziom widzę w patrzeniu na Maryję jako świadka wiary.

Usłyszałam kiedyś od koleżanki metodystki, że ucieczka od Maryi zabiera kobietom silną emancypującą postać, której można się chwycić.

Rozwój teologii feministycznej wśród protestantek poszedł pierwotnie w kierunku odkrycia Marii Magdaleny. Jej postać nie odgrywała takiej roli w kontrowersjach wyznaniowych. Jest mocno związana z historią ukrzyżowania Jezusa i obecna w przekazie nowotestamentowym jako pierwszy świadek Zmartwychwstałego. Ale są też dążenia protestantek, by „odzyskać” Maryję. Można też powiedzieć, że o ile w XVI w. uznawanie w katolicyzmie Maryi nie-

mal za boginię było dla reformatorów argumentem za odrzuceniem pobożności maryjnej, to dziś odchodzenie od tego i powrót do opiekuńczości i macierzyństwa w obrazie Boga jest jakby zgodą z protestanckimi argumentami. I teologia feministyczna wypracowuje wspomniane wcześniej rozwiązanie, moim zdaniem możliwe do zaakceptowania przez obie strony.

Może przyszedł czas na niepolemiczną teologię feministyczną, taką, która po prostu tworzy swoją mocną opowieść?

Widzę wymiar religijny radykalnych protestów w czasie strajków kobiet. Przerwanie liturgii było dla mnie przekroczeniem pewnej granicy. Dla porównania: strajk kościelny, do którego nawoływał ruch Maryja 2.0, polegał na protestach przed kościołami, na modleniu się na zewnątrz – a więc pewnej formie bojkotu. Rozumiem gniew na Kościół niepotrafiący uporać się z grzechem we własnych strukturach. Rozumiem oddalanie się od niego. Ale jednocześnie nie potrafię zgodzić się na wiązanie Kościoła wyłącznie z tym, co nauczają (zwłaszcza niektórzy) biskupi, na brak różnicowania głosów w wewnątrzkościelnej dyskusji.

Wracamy do pytania o reprezentowanie Kościoła – przez wszystkich jego członków i członkinie. Głosy inne, wypowiadane teologicznym językiem i z perspektywy chrześcijańskiej, nie są przyjmowane jako prawomocne – nie tylko przez silną konserwatywną część Kościoła katolickiego w Polsce, ale też w ogólnospołecznych debatach o jego roli. Widzę w tym niebezpieczeństwo utraty wartości istotnych dla własnego duchowego rozwoju.

Czyli raczej tworzyć Maryję 2.0, niż odchodzić?

Trzeba przyznać, że niektóre z założeń cielek Maryi 2.0 już odeszły. Kościół jest w głębokim kryzysie. A w historii w takich fazach do głosu dochodziły kobiety.

© Rozmawiała ZUZANNA RADZIK

ZUZANNA RADZIK jest teolożką, publicystką i felietonistką „Tygodnika Powszechnego”. Zajmuje się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim oraz teologią feministyczną. Autorka książek „Kościół kobiet” (2015) oraz „Emancypantki. Kobiety, które zbudowały Kościół” (2018).

Warsztaty wstawania z kolan

MARCIN CHODUŃ

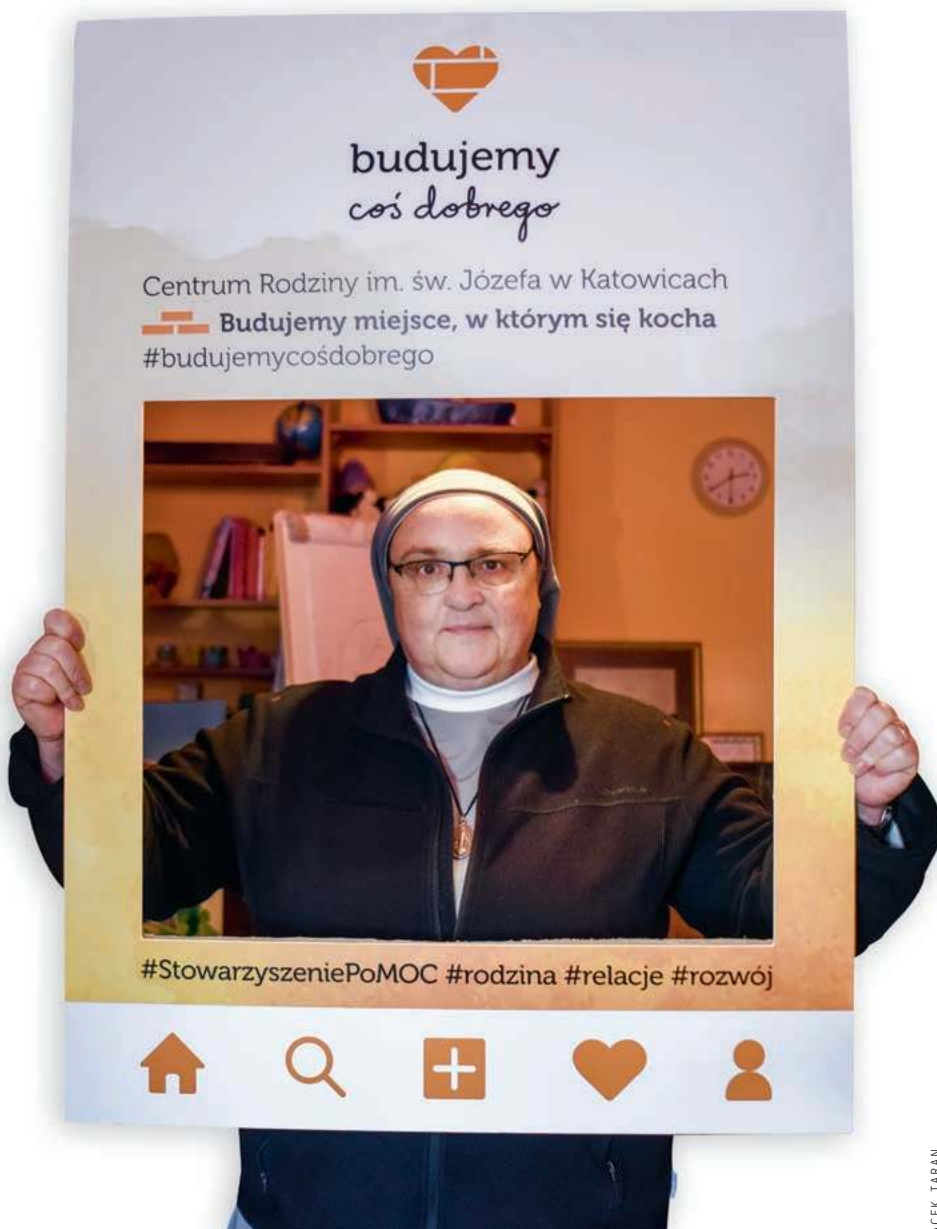
Pomaga pracownikom seksualnym, ofiarom handlu ludźmi, kobietom bitym przez synów. Chce im pokazać, że Bóg się nimi nie znudził.

SIOSTRA ANNA BAŁCHAN ZE ZGROMADZENIA Sióstr Maryi Niepokalanej przez lata pracy z kobietami w życiowych kryzysach obserwowała, jakie spustoszenie niesie brak więzi pomiędzy dziećmi, rodzicami i dziadkami. Przez to, tłumaczy, człowiek pakuje się potem w życiowe tarapaty – bo nie potrafi wyrażać swoich emocji, nie wie, jak wspierać własne dziecko i je chronić.

Dlatego postanowiła wybudować w Katowicach Centrum Rodziny św. Józefa. Obowiązkowe aktywności? Całusy, przytulanie, chodzenie na czworakach.

Kraina latających noży

W słowach nie przebiera. Zadzwonisz, żeby umówić się na rozmowę – szorstkim głosem opowie: „Tylko nie o prostytutkach, bo to nam rozpieprza robotę”. Owszem, s. Anna dawniej opiekowała się głównie nimi, ale dziś spektrum działania kierowanego przez nią stowarzyszenia PoMOC dla Kobiet i Dzieci im. Maryi Niepokalanej jest szersze – obejmuje kobiety dotknięte wszelkimi możliwymi kryzysami życiowymi: począwszy od ofiar przemocy domowej czy handlu ludźmi, na osobach mających problemy w relacjach z dziećmi skończywszy. Nadal jednak stowarzyszenie jest w mediach kojarzone głównie poprzez pryzmat pracy z prostytutkami, co siostrę irytuje – bo to odstrasza inne kobiety.



Siostra Anna Bałchan

A przecież w stowarzyszeniu żadna nie zostanie odesłana z kwitkiem.

Wszystko zaczęło się w 1998 r., gdy ówczesny prezydent Katowic Henryk Dziewior zwrócił się do matki generalnej zgromadzenia, siostry Bałchan, z prośbą o wyznaczenie osoby do pracy w środowisku prostytutek. W tej samej sprawie kontaktował się z nią abp Damian Zimoń – bo charyzmatem założonego w XIX w. zgromadzenia jest troska o dziewczyny i kobiety narażone na przemoc i wyzysk, a także o „dusze, które stanęły nad przepaścią”. – No i zgromadzenie właśnie mnie do tej roboty wysłało – wspomina s. Bałchan.

Nie wiedziała, na czym owa robota ma polegać. Nikt tego w zgromadzeniu nie wiedział. Jasne było tylko, że s. Anna ma stworzyć własny projekt pracy pomocowej. I że pójdzie na ulicę – gdzie spotka nie tylko prostytutki, ale także narkomanki i alkoholiczki. Ale co dalej? Jak się zachowywać? Jak te kobiety będą reagować na habit?

Zaczęła jeździć po Polsce. Szukała osób z doświadczeniem, bo przecież, tłumaczy, z pustego i Salomon nie należy. Dwa miesiące spędziła u siostry Małgorzaty Chmielewskiej. Była także za granicą: w Rumunii (w Bukareszcie oraz Transylwanii, u księdza prawosławnego opie-

kującego się dziećmi ulicy) oraz we Włoszech (gdzie po raz pierwszy zetknęła się z ofiarami handlu ludźmi). W pracę na katowickich ulicach wprowadzał ją ks. Adrian Kowalski, założyciel Stowarzyszenia Pomocy Dzieciom i Młodzieży „Dom Aniołów Stróżów”.

Pracowała głównie w centrum Katowic – na dworcu, ulicy Chrobrego, placu św. Andrzeja. Potem na Załężu, na ulicy Pokoju i Gliwickiej, czyli jak mówiło się wtedy na Śląsku: „w krainie latających noży”.

W 2001 r. siostra Anna Bałchan założyła Stowarzyszenie PoMOC. W kolejnych latach odbyła specjalistyczne szkolenia oraz kursy terapii w Krakowskiej Szkole Psychoterapii Psychoanalitycznej i w Polskim Instytucie Ericksonowskim oraz kurs terapii krótkoterminowej w Krakowie.

Tworzyć przestrzeń

Pierwsze chwile na ulicy? – Na początku było dziwnie – opowiada. – Kobiety, widząc mnie w habitcie, spodziewały się moralizowania. Niektóre nawet się nieco bały, w końcu kawał ze mnie baby. Ale gdy otworzyłam gębę, to już normalnie się rozmawiało. Bez oceniania, nawracania. Po prostu towarzyszyłam tym ludziom.

Pytała kobiety na ulicy: „Czego potrzebujesz?”. I takiej właśnie pomocy s. Bałchan starała się im udzielić. Ktoś potrzebował np. pomocy lekarskiej – pewna kobieta bardzo niewyraźnie wypowiadała cennik swoich usług seksualnych, więc siostra zaproponowała jej wizytę u logopedy. – I to był początek jej nowego życia. Bo gdy ta kobieta nauczyła się mówić, wkrótce zniknęła z ulicy.

– Prawda jest taka, że nikt z własnej natury nie sprzedaje swojego ciała – mówi s. Bałchan. – Każdy chce być kochany i do kogoś przynależeć. Nie oceniam tych kobiet, ja tylko stwarzam przestrzeń, z której mogą skorzystać. Moim celem jest, żeby doświadczyły, że Bóg się nimi nie znudził.

Pod szarym habitem silne, krępe ramiona. Na twarzy nieco łobuzerski, śmiały uśmiech. Jeśli obraz cichej, zanurzonej w nieśmiałej pokorze zakonniczki uznać za obowiązujące wyobrażenie, ona się w takich ramach nie mieści.

Urodziła się w 1965 r. w Mysłowicach. Dzieciństwo spędzała głównie na podwórku. Szkoła średnia – liceum →

→ zawodowe, w którym uzyskała tytuł mechanika obróbki skrawaniem. Choć łatwo nie było. Wyznaje otwarcie: orłem w szkole nigdy nie była.

Powołanie pojawiło się w wieku osiemnastu lat. Podczas przygotowań do matury, ulegając ostatecznie dziwnemu, wewnętrznemu wołaniu, w jedną z bezsennych nocy napisała na kartce słowa skierowane do Jezusa: „Dobra, wygrasz!”. Po maturze wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Maryi Niepokalanej w Katowicach. W należącym do niego budynku przy ulicy Zygmunta Krasińskiego mieści się również siedziba Stowarzyszenia PoMOC.

Reality show

Boczne drzwi wiodą schodami do niewielkiego biura. Obok – gabinet konsultacyjny. Oprócz sesji terapeutycznych odbywają się tutaj także rozmowy ze zgłaszającymi się kobietami.

Siostra Anna, choć dziś niedziela, zabiegana. Świątek, piątek – spotkanie za spotkaniem. Sprawozdania za poprzedni rok, planowanie kolejnego.

– Jesteśmy organizacją pożytku publicznego, więc projekty mamy niestety tylko na rok – tłumaczy. – Za każdym razem jest wielka niewiadoma, co będzie dalej. Czy będą pieniądze dla ludzi? Czy będzie możliwość utrzymania ośrodka?

Większość działań odbywa się w ramach projektów (do głównych, powtarzanych cyklicznie od lat, należą „Prowadzenie Krajowego Centrum Interwencyjno-Konsultacyjnego dla ofiar handlu ludźmi” oraz „Poradnictwo specjalistyczne dla kobiet i ich dzieci dotkniętych współczesnymi formami niewolnictwa lub innymi formami przemocy”). Stowarzyszenie od kilku lat prowadzi także chroniony Ośrodek Rehabilitacyjno-Wychowawczy z ośmioma miejscami noclegowymi. Trafiają do niego ofiary przemocy domowej – głównie kobiety z dziećmi oraz seniorki – a także ofiary handlu ludźmi.

Stowarzyszenie realizuje aktualnie – równoległe do swojego największego przedsięwzięcia, czyli budowy Centrum Rodziny św. Józefa – projekt mieszkań chronionych dla kobiet (we współpracy z Centrum Integracji Społecznej). W mieszkaniach tych kobiety mogą przebywać do pół roku i muszą sobie zapewnić tylko jedzenie. Media, asystenci, opie-

Jeśli obraz cichej,
zanurzonej w nieśmiałej
pokorze zakonnicy uznać
za obowiązujące wyobrażenie,

**siostra Bałchan się
w takich ramach nie mieści.**

kunowie mieszkań, specjalne treningi – wszystko jest opłacane z pieniędzy przyznanych stowarzyszeniu w ramach projektu. Dzięki temu podopieczne mogą odłożyć pieniądze, aby wynająć mieszkanie i stanąć na nogi.

Najczęściej nie mają dokąd wracać, jako ofiary kryzysów zwykle związanych z przemocą. Dwoje ludzi marzy o rodzinie, a potem przychodzi – jak mawia z przekąsem zakonnica – *reality show*, zderzenie z realiami. I kobieta zostaje z dziećmi oraz z mężem alkoholikiem, który leczyć się nie chce, a zmusić się go nie da, zadłuża więc mieszkanie, a ona włóczy się po ośrodkach.

– Ostatnio – ciągnie s. Bałchan – pojawiła się fala starszych kobiet bitych przez swoich synów. Ona ma siedemdziesiąt lat, emeryturę, uiszcza skrupulatnie opłaty, a syn ma czterdziestkę na karku, lubi alkohol i pograża się w długach. I co teraz? Ona nie ma sumienia go wyrzucić. Więc także włóczy się po ośrodkach, płacąc za mieszkanie, w którym już nie mieszka. Zeznań jednak nie złoży, bo to przecież syn.

Czy tam rosną truskawki?

Według definicji Konwencji Narodów Zjednoczonych handel ludźmi obejmuje werbowanie, przekazywanie i przechowywanie osób przy użyciu groźb, siły czy innych form przymusu w celu wykorzystania ich do prostytucji, prac i usług przymusowych, niewolnictwa lub podobnych praktyk.

W Polsce dominuje handel wewnątrz-krajowy, a przestępstw najczęściej dokonują Polacy na współobywatelach. Najczęściej werbuje się kobiety do prostytucji; znaczna jest też liczba przymuszanych do pracy – np. w rolnictwie albo przy segregowaniu używanego odzieży. Polska jest krajem pochodzenia ofiar, tranzytowym, jak również docelowym (trafiają do

nas kobiety m.in. z Ukrainy, Bułgarii, Rumunii czy Mołdawii).

Ostatnio także z Afryki. – To nowa fala – tłumaczy s. Bałchan. – Polacy jadą do Ugandy czy Gambii i biorą na miejscu ślub, za co dostają ok. 10 tys. dolarów. Wracają do kraju i uruchamiają legalny bieg dokumentów. Ale potem wybranka nagle przestaje się podobać, a mężczyzna albo przestaje się nią interesować, albo gdzieś znika. Kobieta jest zdana sama na siebie, bez znajomości języka, poczucia wartości pieniądza, zaufania do policji.

Stowarzyszenie miało ostatnio dwie takie podopieczne. – Jednej z nich nie mogliśmy potraktować jako ofiary handlu ludźmi, bo była po ślubie. Najpierw przyjął ją jeden z ośrodków jako ofiarę przemocy domowej. Zgodnie z regułami kobieta powinna się pozierać po kilku miesiącach, ale jak ma to zrobić dziewczyna z Afryki bez ubezpieczenia i w zagrożonej ciąży? Przyjęły ją siostry zakonne w Przemysłu. Ale były problemy, bo chłopczyk, który się urodził, miał biegunkę. Trzeba było do szpitala, a to przecież ogromne pieniądze. Dziewczyna za nic nie chciała się zgodzić, nie miała pieniędzy, a mąż odmawiał. Ostatecznie wezwano straż graniczną, która oceniła, że jest ona ofiarą handlu ludźmi. Dzięki temu mogła trafić do naszego Ośrodka Rehabilitacyjno-Wychowawczego.

Ofiarami handlu są nie tylko kobiety. Podczas spotkań w parafiach często do s. Bałchan podchodzą mężczyźni: „Ja byłem w takim obozie pracy. Ale nikomu nie powiedziałem. Nikt by nie zrozumiał. Co z tego, że brama jest otwarta – masz rodzinę, więc zaciskasz pasa i zasuwasz. Wierzysz, że w końcu dostaniesz swoje pieniądze”.

Sprawcy, tłumaczy siostra, często wykorzystują niewiedzę na temat warunków pracy w danym kraju. Dlatego stowarzyszenie od lat prowadzi programy edukacyjne w szkołach. – Gdy pytamy, jak ma wyglądać umowa o pracę, jakie są stawki godzinowe czy podatki w danym kraju, okazuje się, jak znikoma jest to wiedza. Dlatego uczymy, jak się przygotować do wyjazdu. Że należy choćby sprawdzić, czy w danym miejscu w ogóle rosną truskawki, które mieliby zbierać.

– Przestępcy szukają ofiar zwykle wśród osób w trudnej sytuacji finansowej czy psychicznej, a także pośród ludzi

przeżywających kryzys więzi – ciągnie s. Bałchan. – Często wśród wychowanków domów dziecka, bo to ludzie, których nikt nie będzie szukał.

Rytm serca

Dlatego, uważa s. Bałchan, tak ważne jest budowanie relacji. Stąd pomysł Centrum Rodziny św. Józefa. Na spotkaniach często podchodzili do niej seniorzy: „Proszę siostry, nasze wnuki za granicą, a tak by się chciało rączkę dziecka potrzymać, bajkę poczytać, przytulić malucha”. Inni mówili: „Chcę być lepszą babcią, lepszym dziadkiem, lepszą ciocią”.

Siostra Bałchan: – Jako wolontariusze w żłobku i przedszkolu będą zaangażowani również seniorzy. Dzieci będą w naturalny sposób uczyły się szacunku, poznając te osoby, dotykając ich, słuchając rytmu ich serca, które bije już inaczej niż u młodych. Będzie to z korzyścią nie tylko dla dzieci czy dla usamodzielniających się matek, które nie mają wsparcia rodziny. Dzieci będą też wpływać korzystnie na seniorów. Ich przecież nie obchodzi, że łamie cię w krzyżu. Tylko one mogą sprawić, że zaczniesz udawać psa lub konia.

Prace na budowie Centrum Rodziny św. Józefa trwają od 2016 r. Obiekt jest obecnie w stanie surowym zamkniętym – schną jeszcze tynki, za chwilę będą podwieszane sufity. Do wykonania została cała elektryka. Budynek powstaje jedynie dzięki wpłatom darczyńców oraz kilku dotacjom. Kwota potrzebna do zakończenia projektu: cztery miliony złotych.

W Centrum znajdują się żłobek, przedszkole, gabinety terapeutyczne, kawiarenka oraz przestrzeń warsztatowa, gdzie będą się odbywały konferencje dla mężczyzn i kobiet na temat ich ról w rodzinie oraz zajęcia wspierające budowanie więzi, przeznaczone dla wszystkich członków rodzin.

Siostra Anna Bałchan: – Człowiek rozwija się w relacji z drugim człowiekiem. Dawniej nikt nie uczył, jak rozmawiać. Wychowujemy nasze dzieci tak, jak i my zostaliśmy wychowani, często prawie nie rozmawiając. W Centrum będziemy pokazywać, jak należy to robić. Będziemy robić to, czym już od ponad dwudziestu lat zajmujemy się w Stowarzyszeniu PoMOC: uczyć kochać.

© MARCIN CHODUŃ



POOL NEW / REUTERS / FORUM

Więcej Boga, więcej strzelb

AGNIESZKA PISKOZUB-PIWOSZ

Dla chrześcijańskich nacjonalistów próby ograniczania nadanego przez Opatrzność prawa do noszenia broni są bluźniercze.

KIEDY JUŻ WSZYSCY ZAPEWNIĄ O „myślach i modlitwach” w intencji ofiar i ich bliskich, kiedy media znów zaproszą zwolenników i przeciwników dostępu do broni palnej, kiedy politycy wygłoszą „nigdy więcej” – wtedy zwykle wydarza się kolejna strzelanina. I kolejne. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że w sprawie dostępu do broni palnej w USA mamy do czynienia z impasem. Trwa skuteczna obstrukcja w Senacie, politycznie inspirowana oporem południowych stanów przeciw zaostreniu przepisów i lobbieniem wciąż wpływowego Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego (NRA). Jeśli coś się zmienia, to liczba sztuk broni w domach. Po każdej masakrze Amerykanie ruszają na zakupy, być może pod

wpływem narracji o tym, że potrzeba więcej „dobrych ludzi z bronią w ręku”, ale i w obawie, że w końcu z wielkich słów polityków wynikną zmiany i lepiej pospieszyć się z zakupem.

Tablice z dekalogiem

Przeciwnicy regulacji podnoszą argumenty, które uważam za kluczowe dla zrozumienia kwestii rozpalających debatę publiczną w USA. Według nich przemoc to problem „serca”, nie samej dostępności broni palnej. Chodzi nie tylko o zło w sercu sprawcy danej masakry, ile o zło, jakie rzekomo płeni się w amerykańskim społeczeństwie. Wśród winnych tego stanu rzeczy pojawiają się często brutalne gry wideo. Dość łatwo się z tym argumentem

→

→ rozprawić – są one popularne na całym świecie, a to w USA wydarza się najwięcej masowych strzelanin. Po tych, które miały miejsce w Midland i Odesse w Teksasie (2019), Dan Patrick, zastępca gubernatora, w programie „Fox & Friends”, po wygłoszeniu krytyki branży gier wideo, powiedział: „Dopóki chwalimy Boga tylko w niedzielę, a przez pozostałe sześć dni wyrzucamy Go z rynków naszych miast, ze szkół, to czego się spodziewamy?”.

Badanie Baylor Religion Survey z 2014 r. wskazało, że aż 74 proc. ewangelikalnych chrześcijan (prawie o 40 proc. więcej niż pozostali Amerykanie) jest przekonanych, że „nieobecność Boga” w miejscach publicznych w znacznym stopniu przyczynia się do przemocy z wykorzystaniem broni palnej. Odpowiedzią na takie przekonania są m.in. inicjatywy umieszczania w szkołach tablic dekalogu czy haseł „In God We Trust” („Ufamy Bogu”).

Z jednej strony nie wydaje się to zaskakujące: hasło to znajdziemy na dolarach czy na tablicach rejestracyjnych w dużej części stanów. Amerykańscy politycy powszechnie powołują się na Boga i Biblię – do tego stopnia, że przestaje to przykuwać uwagę kogokolwiek. A jednak dla znaczącej grupy Amerykanów – chrze-

ścijańskich nacjonalistów – to odniesienia kluczowe.

My chcemy Boga

Hasła chrześcijańskich nacjonalistów wybrzmiewają coraz głośniejsze w wielu krajach, także w Polsce. Tradycyjne odwołania do „wartości chrześcijańskich”, zawołanie „my chcemy Boga”, silna obecność symboli i pojęć religijnych w przestrzeni publicznej Polski – mają inne źródła niż w USA, ale są podpierane przez trendy kulturowe i organizacje silnie inspirowane chrześcijańskim nacjonalizmem zza oceanu. Słuchając polityków domagających się naprawy moralnej społeczeństwa w duchu konserwatywnym, warto o tych wpływach pamiętać.

Chrześcijański nacjonalizm przekracza granice wyznaniowe. Choć kojarzy się głównie z ewangelikalizmem, to charakterystyczne dla niego przekonania są obecne u przedstawicieli innych denominacji. Jakże to przekonania? Przede wszystkim, w odróżnieniu od większości Amerykanów, chrześcijańscy nacjonaliści są przeciwni odrębności religii i sfery publicznej (19 proc. respondentów badania Pew Research Center z marca 2021 r.). Popierają ogłoszenie chrześcijaństwa oficjalną religią w USA (15 proc.). Grupę tę łączy także przekonanie (18 proc.), że

amerykańska konstytucja jest dokumentem zainspirowanym przez Boga.

Badania wskazują na wyraźną korelację amerykańskiego nacjonalizmu ze sprzeciwem wobec regulacji dotyczących broni palnej. Dlatego dyskusja o faktach, statystykach i stanie prawnym w innych krajach ma sens tylko dla części Amerykanów. Dla co piątego wszelkie próby ograniczania „danego przez Boga” prawa do noszenia broni są niedyskutowalne, wręcz bluźniercze. To właśnie ta grupa szuka rozwiązania problemu przemocy we wprowadzaniu „wartości chrześcijańskich”, jednocześnie opowiadając się za jeszcze powszechniejszym prawem do posiadania broni.

Sprzedaj płaszcz, kup miecz

Zachęty takie można usłyszeć od polityków i publicystów z prawicy, jak i na kazaniach części ewangelikalnych duchownych, dla których noszenie broni jest wręcz przejawem miłości bliźniego. Jasno wypowiedział się w tej sprawie pastor Gary Cass: „Nie możesz być chrześcijaninem, jeśli nie nosisz broni”. Argumenty za „danym od Boga” i zapisanym w drugiej poprawce do konstytucji prawem do obrony siebie i swoich bliskich, a także swojego stanu przeciwko zakusom rządu federalnego, odwołują się do miłości bliźniego i religijnego oporu przed złem i tyranią. Łatwo znaleźć strony internetowe wyliczające cytaty biblijne popierające „prawo do samoobrony”, jak ten: „kto nie ma [trzosy], niech sprzeda swój płaszcz i kupi miecz” (Łk 22, 36).

W wypowiedziach szefostwa NRA wracają te same kategorie. Po strzelaninie w Parkland na Florydzie (2018) Wayne LaPierre, wiceprezydent tej organizacji, mówił: „Nie ma większej osobistej wolności niż prawo do posiadania i noszenia broni, do chronienia siebie i do przetrwania. Nie pochodzi ono od ludzi, ale zostało zagwarantowane przez Boga jako nasze amerykańskie prawo przysługujące z urodzenia”.

Mimo że stanowią mniejszość – zarówno wśród obywateli USA, jak i chrześcijan w USA – to właśnie chrześcijańscy nacjonaliści blokują zmiany w prawie. Wspierani przez silny lobbying, przyczyniają się do zwiększenia liczby posiadanej przez Amerykanów broni. USA stają się coraz bardziej konserwatywne, a ofiar masakr przybywa.

© AGNIESZKA PISKOZUB-PIWOSZ

4 sierpnia zmarł w Paryżu

Wojciech Sikora

Był działaczem opozycji demokratycznej w latach 70. Od 1982 r. na emigracji współpracował z paryską „Kulturą”, Biurem Solidarności, „Kontaktem” i Radiem Wolna Europa.

W 2000 r. rozpoczął pracę w Instytucie Literackim w Paryżu. Po śmierci Henryka Giedroycia w 2010 r. został prezesem Stowarzyszenia Instytut Literacki Kultura. Pełnił tę funkcję do maja 2019 r. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim, Oficerskim i Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Medalem Stulecia Odzyskanej Niepodległości.

Wojtek był naszym dobrym kolegą i przyjacielem.

Rodzinie i bliskim składamy wyrazy współczucia

„TYGODNIK POWSZECHNY”

POŻEGNANIE

WOJCIECH

Bonowicz: Zakłopotanie



JAKA JEST FUNKCJA POEZJI? PATRZĘC NA świat od dołu, od strony tego, co dyskretne, przemilczane, co umyka wielkim narracjom. Uchwycić życie w jego treści zasadniczej, nieefektywnej, w jego powszechności i pospolitości, a zarazem jedyności. Dokonywać nieustannej rewizji naszych przyzwyczajęń, naszych poglądów na historię, teraźniejszość, innych ludzi, naturę. Uświadamiać, jak często nasze spojrzenia zatrzymują się na tym, co inni wskazali palcem, zamiast szukać samodzielnie. Znaleźć na to wszystko język i formę, które będą dostatecznie wolne, przekonujące i angażujące, a jednocześnie ostrożne i subtelne.

Czytam tom wierszy irlandzkiej poetki Eiléan Ní Chuilleanáin przetłumaczonych przez Jerzego Jarniewicza. Tom nosi tytuł „Między niewiastami” i opublikowany został przez Dom Literatury w Łodzi. Czytam powoli, trzeba czasu, by się w nim zadowolić, oswoić z poetyką zgromadzonych w nim utworów. Nie ma w nich niczego rewoltującego, pisane są – jak zauważa w posłowie Jarniewicz – językiem klarownym, nie sprawiającym nadmiernych trudności w lekturze, „a jednak stawiają czytelników wobec nieprzekraczalnego progu, za którym rozciąga się obszar milczenia lub niewiedzy”. Te wiersze – cytuję dalej – żyją „w dwutakcie odsłaniania i zasłaniania”, ich sens najgłębszy kryje się w momentach zawieszenia głosu, „zerwań i przeskoków”. Opowiadają bowiem o czymś, co dopiero szuka swojego języka, co we wcześniejszych opowieściach znajdowało się na marginesach lub przenikało do nich niezauważalnie: mówią o niemogącej się w nich wyrazić kobiecości, o religijności niemieszczącej się w ramach instytucji, o prywatnych poszukiwaniach sensu, słowem – o tych aspektach życia, które wielka historia ignorowała i ignoruje.

O napięciu między tym, co oficjalne i dominujące, a tym, co prywatne i domagające się wzięcia pod uwagę, mówi wiersz „Autorstwo niepewne”:

Siadła i pisała, jakby głos jej dyktował: Pisz dla tych, którzy nie dotarli na obiecany brzeg, brodzili pierwsi, a co mogli unieść, nieśli nad falami wysokiej powodzi – wierzgające dzieci, a na mokrych barkach pluszowe zabawki. Pisz o tym, jak doszli do kamiennej kolumny z czasów wojny dwóch królów trzy stulecia temu, tej konstrukcji z symetrycznych kamieni na wydrążonych słupach. Rzeka rozlewała się wokół, a skowronki nad usianą pastwiskami wyspą –

ale nagle głos zamilkł, a ona usłyszała tylko głęboki oddech spragnionego zwierzęcia, nie docierały już do niej głosy potopionych,

zamiast nich, w ciszy i w oka szybkim mgnieniu, wylonił się obraz jej babki w późnym wieku, długie, rozpuszczone włosy i nagie ramiona nad miednicą, nad ranem, spromienione słońcem, kiedy kotka chłepcze świeże mleko z miski, a ona, ledwie dziecko, patrzy nieruchomo.

Zdaniem Jarniewicza mamy tu do czynienia z jedną z możliwych rewizji: „narodowe, martyrologiczne narracje ustępują miejsca historii domowej i intymnej, świata spod ręki”. W istocie, pierwsza strofa zostaje poetce jakby podyktowana, pisze ona nie tak, jak by chciała, to nie jest głos autorski (co podkreślone zostaje użyciem kursywy). Choć opowiedziana historia jest sama w sobie dramatyczna – opisuje tragedię ludzi uciekających przed powodzią – narzucony styl opowiadania przemienia ją w coś nieznośnego, pompatycznego. Ten uwznioślający wymiar podkreślony zostaje przez fakt, że uciekający gromadzą się wokół pomnika upamiętniającego ważne wydarzenie z historii Irlandii. Czy można o ich cierpieniu opowiedzieć inaczej, w sposób mniej retoryczny? Bo przecież nawet w tej uwznioślonej, uogólnionej opowieści pojawia się to, co prywatne, „spod ręki”: wyrwywające się z ramion dorosłych dzieci i ich zabawki, ratowane trochę absurdalnie, na przekór logice przetrwania.

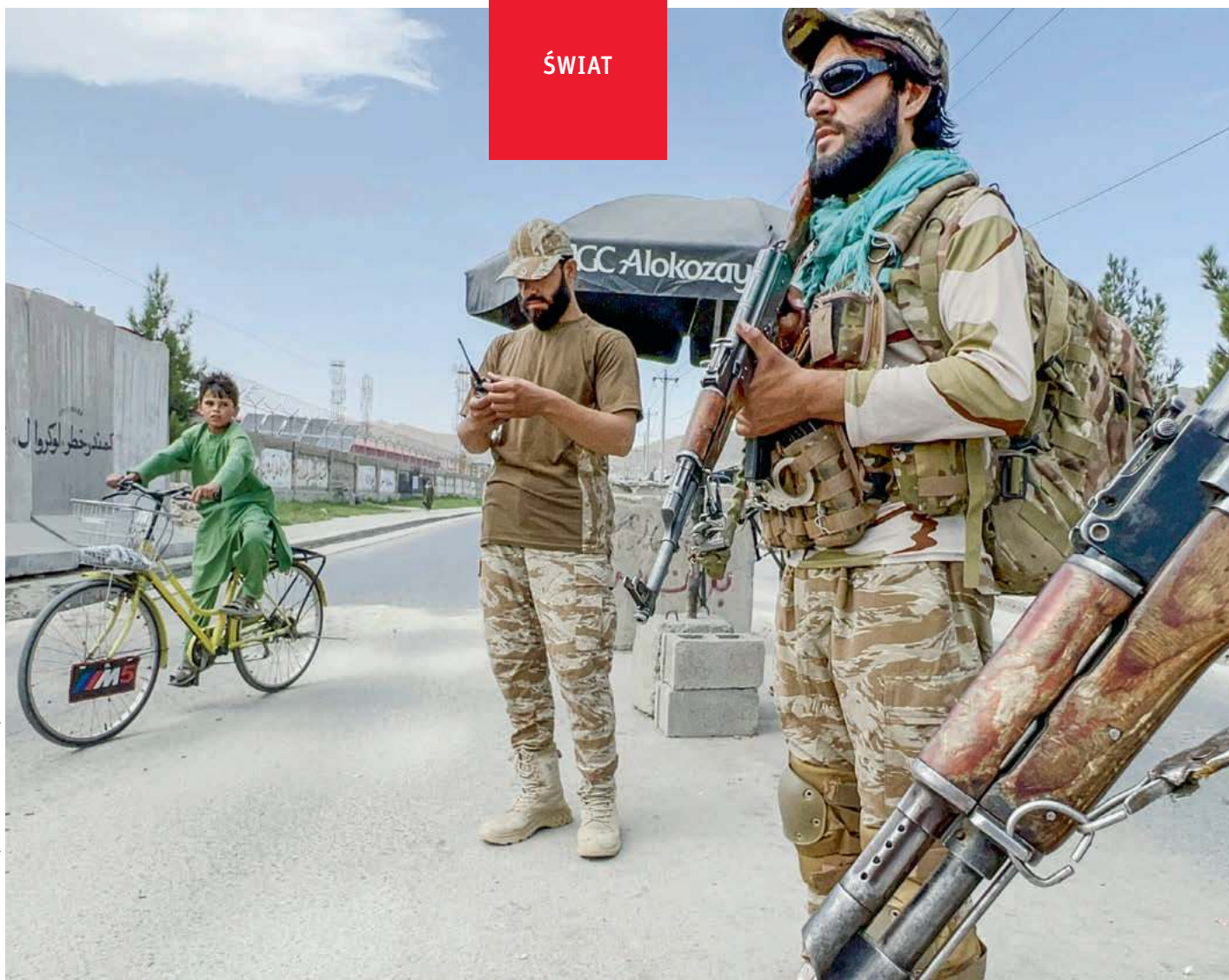
Przeskok z jednej narracji do drugiej następuje pod wpływem dźwięku, który kwestionuje tę uogólnioną perspektywę: „głęboki oddech spragnionego zwierzęcia” przenosi piszącą do sceny zapamiętanej z dzieciństwa, intymnej i bezpiecznej. Przeskok ten jest, przynajmniej, dwuznaczny i myślę, że poetka nie ukrywa jego dwuznaczności, podkreślając, że wraz z głosem dyktującym wcześniejszą opowieść znikają też głosy potopionych. Zapominamy o wierzgających ze strachu dzieciach, mamy dziecko wpatrzone w myjącą się nad miednicą babkę i kotkę chłepczącą mleko z miski. Czy rzeczywiście chodzi tylko o rewizję? A może także o ulgę, o to, że nie wszystko można znieść, że cierpienie bywa ponad siły? Najbardziej niezwykle jest to, że poetka niczego tu nie dopowiada, nie dodaje żadnego ułatwiającego interpretację komentarza. Zostawia nas w napięciu, które jest nieusuwalne: to „ciche”, które przemawia z tego obrazu, jest niesprowadzalne do jednej myśli, jednego wniosku.

Czytając wspaniałą książkę Eiléan Ní Chuilleanáin, nieraz znajdziemy się w sytuacji podobnego zakłopotania. ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 506/21 postępowanie z wniosku wierzyciela – Gminy Jarocin – o stwierdzenie nabycia spadku po Aleksandrze Kmieciku, zm. 13 sierpnia 1976 r., ostatnio zamieszkałym w Łuszczanowie. Skład spadku po zmarłym jest nieznany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



EGIPSKI ŁĄCZNIK I PRZYSZŁOŚĆ DŽIHADU

WOJCIECH JAGIELSKI

Śmierć Ajmana az-Zawahiriego, następcy Osamy ibn Ladina i człowieka współodpowiedzialnego za zamachy na Nowy Jork i Waszyngton, wyznacza symboliczny kres epoki w dziejach dżihadyzmu. Ale wcale nie oznacza jego końca.



Na punkcie kontrolnym w Kabulu, po amerykańskim nalocie raketowym, w którym zginął przywódca Al-Kaidy, 3 sierpnia 2022 r.

den z przywódców tej terrorystycznej międzynarodówki, odpowiadał za większość najstraszliwszych zamachów bombowych – na czele z przypuszczonym 11 września 2001 r. atakiem na Nowy Jork i Waszyngton.

W odwecie Ameryka najechała na Afganistan, gdzie dżihadysty rozłożyli główną kwaterę. Przegnani z Kabulu, rozproszyli się na afgańsko-pakistańskim pograniczu, najlepszej kryjówe światła, bezludnym i pozbawionym dróg terytorium, ciągnącym się przez prawie 2,5 tys. kilometrów przez pustynie, wąwozy i góry.

Dwie rakiety i on

Równo rok temu, po 20 latach wojny, okupacji i obław na ukrywających się dżihadystów, Amerykanie, udęczeni wyprawą wojenną pod Hindukusz, ewakuowali swoje wojska z Afganistanu. Do Kabulu wrócili talibowie – przyjaciele i opiekunowie Al-Kaidy. Zawahiri, schorowany i postarzały o 20 lat, wreszcie mógł porzucić niewygodę kryjówek w górskich pieczarach i kiszlakach. Przyjaciele znaleźli mu w Kabulu nową kwaterę – tuż obok pozamykanych dziś na głucho zachodnich ambasad.

Najpierw posłał do Kabulu żonę i córkę z wnukami. Po jakimś czasie wprowadził się sam, ale z domu – dla bezpieczeństwa – nigdy nie wychodził. W 2011 r., po śmierci Osamy ibn Ladina, zgładzonego przez Amerykanów w Pakistanie, Zawahiri został ogłoszony jego następcą, nowym emirem Al-Kaidy. Dla Ameryki stał się wrogiem numer jeden.

Amerykańska Centralna Agencja Wywiadowcza wypatrzyła go jednak w nowej kryjówe. Przez długie tygodnie jej informatorzy ustalali, jak zbudowany jest dom, w którym zamieszkał, jak wygląda rozkład zajęć jego mieszkańców, a przede wszystkim, czy główny gospodarz to rzeczywiście przywódca Al-Kaidy. Na początku lipca rozwiali ostatnie wątpliwości. Odtąd na naradach w Waszyngtonie debatowano wyłącznie nad szczegółami operacji zbrojnej i jej możliwymi skutkami.

Szybko zorientowano się, że gospodarz domu lubi przesiadywać na bal-

konie o świcie, gdy zatłoczone i gwarne w ciągu dnia kabulskie śródmieście jest jeszcze bezludne i ciche. Atak o tej porze dawał największą szansę uniknięcia ofiar wśród postronnych przechodniów. Pod koniec lipca prezydent Joe Biden wydał zgodę. Zawahiri miał zostać zabity pociskami raketowymi, uzbrojonymi jednak nie w ładunki wybuchowe, lecz wirujące ostrza, które rozszarpują trafioną ofiarę na kawałki.

Minął kwadrans po szóstej i słońce, które latem wstaje w Afganistanie o piątej rano, było już dość wysoko. Na ulicach zaczynał się ruch, ulicznicy przekupnie zostawiali stragany, pojawiły się pierwsze samochody. Zawahiri mógł nie dojrzeć ani nie usłyszeć dwóch rakiet, które wystrzelone z zawieszonych nad miastem amerykańskich dronów uderzyły w balkon, przerywając jego 71-letnie życie.

Emir z Kairu

Z młodszym o sześć lat Osamą ibn Ladinem poznali się w połowie lat 80. XX w., gdy obaj zjechali do Afganistanu, by wesprzeć miejscowych partyzantów, mudżahedinów, w świętej wojnie przeciwko najeźdźcom ze Związku Radzieckiego. Osama, dziedzic magnata budowlanego z Arabii Saudyjskiej, przyjechał na afgańsko-pakistańskie pogranicze z maszynami budowlanymi, kopać partyzantom skalne labirynty na kryjówki i ryć w górach tunele, którymi przeprawiali się niepostrzeżenie przez granicę. Zawahiri, młody lekarz, przybył leczyć rannych partyzantów. Obaj zarazili się pod Hindukuszem gorączką świętej wojny i partyzackiego braterstwa.

Poznali pod Hindukuszem takich jak oni – młodych marzycieli, śniących o sprawiedliwych rządach i rodzimych, muzułmańskich prawach, które zastąpiłyby narzucone przez Zachód i Wschód tyranie oraz porządki polityczne i prawne. Bliskowschodni dyktatorzy chętnie pozwalali takim buntującym się młokosom wyprawiać się do Afganistanu. Pozbywali się w ten sposób potencjalnych wywrotowców, a dodatkowo mogli przypisywać sobie ich zasługi w świętej wojnie.

Z muzułmańską rewolucją Zawahiri związał się już będąc nastolatkiem. Jako syn profesora farmacji w jednej z akademii medycznych w Kairze wybrał zawód lekarza, ale jako wnuk wielkiego imama z meczetu i muzułmańskiej akademii →

WNIEDZIELĘ, OSTATNIEGO DNIA LIPCA, o wczesnym poranku Ajman az-Zawahiri, jak co dzień po pierwszej modlitwie, wyszedł na balkon swojego domu, by zaczerpnąć świeżego, rześkiego jeszcze powietrza, i z wysokości drugiego piętra popatrzeć na otaczające Kabul góry.

Odkąd wprowadził się do okazałego domu w śródmiejskim Szerpurze, w najlepszej w stolicy Afganistanu dzielnicy Wazir Akbar Chan, nie wychodził na ulicę i świat oglądał jedynie podczas wizyt na balkonie. Żywił wtedy nieco ruchu, ale w porannym słońcu najbardziej lubił oddawać się lekturze.

Na większe ryzyko nie mógł sobie pozwolić. Od lat ścigały go listy gończe, a za jego głowę wyznaczono 25 mln dolarów nagrody. Należał do najważniejszych emirów Al-Kaidy, która lata temu wydała wojnę na śmierć i życie Ameryce. Jako je-

→ al-Azhar swoje życie postanowił ułożyć zgodnie z przykazaniami islamu. Od dzieciństwa wyróżniał się pobożnością, a jako młody chłopak zaczytywał się dziełami Sajjida Kutba, jednego z głównych myślicieli Braci Muzułmanów, nauczających, że sprawiedliwe państwo można oprzeć jedynie na przykazaniach islamu. Należy odrzucić wszystko, co zostało przeszczone z Zachodu, z kolonialnych metropolii Wielkiej Brytanii i Francji, i obalić ustanowione przez Zachód rządy. Z ruchu Braci Muzułmanów biorą się w świecie islamu zarówno demokraci, jak dżihadysty.

Wydarzeniem, które zawarzyło na losach Zawahiriego, stała się egzekucja Kutba, skazanego na śmierć przez organizację Wolnych Oficerów Gamala Abdela Nadera, który w 1952 r. obalił egipską monarchię. W latach 70. dwudziestoparoletni Zawahiri przystał do radykalnego Muzułmańskiego Dżihadu, powiązanego z Braciami Muzułmanami konspiracyjnego ruchu, który zamierzał przeniknąć do wojska i przekabacić na swoją stronę młodych oficerów oraz wznieść bunt przeciwko następcy Nadera, prezydentowi Anwarowi Sadatowi. Zawahiri miał już dyplom lekarza w garści, a nawet prowadził własną praktykę (w swojej klinice ukrywał broń, którą spiskowcy grodzili na powstanie).

W 1981 r. bojownicy z Muzułmańskiego Dżihadu podczas defilady w Kairze zabili Sadata, ale nie udało im się wznieść powstania. Sadata zastąpił inny wojskowy dyktator, Hosni Mubarak, który zarządził oblawę na spiskowców. Tysiące zwolenników Braci Muzułmanów trafiło do więzień. Za kratkami znalazł się także Zawahiri, choć w zamachu nie uczestniczył.

Wyszedł na wolność po trzech latach. Podczas niewoli poddawany był torturom i złamany przez śledczych wydał im swoich towarzyszy. Jego biografowie uważali, że to pobyt w więzieniu i tortury rozbudziły w Zawahirim fanatyzm i żądze zemsty. Zaraz po uwolnieniu wyjechał z Egiptu – władze chętnie się go pozbyły – do Afganistanu, na świętą wojnę, którą miał już toczyć do końca życia.

Na świętej wojnie

Pod Hindukuszem pomagał Osame ibn Ladinowi zakładać Al-Kaidę, międzynarodową muzułmańskich dżihadystów, przybyłych walczyć w świętej wojnie u boku afgańskich mudżahedinów. Sau-

Z Osamą poznali pod Hindukuszem takich jak oni –
marzycieli śniących o muzułmańskich prawach,
które zastąpiłyby narzucone przez Zachód i Wschód tyranie polityczne.

Po upadku Państwa Islamskiego Zawahiri i jego towarzysze odetchnęli.
Zamiast toczyć nierówną walkę z Zachodem,
młodzi emirowie zwrócili się przeciwko rządowi w Sahelu czy Jemenie.

dyjczyka uważano za obdarzonego charyzmą przewodnika duchowego. Egipcjanin cieszył się opinią sprawnego organizatora. Ibn Ladin umyślił sobie, że po zwycięstwie – w które nie wątpił – w wojnie ze Związkiem Sowieckim poprowadzi świętych wojowników na Bliższy Wschód, poobala ustanowione przez Zachód i Wschód rządy i prawa, zaprowadzi nowe, muzułmańskie.

Osama nauczał, że muzułmańscy buntownicy powinni wyrzec się na jakiś czas walki z rodzimymi reżimami i skupić na wspólnej wojnie z Ameryką. Zawahiri nie mógł przestać myśleć o wojnie przeciwko rządowi z Kairu i zemście. Ustąpił jednak Saudyjczykowi i pomógł mu skrzyknąć pod sztandary Al-Kaidy dżihadystów ze wszystkich stron świata, przekonać, by słuchali rozkazów Osamy i że wojna z Ameryką jest najważniejsza. Przekonał też braci-dżihadystów do terroryzmu, zwłaszcza do samobójczych zamachów, niemożliwych do powstrzymania.

Po zwycięskiej wojnie w Afganistanie wyjechał wraz z Osamą i dżihadystami do Arabii Saudyjskiej. Razem zaproponowali saudyjskiemu królowi, że zaciągną się do jego armii na wojnę z Saddamem

Husajnem, który właśnie najechał na Kuwejt. Król nie tylko odmówił, ale wezwał na pomoc Amerykanów. Osama przeklął go jako zdrajcę islamu, a król kazał mu się wynosić precz. Z Arabii Saudyjskiej dżihadysty przenieśli się do Sudanu.

Ale i tam długo nie zabawili, bo reżim w Chartumie, choć bardzo im życzliwy, szantażowany przez Amerykanów wypowiedział w 1996 r. gościnę. Z Sudanu Osama i dżihadysty wrócili więc do Afganistanu, gdzie akurat władzę przejęli talibowie. Dołączył do nich także Zawahiri, który wcześniej błakał się jak włóczęga po całym prawie świecie. Był w Jemenie, Iraku, Iranie, Filipinach, Bułgarii, Austrii, Szwajcarii i na Bałkanach, w Holandii zakładał muzułmańskie stacje telewizyjne, a w Kalifornii zbierał pieniądze na afgańskich uchodźców wojennych. Dania przyznała mu azyl jako ofierze politycznych prześladowań w Egipcie, a USA – „zieloną kartę” umożliwiającą pobyt w Ameryce. Wybrał się nawet na Kaukaz, do zbuntowanej Czeczenii, ale aresztowano go w sąsiednim Dagestanie. Po pół roku w areszcie śledczym Rosjanie puścili go wolno. Nie zorientowali się, z kim mają do czynienia.

Z Kaukazu wrócił do Afganistanu, skąd w 1998 r. wydali z Osamą świętą wojnę Ameryce, dokonali zamachów przeciwko amerykańskim ambasadom w Kenii i Tanzanii, amerykańskiemu krążownikowi w porcie w Adenie. W Afganistanie zaplanowali też najzuchwalszy atak – 11 września 2001 r. porwanymi odrzutowcami dżihadysty zaatakowali Nowy Jork i Waszyngton. W odwecie Amerykanie najechali na Afganistan i obalili rządy talibów. Osama, Zawahiri i ich armia świętej wojny znów musieli uciekać.

W odwrocie

W 1998 r. Osama ibn Ladin wraz z towarzyszami powołał Światowy Front Muzułmański na rzecz Świętej Wojny przeciwko Żydom i Krzyżowcom. Zebrali pod jego sztandarem rozproszone ruchy dżihadystyczne z całego świata, przekonali, by podporządkowały się centrali i pod jej przewodnictwem podjęły walkę z Ameryką.

Po ataku na Amerykę z 11 września 2001 r. i odwetowej inwazji Amerykanów na Afganistan, Al-Kaida poszła w rozsypkę. Większość emirów z dowództwa organizacji została zabita. Zginął m.in. najbliższy doradca Osamy Egipcjanin



Razem w Afganistanie: Ajman az-Zawahiri i Osama ibn Ladin, 1998 r.

Mohammed Atef (to po jego śmierci Zawahiri został zastępcą emira). Innych, jak Chalida Szejka Mohammeda, głównego reżysera zamachów z 11 września 2001 r., uwięziono. Osama i Zawahiri ze-
szli do podziemia.

Al-Kaida próbowała jeszcze kęsać – dokonała zamachów bombowych w Bali, Tunezji, Madrycie czy Londynie. Zamachy w Londynie z 2005 r., w których zginęło ponad 50 osób, były jednak ostatnimi przeprowadzonymi przez Al-Kaidę przeciwko Zachodowi i na Zachodzie.

Kiedy w 2011 r. dopadli go Amerykanie, Osama pozostawał jedynie symbolicznym liderem Al-Kaidy. Zawahiri sztandarem nie był nigdy. Jedni badacze ruchu dżihadystycznego przeceniali jego

znaczenie, inni – nie doceniali jego roli. Ale to on podjął decyzję, że aby przetrwać polowanie Amerykanów, Al-Kaida musi się rozproszyć, a jej filie działać samodzielnie. Powinny sobie wzajemnie pomagać, występować pod jednym sztandarem i uznawać zwierzchność emira, ale działać na własną rękę. Dzięki temu śmierć kolejnych emirów czy też ich niewola nie paraliżowały ruchu – miejsca zajmowali inni.

Coraz większa autonomia lokalnych filii Al-Kaidy, a także Arabska Wiosna i zrodzone z niej wojny musiały jednak zakończyć się schizmą. Po najeździe Amerykanów na Irak święta wojna przeniosła się spod Hindukuszu nad Eufrat i Tygrys, a miejscowi emirowie z Abu Musa-

bem Zarkawim na czele przestali słuchać Centrali. Osamie nie ośmieliliby się rzucić wyzwania, ale Zawahiri się nie bali ani go nie szanowali.

Korzystając z osłabienia centrali, buntownicy zawiązali nowy ruch – Państwo Islamskie – jeszcze bardziej fanatyczny i krwawy. Przykład z filii irackiej wzięła filia syryjska, Front al-Nusra, i też ogłosiła secesję. Wkrótce wilajety Państwa Islamskiego wyrosły na Półwyspie Arabskim, Saharze, w Sahelu, a w końcu nawet w kolebce Al-Kaidy, pod Hindukuszem.

Gromiona przez Amerykanów Al-Kaida ponosiła porażki i straty, a Państwo Islamskie zwyciężało i to ono uwiodło młode pokolenie dżihadystów. Al-Kaida głosiła wojnę z „dalekim wrogiem”, Ameryką, a jej emir, Zawahiri, potępiał rozłamowców za niepotrzebne okrucieństwo.

Państwo Islamskie przejęło kontrolę nad trzecią częścią Iraku i Syrii, a na zdobytych ziemiach ogłosiło powstanie kalifatu, do którego z całego świata ciągnęły tysiące ochotników na świętą wojnę. Teraz to bojownicy Państwa Islamskiego dokonywali zamachów przeciwko Zachodowi i na Zachodzie. Partyzanci Al-Kaidy zaczęli toczyć z jego bojownikami bratobójcze wojny o pierwszeństwo i wpływy.

Znów górą

Mając do czynienia z nowym wrogiem, armie Zachodu odpuściły nieco walkę z osłabioną Al-Kaidą i skupiły się na wojnie z Państwem Islamskim. Kalifat został rozbity, teraz to emirowie Państwa Islamskiego ginęli w zasadzkach i obławach.

Zawahiri i jego towarzysze odetchnęli. Młodzi emirowie, którym Egipcjanin dał wolną rękę, skupili się na „pracy u podstaw”. Zamiast toczyć nierówną walkę z silniejszym Zachodem, „wrogiem dalekim”, walczą (tamtej walki się nie wyrzekając, lecz przekładając na lepsze czasy) przeciwko „wrogom najbliższym”, lokalnym rządów w krajach pogrążonych w bezkrólewiu, bezprawiu, biedzie i wojnach – w Sahelu, Somalii, Jemenie. Zamiast – jak Państwo Islamskie – brutalnością wymuszać posłuszeństwo ludności cywilnej, emirowie Al-Kaidy zabiegają o jej poparcie, wykorzystując dla własnej korzyści lokalne konflikty, jak choćby między pasterzami i osiadłymi rolnikami w Sahelu, by w zamian za opiekę zapewnić sobie rząd dusz i rekruta. Sukcesy odnoszone przez filie Al-Kaidy w Sahelu, ➔

→ a zwłaszcza w Somalii (tamtejsza filia nosi nazwę asz-Szabab, co znaczy po prostu „młodzie”) sprawiają, że tamtejsi emirowie mają coraz większe wpływy także w Centrali, gdzie wciąż dominują Arabowie z Egiptu i Arabii Saudyjskiej.

Darem Opatrzności było dla Al-Kaidy także wycofanie amerykańskich wojsk z Afganistanu. Emirowie Al-Kaidy, towarzysze broni afgańskich mudżahedi-nów, a później talibów, zrosli się z afgańską partyzantką w jedno. Po sierpniowej rejteradzie Amerykanów sprzed roku już jesienią zaczęli się zjeżdżać do Afganistanu. Znow znalazli kryjówkę, miejsce bezpieczne schronienie i miejsce spotkań, znow mają adres, mają się gdzie naradzać, nawiązywać nowe znajomości, odnawiać stare.

Dobijając w lutym 2020 r. targu z talibami, ówczesny prezydent Donald Trump oczekiwał tylko, by w zamian za wycofanie amerykańskich wojsk obiecali, że nie pozwolą, by w Afganistanie znow znalazli kryjówkę ludzie, którzy zamierzaliby zaatakować Amerykę lub któregoś z jej sojuszników. Obiecali, Trump podpisał ugodę, a jego następca i pogromca, Joe Biden, chcąc nie chcąc (ale raczej chcąc), wycofał wojska z Afganistanu, wydając kraj talibom we władanie.

Nie minął rok, a okazało się, że emir Al-Kaidy, z powodu której Ameryka toczyła 20-letnią wojnę w Afganistanie, mieszkał w Kabulu, w domu należącym do ministra policji w rządzie talibów Siradžuddina Haqqaniego, wciąż ściganego amerykańskimi listami gończymi i za którego głowę Amerykanie wyznaczili 10 mln dolarów nagrody (za Zawahiriego obiecywali 25 mln dolarów).

Powietrzny rajd na Kabul – pierwszy od wycofania wojsk – i śmierć Zawahiriego Joe Biden uznał za dowód, że nawet nie mając swoich wojsk pod Hindukuszem, Ameryka może skutecznie zwalczać tam swoich wrogów. Biden jest pierwszym prezydentem USA, który zgładził nie jednego, ale dwóch emirów. Na początku roku, w północnej Syrii, amerykańscy komandosi wytopili i osaczyli Abu Ibrahima al-Kurajskiego, drugiego kalifa Państwa Islamskiego, który nie chcąc dostać się żywcem do niewoli, wysadził się w powietrze.

© P WOJCIECH JAGIELSKI



Naszym zadaniem było nie umrzeć i to się udało

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK Z CHARKOWA I KIJOWA

Charków, drugie największe miasto Ukrainy, jest w ciągłym zagrożeniu ze strony rosyjskiej armii. To historia o tym, jak jego mieszkańcy uczą się żyć w takich warunkach.

DLA HAMLETA ZINKIWSKIEGO Miejska przestrzeń jest niczym wielka pracownia. Na jego malowidła wpada się niemal na każdym kroku. Dawniej umieszczał je w miejscach nierzucających się w oczy, teraz znajdują się one tuż przy ulicach.

– Chcę, żeby ludzie widzieli, że w mieście pojawiają się nie tylko zniszczenia – wyjaśnia Hamlet.

Pociąga pędzlem po bramie budynku znajdującego się tuż nad rzeką. Wraz z każdym ruchem coraz wyraźniej widać ławkę, huśtawkę i śmietnik ukryte pod – zapewne – bujnym drzewem.

Tego dnia panował straszny skwar, więc 35-letni Hamlet zarzucił koszulkę na głowę. Do samego końca nie zdradza, jakie motto będzie towarzyszyć pracy. To nieodłączny element jego sztuki. Za plecami znajduje się inna praca Hamleta: gorejące słońce z napisem: „Od słońca uczę się nie wypalać”. Jest ona

poświęcona wolontariuszom, często znajomym artysty. To apel, by nie odpuszczali, bo – jak mówi – muszą trwać aż do zwycięstwa. Wśród Ukraińców panuje powszechne przekonanie, że to wojna na długo, więc trzeba rozkładać siły. To nie jest sprint, którego spodziewano się w pierwszych dniach inwazji, tylko maraton.

Dopiero gdy słońce chyliło się ku zachodowi, Hamlet dopisał: „Nigdy tyle nie żyłem”.

W jego pracach tematy wojny i codzienności przeplatają się regularnie. Dobrze obrazują one dylematy mieszkańców Charkowa uwięzionych między konfliktem a pragnieniem życia jak dawniej.

Artysta w batalionie

Powrót 35-letniego Hamleta Zinkiwskiego do miasta, w maju, przypadł na chwilę spokoju. 24 lutego, gdy Rosja



SERHIJ ŻADAN (pierwszy z lewej) i **Hamlet Zinkiwski** to dwóch najbardziej znanych charkowskich artystów. Na zdjęciu: podpisują wspólną książkę, którą ilustrował Hamlet. Charków, 23 lipca 2022 r.

Po lewej: **HAMLET ZINKIWSKI** maluje pracę pt. „Nigdy tyle nie żyłem”, Charków, 23 lipca 2022 r.

rozpoczęła inwazję na pełną skalę, Charków znajdujący się niecałe 40 km od granicy stał się jednym z pierwszych celów ataku. Już pierwszego dnia rosyjskie czołgi pojawiły się na obwodnicy miasta. Na drogach dojazdowych toczyły się zacięte walki, a obrzeża metropolii stały się linią frontu. Na centrum spadały rakiety i bomby, zamieniając budynki, w tym zabytkowe, w ruiny.

Ale w maju w Charkowie, gdzie do wojny mieszkało 1,5 mln ludzi, zapanała cisza, której mieszkańcy nie doświadczyli od końca lutego. Na miasto przestały spadać rakiety, a ukraińska armia stopniowo odpychała Rosjan w stronę oddalonej o niecałe 40 km od Charkowa granicy [patrz: tekst Pawła Pieniążka w „TP” nr 22 – red.]. Zdobycie kilku miejscowości przyniosło natychmiastowe skutki: ostrzały raketowe i artyleryjskie niemal ustały. Zdawało się, że pokój wraca do Charkowa. Ale nie upłynął nawet miesiąc, gdy Rosjanie ponownie zajęli kilka miejscowości, a ostrzały tego miasta stały się znów elementem codzienności.

Hamlet wstąpił do jednego z batalionów ochotniczych Chartii, ale otrzymał rozkaz, by nie walczyć, tylko malować. Żeby podkreślić swoją przynależność, zazwyczaj chodzi w kamizelce kuloodpornej z naszywką Chartii. Tak można zastać go w kawiarniach i knajpach, do których uczęszcza.

Obok pisarza Serhija Żadana (autora nazwy batalionu) Hamlet jest jednym z najpopularniejszych charkowskich artystów. Mimo to wątpił, by jego sztuka

była komuś potrzebna w czasie inwazji. Musiał jednak wykonać rozkaz dowódcy.

Od 24 lutego namalował ponad 20 prac. Spodobały się one jeszcze bardziej niż te wcześniejsze – już nie tylko zwykłym mieszkańcom, ale także żołnierzom i policjantom. Gdy malował gorejące słońce, podjechał radiowóz. Przez chwilę myślał, że będą jakieś kłopoty. Zamiast tego usłyszał z megafonu: „Hamlecie, dziękujemy za twoją pracę”.

W trakcie malowania „Nigdy tyle nie żyłem” często podchodzą przechodnie. Mężczyzna prosi, by zrobić wspólne zdjęcie; kobieta podaje telefon z rozmową wideo – jej koleżanka chroniąca się we Lwowie chciała zobaczyć swojego ulubionego artystę; chłopak prosi o papierosa i chce chwilę porozmawiać, a właściciel klubu proponuje, że mogą przesunąć rozpoczęcie koncertu o godzinę, by Hamlet na niego zdążył.

Rosjanie po prostu nas gnębią

Do Charkowa wciąż nie wróciło wielu mieszkańców. Nie ma danych, ale widać to gołym okiem – mały ruch na ulicach i niewielu przechodniów. Hamlet żartuje, że nareszcie zrealizowany został postulat charkowskich aktywistów, by w centrum powstały deptaki.

Choć Hamlet chciałby, żeby do miasta wracali ludzie, wie, że nie byłoby to rozsądne. Kilkanaście godzin przed tym, nim zaczął malować pracę na bramie koło klubu, gwałtownie wybudziła go eksplozja. Rakieta trafiła w teren jednego z uniwersytetów. Ostatni raz tak się zerwał z łóżka, gdy w marcu rakieta uderzyła w budynek administracji obwodowej.

– Ludzie ciągle pytają mnie, co Rosjanie chcą nam powiedzieć tymi atakami. Uważam, że zupełnie nic. Po prostu gnębią nas, byśmy nie czuli się bezpieczni, a ludzie bali się wracać – twierdzi Hamlet.

Wielu z tych, którzy nie wyjeżdżali z miasta lub szybko wróciło, nie chciało pozostawać biernymi wobec wojny. Każdy robił, co potrafił. Ktoś wstępował do ław obrony terytorialnej czy regularnej armii, a ktoś zasilал szeregi wolontariuszy, którzy zajmują się pomocą wojskowemu i cywilom dostarczając wszystko, co tylko jest potrzebne. Dlatego Hamlet uważa, że Charków wojennego czasu to miasto świętych.

Sztab w kawiarni

Przez cały czas w mieście jest aktor teatralny 28-letni Bohdan Syniawski. Urodził się i dorastał w Donbasie, skąd wyjechał na studia do Charkowa. Te tereny zostały zajęte przez Rosjan i separatystów podczas wojny, która wybuchła w 2014 r. W jej rezultacie zginęło przynajmniej 13 tys. osób.

Liczba ofiar po 24 lutego nie jest znana. Do 31 lipca ONZ udało się potwierdzić 5327 ofiar cywilnych. Jednak organizacja podkreśla, że rzeczywista liczba jest zapewne znacząco wyższa. Według władz Ukrainy w samym Mariupolu zginęło ponad 20 tys. osób. Nie ma wiarygodnych informacji na temat strat wśród wojskowych i bojowników.

24 lutego Bohdan wraz z żoną Meriam udali się do zaprzyjaźnionej kawiarni. Jej właściciele wyjeżdżali i zaoferowali mu klucze. Lokal miał rozległe pomieszczenia podziemne, gdzie znajdowała się piekarnia i sklep z gramii planszowymi.

Małżeństwo zostało w Charkowie ze względu na rodzinę, w szczególności dziadka, który jeszcze nie wrócił do zdrowia po covidzie. Wywiezienie go wraz z resztą rodziny w pierwszych godzinach wojennego chaosu było nie lada wyzwaniem. Poza tym Bohdan nie chciał

→ wyjeżdżać z Charkowa, dopóki nie było zagrożenia, że Rosjanie mogą zająć miasto.

Do kawiarni ściągali kolejni ludzie, w tym jej byli pracownicy. Szybko stała się jednym z centrów pomocowych. W piekarni wypiekali świeży chleb, różnego rodzaju słodycze i rozwozili je wraz z nadchodzącymi z całej Ukrainy, a także z zagranicy, produktami spożywczymi oraz lekami. Spontaniczna grupa pomocowa zaczęła się rozrastać. Wkrótce powstała siatka osób gotowych pozyskać niezbędne rzeczy dla potrzebujących, przygotować je do przekazania i dowieźć pod konkretny adres.

Praca za jedzenie

Bohdan Syniawski podkreśla, że gdyby nie piekarnia, to zapewne nie udało się powołać grupy do życia.

– W pierwszych dwóch tygodniach trudno było z kimś coś ustalić. Dzwonisz do znajomych, którzy kilka godzin temu byli w mieście, a teraz jeden jest w pociągu, drugi w samochodzie, a trzeci w komisji poborowej. Ludzie podejmowali sto decyzji na godzinę i łapali się tej, która akurat była ostatnia – przyznaje.

Dzięki przebywaniu w jednej piwnicy łatwiej było się zorganizować. Ci, którzy zdecydowali się zostać, mogli działać, ustalać plany na bieżąco. Wolontariusze pracowali za jedzenie. Z tego, co otrzymywali, zostawiali skromną porcję dla siebie. Początkowo było mu wstyd, że sam korzysta z pomocy.

– W końcu zrozumiałem, że jak będę głodny, to nie będę mógł pomagać. Poza tym nie mam źródła dochodu, więc też jestem potrzebującym – stwierdza Bohdan.

Przez ponad miesiąc nikt nie myślał o pieniądzach. Zazwyczaj sklepy były nieczynne, a w tych, które działały, zostały niemal wyłącznie drogie produkty, bo tanie od razu wykupiono. Mało kto mógł pozwolić sobie na jesiotra czy szynki długo dojrzewające zalegające na półkach.

W kwietniu grupa wolontariuszy wraz z Bohdanem przeniosła działania do innego miejsca, gdzie powstawała już sprawnie działająca organizacja. Pracowali codziennie do godziny policyjnej, zamykali się w piwnicy, gdzie spędzali resztę dnia i wymęczeni życiem w ciągłym zagrożeniu znajdowali ukojenie w alkoholu.

Miasto niegotowe do życia

W tym czasie do Charkowa stopniowo wracali ludzie, bo sytuacja się uspokoiła.



KATERYNA PEREWERZEWA w jednym z charkowskich parków na dzień przed rosyjską inwazją, 23 lutego 2022 r. Następnego dnia wyjechała z miasta.

jała. Już nie było zupełnie pusto, czasami nawet robiły się małe korki, w niektórych miejscach włączono sygnalizację świetlną, a policja ścigała łamiących prawo, choć przez ponad dwa miesiące kierowcy jeździli, nie zważając na żadne zasady. Na ten czas przypadł szczyt kryzysu paliwowego, więc nie wiadomo, co miały w bakach liczne samochody jeżdżące w tę i w tę. Nieśmiało otwierały się kawiarnie, restauracje i kolejne sklepy, których półki zappełniały się towarami. Praktycznie wszyscy wrócili z piwnic do domów, bo po tygodniach spędzonych na karimatach nic nie ma takiej siły przyciągania jak własne łóżko.

W końcu Bohdan wraz z żoną opuścili kawiarnię i poszli do siebie. Sam lokal otworzył się w pierwszych dniach sierpnia, mimo kilku osób wciąż chroniących się na dole.

– Naszym zadaniem było nie umrzeć i to się udało – stwierdza Bohdan. – Z czasem przywykasz do wojny i po dwóch miesiącach życia pod ostrzałami chcesz wyjść gdzieś na piwo, przejść się czy po prostu kupić sobie loda.

O pracy zarobkowej nie ma mowy. Teatry są zamknięte, podobnie jak agencje reklamowe, w których pracował Bohdan, by dorobić do pensji aktora. Jak wielu Ukraińców, został bez źródła dochodu.

Pod koniec lipca Narodowy Bank Ukrainy zaktualizował prognozy za 2022 r. Bezrobocie ma wynieść nie, jak zakładano wcześniej, 9,1 proc., tylko

28,9 proc., mimo że ponad 6 mln Ukraińców opuściło kraj. Z tego samego powodu pomoc, którą bezpłatnie świadczy Bohdan, wciąż jest potrzebna. Bez niej wielu mieszkańców Charkowa i okolic będzie w jeszcze trudniejszej sytuacji niż dotychczas. Dlatego wolontariusz wciąż szuka wyjścia z dylematu, jak wspierać innych, ale przy tym samemu nie być uzależnionym od pomocy.

W takich warunkach do życia wraca Charków, który – jak mówi Bohdan – nie jest do niego gotowy i nie będzie, dopóki mieszkańcy co chwila łapią się na myśli, że w każdym momencie rakiet może spaść im na głowę.

Powrót do któregoś z domów

Mniej więcej w tym samym czasie, co Hamlet, do Charkowa wróciła 27-letnia Kateryna Perewerzewa. Urodziła się w Rosji, ale w dzieciństwie przeprowadziła się do Doniecka. Była zmuszona opuścić go z powodu wybuchu wojny w Donbasie. Trafiła do Charkowa i od razu zakochała się w tym mieście. Jak sama mówi, stało się ono dla niej wszystkim. Dwa lata temu przygarnęła ze schroniska Erego, białą sukę o spiczastych uszach. To dało jej poczucie stabilności i przekonanie, że kolejna wojna nie zabierze jej wszystkiego.

Od razu 24 lutego Kateryna wyjechała do Czerniowiec w zachodniej części kraju. Nie mogła jednak znaleźć tam sobie miejsca, bo wszystko przypominało jej o Charkowie, nawet aplikacja, w której zamawiała taksówki, ciągle sugerowała jej powrót pod domowy adres.

Gdy w maju w Charkowie wojna uciхла, zebrała rzeczy, psa i wróciła do siebie. Aplikacja nareszcie sugerowała adres, pod który rzeczywiście się wybierała. Pamięta, jak Era weszła do domu. Chodziła po mieszkaniu, wachała i przyglądała się otoczeniu. Chwilę poleżała na łóżku, potem na drugim. Poznawała to miejsce, ale potrzebowała czasu, by zrozumieć, gdzie tak naprawdę się znajduje. Wreszcie Era rzuciła się pędem po mieszkaniu, merdając ogonem. Kateryna czuła się tak samo.

– Wszystko wróciło na swoje miejsce pierwszy raz od ośmiu lat, bo nareszcie udało mi się wrócić do domu, choć nie był to ten w Doniecku – przyznaje.

Kateryna Perewerzewa jest współzałożycielką portalu Luk piszącego o kulturze, a także fotografką. Po raz pierwszy od

inwazji znowu mogła robić zdjęcia. Dokumentowała skutki wojny w mieście.

– Charków jest jak człowiek z ranami na całym ciele. Patrzysz na niego i czujesz ból, ale mimo wszystko cieszysz się, że przeżył – stwierdza.

Była przekonana, że już nigdy z Charkowa nie wyjedzie.

Dlaczego wyjechałam?

Kilka tygodni później sielanka została przerwana. Rosjanie ponownie zbliżyli się do miasta. Charków regularnie ostrzeliwano, choć już nie tak intensywnie. Najpierw codziennie po 23.00, potem o 4.00. Kateryna nastawiała budzik na 3:55, żeby nie obudził jej wybuch. Słyszała dzwonienie i czekała w łóżku, aż rozlegną się dźwięki eksplozji. Niektóre tak blisko, że trząsł się dom. W końcu grafik przestał obowiązywać i ostrzały zdarzały się o najróżniejszych godzinach. Nie mogła się na nie przygotować. Od wybuchu budzą się wszyscy w okolicy, często nawiedzają ich trwożne myśli i nie pozwalają zasnąć. To wycieńcza psychicznie i fizycznie, bo trudno zignorować rakiet takiego kalibru.

Kateryna znów miała paskudny nastrój, stany lękowe, z trudem wychodziła z łóżka. Era też źle reagowała na huk artylerii. Nie chciała wychodzić na zewnątrz. Zapierała się przed kłatką schodową. Gdy któregoś razu udało się ją nareszcie wyprowadzić, po chwili rozległy się artyleryjskie kanonady. Era pomknęła do budynku. Kateryna wyrzucała sobie, że decyzją o pozostaniu w mieście naraża psa na stres. Po dwóch miesiącach po raz kolejny postanowiła opuścić Charków. Wyprowadziła się do Kijowa, gdzie mieszka jej partner.

– Z trudem mówię o tym okresie, bo czasem czuję wstyd. Skoro inni mogą tam być, czemu ja pojechałam? Jestem tchórzem? Czulałam, że ich zdradziłam – przyznaje Kateryna.

Dopiero przyjaciółka uspokoiła ją, że złe samopoczucie i nieradzenie sobie w takiej sytuacji to nic złego. Raczej przywykanie do niej jest odstępstwem od normy.

Kateryna ma jednak nadzieję, że skoro raz się jej udało wrócić do domu, uda się także drugi. Znowu będzie cieszyć się miastem, które stało się dla niej wszystkim.

© P. PAWEŁ PIENIAŻEK



ARMEND NIMANI / AFP / EAST NEWS

Żołnierze NATO w pobliżu serbskiej barykady, Zubin Potok, Kosowo, 1 sierpnia 2022 r.

Kosowo: gry eskalacyjne

MARTA SZPALA

Oto jak w nowej europejskiej rzeczywistości lokalny incydent przerodził się w doniesienia o kolejnej wojnie na Bałkanach, agresji Serbii na Kosowo, a nawet otwarciu przez Rosję drugiego frontu na południu.

WYWOŁYWANIE NAPIĘĆ W RELACjach z sąsiadami to stały element polityki Serbii pod rządami prezydenta Aleksandra Vučića. „Weekendowe wojny”, jak nazywają je w Belgradzie, są wygodnym instrumentem w polityce wewnętrznej i relacjach z Zachodem. Wedle narracji prorządowych mediów (a w Serbii nie ma właściwie innych), państwo jest otoczone przez wrogów, a Serbowie mieszkający w krajach ościennych są prześladowani. Tylko obecne przywództwo gwarantuje obywatelom spokój i bezpieczeństwo. Stymulowanie kryzysów i ich rozwiązywanie jest narzędziem, za pomocą którego Vučić buduje sobie wizerunek odpowiedzialnego lidera i jedynego gwaranta stabilności na Bałkanach. Takie kryzysy to również element nacisku na sąsiadów, by nie podejmowali działań, które mogą być źle widziane w Belgradzie.

Liczą się groźby

Ostatni kryzys wpisuje się w ten schemat działania. 1 sierpnia w Kosowie miały wejść w życie nowe regulacje dotyczące wjazdu osób posługujących się serbskimi dokumentami, którym od tej pory miano wydawać tymczasowe dokumenty podrózne (takie zasady obowiązują obywateli Kosowa wjeżdżających do Serbii). To element polityki wobec Serbii premiera Kosowa Albina Kurtiego, która opiera się na zasadzie wzajemności. Władze w Prisztinie chciały również uporządkować kwestie dawno już nieważnych tablic rejestracyjnych wydanych przez serbskie władze mieszkańcom Kosowa (samochodów z takimi rejestracjami jest ok. 10 tys.) – w ciągu dwóch miesięcy miano wyrobić nowe.

W Belgradzie te pomysły uznano za początek „nowych pogromów” wobec serbskiej ludności. Prisztinę oskarżono o podsyłanie napięcia i dążenie do nowych konfliktów. W północnym Kosowie, na terenach zamieszkiwanych przez Serbów stały barykady, drogi dojazdowe do przejść granicznych zostały zablokowane, w serbskiej części Mitrowicy zawyły syreny. Nie był to bynajmniej oddolny protest sfrustrowanej ludności, ale dobrze wyreżyserowany spektakl. Manifestacja miała zmusić władze w Prisztinie do anulowania podjętych dwa miesiące wcześniej decyzji, a dodatkowo pokazać siłę i zasięg wpływów Belgradu. Mieszkańcom Bałkanów takie incydenty spowszedniały, choć zawsze istnieje ryzyko, że coś pójdzie nie tak, komuś puszczą nerwy. Nie chodzi jednak o wywołanie starć, ale właśnie samą groźbę odnowienia konfliktów.

Jednego Belgrad jednak nie wziął pod uwagę: atak Rosji na Ukrainę ➔

→ przemodelował postrzeganie rzeczywistości. Tym bardziej że w ocenie Zachodu Serbia stała w tym konflikcie po stronie agresora. Tylko w Belgradzie odbywały się manifestacje solidarności z Władimirem Putinem. A Prisztina – przez lata zmuszana do ustępstw na rzecz Serbii – wykorzystała tę okazję do zademonstrowania lojalności wobec Zachodu, zaangażowania we wdrażanie unijnych sankcji i wspierania ukraińskiej armii oraz uchodźców.

W nowej rzeczywistości lokalny incydent przerodził się więc w doniesienia o nowej wojnie na Bałkanach, agresji Serbii na Kosowo, otwarciu przez Rosję nowego frontu na południu. Oliwy do ognia dolali serbscy politycy, którzy zaczęli wspominać o konieczności „denazyfikacji Bałkanów”. W obliczu hysterii w mediach społecznościowych zareagowano bardzo szybko. Siły pokojowe stacjonujące w Kosowie wydały uspokajające oświadczenie, ambasador USA w Prisztinie poprosił o zawieszenie na miesiąc wdrożenia w życie decyzji o zmianie dokumentów – co też się stało.

Cena zaniedbań

Czy sytuacja powtórzy się za miesiąc? Trudno na razie przewidzieć – ocena zysków i strat po ostatniej eskalacji zapewne trwa dopiero w Belgradzie. Te wydarzenia pokazują jednak, że mszczą się lata tolerowania przez Europę Zachodnią i USA kolejnych autorytarnych liderów na Bałkanach, podsyłania nastrojów nacjonalistycznych, wreszcie – brak realnej perspektywy członkostwa w Unii dla części krajów regionu. Nadzieja na zmianę jest jednak niewielka. Nikt z liderów politycznych Zachodu nie ma czasu i ochoty na zaangażowanie się w tym regionie. Szybkie rozwiązania wybuchających od czasu do czasu kryzysów jeszcze bardziej utrudniają wypracowanie długofalowych rozwiązań. Ale szantażowanie Zachodu kryzysem to wciąż dość skuteczna metoda na szybkie zyski polityczne – plus na nimb obrońcy interesów narodowych. Realna wojna, przynajmniej na razie, wiązałaby się ze zbyt wysokimi kosztami dla lokalnych polityków. Bo to Zachód jest źródłem wsparcia finansowego i inwestycji.

© MARTA SZPALA

PHILIP GAME / ALAMY / BE&W



Pieśni z przeszłości

DAMIAN NOWICKI

Gdy Joubert Yanten Gomez dowiedział się, że język jego przodków – rdzennych mieszkańców Ameryki Południowej – skazany jest na zagładę, postanowił do tego nie dopuścić.

WSZYSTKO ZACZĘŁO SIĘ OD ZADANIA domowego w jednej z podstawówek w Santiago de Chile. Był rok 1999, gdy ośmioletni Joubert usłyszał, że ma przygotować wypracowanie na temat rdzennych mieszkańców Chile. Niedługo później odkrył, że spośród jedenastu chilijskich języków, którymi posługiwano się kilka wieków temu, do dzisiaj przetrwały zaledwie trzy, i że tym trzem również grozi wyginięcie.

Ośmiolatek był pod wrażeniem tej informacji. A przede wszystkim był sfrustrowany, że nikt w jego otoczeniu w ogóle o tym nie mówił. Im więcej próbował się dowiedzieć na ten temat, tym bardziej go do tego zniechęcano. „Kogo

obchodzi historia Indian?” – słyszał w odpowiedzi.

Szkolny projekt ukończył z najwyższą oceną. Tak zaczęła się jego fascynacja rdzenną kulturą Chile.

Rodzinna tajemnica

Gdy w połowie XVI w. Hiszpanie przybyli do Ameryki Południowej, w powszechnym użyciu było tu jedenaście języków: keczua, ajmara, rapanui, chango, kunza, diaguita, mapudungun, chono, kawésqar, jagan i selk’nam. Najdłużej utrzymały się trzy ostatnie, ponieważ posługujące się nimi plemiona żyły w obrębie Ziemi Ognistej – czyli na południowych rubieżach kontynentu, odda-



*Pomnik mężczyzny z ludu Selk'nam,
Porvenir, Ziemia Ognista, Chile, 2022 r.*

Populacja Selk'nam nigdy się nie odbudowała. W 1974 r. zmarła Ángela Loij, ostatnia przedstawicielka Selk'nam czystej krwi, a także ostatnia osoba biegle mówiąca ich językiem.

Chcąc dowiedzieć się więcej o historii i kulturze rdzennych ludów, Joubert zaczął się uczyć języka na własną rękę. Zgłębiając historię, zaciekał się też własnym pochodzeniem – i w ten sposób odkrył rodzinną tajemnicę: że jego przodkowie wywodzili się właśnie z Selk'nam.

Duma z dziedzictwa

Tajemnica ta miała swoje uzasadnienie – w historii matki Jouberta.

Ivonne Gomez Castro jako dziewczyna była wyśmiewana w szkole ze względu na metyskie rysy. Chciała oszczędzić sobie przykrości, szyderstw i wstydu, jakim kiedyś było publiczne nazwanie „Indianinem” – w czasach jej dzieciństwa społecznie oczekiwana była uroda „europejska”, czyli biała.

Skoro ona przez to przeszła, to niech chociaż jej dzieci nie muszą – tłumaczyła sobie. Długo wahała się, czy powiedzieć Joubertowi i jego starszej siostrze, że ich pradziadek był szamanem Selk'nam, i że w ich żyłach płynie tubylcza krew. Zmieniła zdanie dopiero, gdy dostrzegła łańcuch, z jaką jej syn uczy się prawie wymarłego języka. Odczytała to jako znak, że przodkowie przez niego przemawiają.

A gdy Joubert poznał swoje dziedzictwo, poczuł dumę – i także odpowiedzialność: przysiągł, że nauczy się języka selk'nam na tyle, by zapobiec jego wyginięciu.

Aby opanować gramatykę i słownictwo, studiował m.in. wydany w 1915 r. leksykon, którego autorem był salezjański misjonarz José María Beauvoir. Na podstawie różnic językowych z hiszpańskim Joubert samodzielnie przyswoił sobie także składnię i struktury zdań. Z kolei brzmienie języka poznał dzięki wiadom i pieśniom szamańskim, które nagrała i zebrała amerykańska antropolożka Anne Chapman. Materiały wypożyczone z biblioteki przegrał na płyty CD, aby w domu ćwiczyć mowę i śpiew.

Z początku nucił wysokim tenorem, charakterystycznym dla dojrzewającego 12-latk. Gdy jego umiejętności się po-

głębiły, a głos z młodzieńczego stał się niski i gardłowy, śpiew Jouberta zaczął oddawać ostrą i szarpaną fleksję języka selk'nam.

Ogień przodków

Jego śpiewanie wypadało na tyle dobrze, że za namową matki zaczął występować przed publicznością na uczelniach oraz w muzeach w Santiago. A kiedy podrośł, matka przedstawiła go dalszej rodzinie, której dotąd nie znał.

Joubert wspominał, że początkowo niechętnie przekazywali mu swoją kulturę i niemrawo odpowiadali na jego pytania. Dopiero gdy zdali sobie sprawę, że jego zainteresowanie jest szczere, zaufali mu i zaczęli uczyć języka selk'nam. Ich wiedza nie była akademicka, a ich język nawet nie był poprawny gramatycznie. Np. wujek Javier Gómez nie mówił płynnie, a fraz, które znał, nauczył się kiedyś na pamięć. Potrafił jednak intuicyjnie przetłumaczyć wiele rzeczy, o które Joubert pytał.

Oprócz pracy lingwistycznej, nastolatek starał się utrzymać przy życiu język selk'nam. Na YouTube publikował filmiki, w których intonował plemienne pieśni i tłumaczył fleksję. Potem, chcąc spopularyzować tradycyjną muzykę w selk'nam, zaczął komponować wraz z przyjaciółmi autorskie piosenki w zespole etno-elektronicznym.

Z czasem połączył siły z grupą kulturalną Fuego Ancestral (Ogień Przodków), która promuje kulturę rdzennych ludów Ziemi Ognistej przez filmy dokumentalne, muzyczne prezentacje i warsztaty.

Keyuk

Gdy Joubert miał 14 lat, odezwała się do niego chilijska stacja telewizyjna, która w ramach serialu „Synowie Ziemi” chciała zrealizować odcinek o pierwotnych mieszkańcach kraju. Zaproponowali, że wyślą Jouberta na Ziemię Ognistą w roli konsultanta.

Zgodził się. Razem z ojcem polecieli do Puerto Williams – morskiego portu położonego nad Kanałem Beagle (i stolicy prowincji Antarktyka Chilijska). Tam poznali Cristinę Calderón, ostatnią czystej krwi Jagankę i ostatnią osobę na świecie, która od urodzenia władała językiem tego plemienia.

Spotkanie zaowocowało niezwykłą relacją między nastolatkiem a 77-letnią →

lonych o tysiące kilometrów od centrum państwa.

Od tysięcy lat Selk'nam prowadzili półkoczowniczy tryb życia, opierający się na zbieractwie i polowaniach – przede wszystkim na terenie północno-wschodniej części głównej wyspy tamtejszego archipelagu. Zanim na przełomie lat 1883-84 wybuchła tam gorączka złota, ich populację szacowano na 4-5 tys. osób. Potem działalność poszukiwaczy złota, a także farmerów z koncesjami na uprawę gruntów i hodowlę owiec oraz księży salezjańskich sprawiła, że terytoria łowieckie drastycznie się skurczyły. Wielu z nich stawiało opór wobec kolonizacji, a głód zmuszał ich do kradzieży owiec. W odpowiedzi właściciele rancz zatrudniali myśliwych do chwytania i zabijania rdzennych mieszkańców.

Gdy zabijanie tubylców się skończyło, a ich przetrwanie stało się kwestią wrażliwą społecznie, zaczęła się eksterminacja ich kultury. Do 1905 r. przy życiu pozostało mniej niż 500 Selk'nam. W zamian za ocalenie mieli porzucić język i zwyczaje oraz przyjąć „cywilizowany” model z chrześcijańską religią oraz językiem hiszpańskim na czele.

→ kobietą – dwojgiem ludzi, którzy posługiwali się prawie wymarłymi językami. W ramach korepetycji chłopak zaczął się uczyć jagańskiego. Z pomocą telefonu i maili Cristina wysyłała mu opowieści plemienne i nagrania pieśni. Powiedziała mu, że jego selk’nam brzmi na tyle dobrze, że przypomina jej pierwszego męża, który był członkiem tego plemienia.

Wizyta we wsi Ukikka, w której mieszkają Calderon ze swoją rodziną oraz inni ostatni potomkowie Jaganów, była dla Jouberta doświadczeniem tożsamości.

Po wizycie na Ziemi Ognistej zaczął używać rdzennego imienia swoich przodków: Keyuk.

Ostatni mówca

Gdy aktywność pełnoletniego już Keyuka wzbudziła zainteresowanie, część badaczy uznała go za jedyne żyjącego mówcę języka selk’nam na świecie. Część, gdyż inni badacze wskazują także na osoby, które poznały ten język w dzieciństwie i dopiero pod społecznym przymusem przestały się na hiszpański. Twierdzą oni, że pierwszy nauczony język nie wymiera całkowicie.

Do tej drugiej grupy należał lingwista Luis Miguel Rojas-Berscia, który w 2014 r. nawiązał kontakt z Keyukiem i zapytał, czy zgodziłby się wspólnie z nim odwiedzić Herminię Very Hilioyen. Kobieta, mieszkająca na Ziemi Ognistej, jako dziecko mówiła w języku selk’nam, ale potem zmuszono ją do mówienia wyłącznie po hiszpańsku.

Spotkali się więc we troje. Początkowo komunikacja była trudna, ale stopniowo kobieta rozluźniała się, a słowa przychodziły coraz płynniej i łatwiej układały się w zdania. Udało im się nagrać ponadgodzinną rozmowę. Kilka miesięcy później prawie 92-letnia Herminia zmarła – Keyuka ponownie uznano za ostatniego mówcę selk’nam.

Tymczasem odkrywały go zagraniczne media – w tym brytyjskie „Financial Times” i BBC czy amerykański „New Yorker”. W wywiadach podkreślał rolę mediów w procesie ratowania zagrożonych języków, ale krytykował też dziennikarzy, którzy przedstawiali go jako kogoś egzotycznego np. „ostatniego Mohikanina”.

Rekonstrukcja

Inaczej niż antropolodzy, Keyuk nie zajmuje się badaniem tubylczych języków, lecz ich praktycznym wykorzystaniem



Joubert Yanten Gomez

w codziennym życiu. Np. podczas rodzinnej kolacji, gdy zwracał się do współbiesiadników „*Sal qui aya, ach, sok qui aya, ach*” – co jest prośbą w selk’nam o podanie soli. Z kolei gdy natrafia na słowa bądź zwroty, których nie jest w stanie do końca rozszyfrować, i tak ich używa. Wierzy, że lepiej je wymawiać źle, niż w ogóle z nich nie korzystać i pozwolić im zagać. Aby wzbogacić język, tworzy też własne, bardziej nowoczesne słowa w taki sposób, jak powstają neologizmy w innych językach.

Unika określenia „badacz”. Pytany, kim jest, zwykle nazywa się rekonstruktorem języka.

Działalność, umiejętności, a także szkolna edukacja zakończona z wysokimi ocenami zapewniły Keyukowi stypendium językoznawcze na Universidad de Chile, najstarszej uczelni w kraju. Studia, które zaczął w 2010 r., miały mu pomóc lepiej opisać język przodków i wykonywać pracę dla, jak podkreślał, jego „ludzi”. Okazało się jednak, że jedyne, co uczelnia mogła mu zaoferować, to studiowanie języka i literatury angielskiej. Choć wykładowcy znali jego pracę, żaden językoznawca nie złożył mu poważnej propozycji badawczej. Keyuk uznał, że zaproszenie od uniwersytetu było zabiegiem wizerunkowym.

Trudności

Działalność Keyuka napotkała trudności, które można podzielić na dwie kategorie: biurokratyczną i światopoglądową. Te pierwsze wynikają z presji aktywistów i historyków na polityków, aby uznano udział Chile w ludobójstwie ludu Selk’nam pod koniec XIX w. Rządzący w Santiago długo obarczali w tej kwestii całą winą sąsiednią Argentynę, na której terenie mieszkala większość ludu Selk’nam. Jednocześnie kolejne rządy

coraz chętniej podkreślały wielokulturowość i wielonarodowość Chile – przemilczając, od kogo pochodziło przyzwolenie na morderstwa wobec ludności tubylczej.

Keyuk zgłosił się do biura Narodowego Stowarzyszenia Rozwoju Ludności Rdzennej (CONADI), które podlega Ministerstwu Rozwoju Społecznego i Rodziny, aby zapytać o procedurę zmiany narodowości ze względu na swoje etniczne pochodzenie. Ówczesny dyrektor tej instytucji miał mu powiedzieć, że jeśli chce być uznany za Selk’nam, powinien pojechać do Argentyny i poślubić jedną z tamtejszych potomkin.

Inny charakter miały trudności światopoglądowe. Na wystąpieniach i wykładach Keyuka, prowadzonych najczęściej w internecie, zaczęli się pojawiać ludzie kwestionujący jego pochodzenie i umiejętności lingwistyczne. Żądali dowodów na jego pochodzenie, próbki krwi czy DNA, co miało dać mu legitymację, by tytułować się jako Selk’nam.

Dochodziło też do sytuacji zabawnych; w odpowiedzi na informację, że razem z językoznawcą Luisem Miguelem Rojas-Berscią stworzyli nowoczesny opis gramatyczny dla osób uczących się dziś języka, pewien internauta oskarżył Keyuka, że nie zna gramatyki selk’nam i dlatego stworzył własną.

■ ■ ■
O relacji z Chile, swoim krajem, Keyuk pisał tak: „Nie potrzebujemy, aby [państwo chilijskie] nas uznało tylko po to, aby później chwalić się wielokulturowością i wielonarodowością. Potrzebujemy historycznej rewindykacji, uznania, że Chile było uczestnikiem »ludobójstwa«; potrzebujemy spłacenia długu, jaki u nas zaciągnęło”.

Keyuk ma realistyczne podejście do tych żądań. Jego zdaniem nie ma mowy o jakimkolwiek rozliczeniu win, dopóki chilijscy politycy nie zaczną traktować podmiotowo rdzennych ludów.

Argentyński dziennik „La Nación” nazwał go kiedyś „gwiazdą rocka rdzennych języków”. Ten odpisał autorom tekstu na swoim internetowym blogu: „Nie chcę, aby ktokolwiek mnie podziwiał, ani nie dążę do tego, aby wszyscy mi wierzyli. Tożsamość to wiedza o tym, skąd pochodzisz, gdzie należysz, oraz aktywny wkład do swojej wspólnoty”.

© DAMIAN NOWICKI



KATERINA BARDO

Iryna Maroz i Taciana Skrycka w Gdańsku, 2022 r.

Republika Marzeń

KACPER DZIEKAN

Nie wiadomo, czy i kiedy będą mogli zbudować tę, na której najbardziej im zależy – we własnym kraju. Na razie Białorusinom mieszkającym w Trójmieście pozostaje umacnianie swojej wspólnoty na emigracji.

DWA LATA TEMU, 9 SIERPNIA 2020 R. w Białorusi odbyły się wybory prezydenckie, które wielu obserwatorów uznało za przełomowe. Zjednoczona opozycja wystawiła wspólną kandydatkę, Swiatłanę Cichanouską. Według oficjalnych danych w głosowaniu zwyciężył rządzący nieprzerwanie od 1994 r. autokrata Alaksandr Łukaszenka. Ale fałszerstwa wyborcze były oczywiste i dla wielu Białorusinów zwyciężczynią była Cichanouska. Kłamstwo władzy stało się katalizatorem protestów, jakich niepodległa Białoruś jeszcze nie widziała.

Przez kolejne tygodnie setki tysięcy Białorusinów demonstrowały pokojowo przeciwko reżimowi Łukaszenki. Mimo że prezydent fałszował również poprzednie wybory, żadne nie wywołały tak silnej reakcji. Dlatego ten fenomen przyjęło się nazywać „przebudzeniem” narodowym.

Łukaszenka odpowiedział brutalną pacyfikacją protestów. Tysiące ludzi trafiły do aresztów, wielu siedzi tam do dziś. Według danych białoruskiego Centrum Praw Człowieka „Wiasna” w kraju jest obecnie 1253 więźniów politycz-

nych. Reakcją na represje była także masowa emigracja. Eurostat podaje, że w samym roku 2020 do krajów Unii Europejskiej przyjechało z Białorusi ponad 60 tys. osób. Znaczna ich część wybrała Polskę. Ta emigracja trwa do dziś – obecnie może u nas mieszkać już ponad 100 tys. Białorusinów.

Wielu z nich buduje swoje życie od nowa.

Tymczasowość już na stałe

Iryna Maroz do Polski przyjechała z Brześcia nieco wcześniej: – Na rok akademicki 2019/20, na staż naukowy w Akademii Sztuk Pięknych. Byłam uczestniczką Programu Stypendialnego imienia Konstantego Kalinowskiego – opowiada.

Stypendium to utworzył polski rząd w 2006 r. Jego beneficjentami byli Białorusini, którzy zostali relegowani ze swoich uczelni za udział w protestach przeciwko sfałszowanym wyborom w marcu tego samego roku. Patronem został powstaniec styczniowy, białoruski bohater narodowy, symbolizujący historyczny wymiar białorusko-polskiej wspólnoty kulturowej.



→ Iryna Maroz: – Zajmowałam się analizą architektury modernistycznej z lat międzywojennych w Polsce i Białorusi na przykładzie Gdyni i rodzinnego Brześcia. Gdy napisałam pracę dyplomową, zaczęły się wydarzenia białoruskiego sierpnia 2020. Postanowiłam nie wracać na razie do domu. W Brześciu zajmowałam się także aktywizmem obywatelskim i prowadziłam NGO. Tak trafiłam do specjalnej edycji Programu Kalinowskiego dla Białorusinów. Zaczęłam studia magisterskie na historii sztuki. Staram się dalej badać różne aspekty modernistycznej architektury Brześcia.

Sytuacja w Białorusi nie ulegała prawie – tymczasowość przekształcała się w stan trwały. Podobnie było u Iryny: – W Brześciu pracowałam w zakładzie konserwatorskim. Prowadziłam dokumentację naukowo-badawczą zabytków architektonicznych w obwodzie brzeskim, zajmowałam się też innymi zagadnieniami związanymi z ochroną zabytków. Jako historyk angażowałam się także w wolontariacką inicjatywę zajmującą się badaniem, popularyzacją i promocją brzeskiej architektury modernistycznej. Jeszcze w 2020 r. udało nam się w jej ramach wydać mały album – kontynuuje swoją opowieść.

W Gdańsku realizację swoich pasji historycznych Iryna zaczęła od odkrywania miasta na własną rękę – coraz głębiej i głębiej. Poznała tu też inną białoruską historię, Taciannę Skrycką.

– Przyjeżdżałam do Gdańska w sierpniu 2020 r. w odwiedziny do znajomych. Myślałam, że na dwa tygodnie – mówi Tacianna. – Czytając wiadomości z Białorusi, byłam przerażona jak wszyscy, ale nie miałam planów zostać tu na stałe. Jednak wszystko, co działo się w domu, dawało do zrozumienia, że w tych realiach nie będzie możliwości normalnie żyć i pracować.

Tak minął miesiąc. Tacianna postanowiła zostać na kolejny. Przeczekać, aż wszystko w domu się ułoży. – Praca, którą znalazłam w Gdańsku, była trudna fizycznie – mówi. – Musiałam pracować i uczyć się. Szukałam informacji o Gdańsku i jego historii. Swojej ulubionej sfery działalności nie chciałam zostawiać nawet w innym kraju. Z wykształcenia jestem historykiem i prawnikiem, ale to turystyka zawsze mnie pociągała najbardziej, więc ukończyłam kursy przewodnickie, zdałam egzaminy i uzyskałam licencję. Przez

Wierzymy, że wrócimy kiedyś do domu

– mówią białoruscy działacze.

Na razie organizują się w nowym lokalu, który udostępnił im Gdańsk.

osiem lat pracowałam jako przewodnik, aż do 2020 r.

Tacianna opowiada, że opracowywała nowe trasy po swoim kraju i pisała programy, które przybliżały turystom nieoczywistą i piękną Białoruś – zwłaszcza zakątki odległe od popularnych szlaków turystycznych. Jednakże covid, restrykcje i zamknięcie granic zmusiły ją do zaprzestania działalności turystycznej. – Nie było jasne, co będzie dalej – wspomina.

By odwrócić uwagę

Obecnie Tacianna i Iryna prowadzą wspólnie historyczno-krajoznawczą inicjatywę pod nazwą „Razam” („Razem”), w ramach której organizują tematyczne historyczne spacery po Trójmieście. Po białorusku i rosyjsku, zwłaszcza dla nowych mieszkańców, którzy – tak jak one same jeszcze niedawno – dopiero przyjechali i chcą poznać miasto.

– Zaczęło się od tego, że razem chodziliśmy na spacer – mówi Iryna. – Następnie oprowadzałyśmy po mieście przyjaciół, i to od nich często słyszałyśmy, że powinnyśmy opowiadać o naszym Gdańsku innym. W sierpniu 2021 r. zdecydowałyśmy się zorganizować nasz pierwszy spacer dla nowych gdańszczan. Od tamtego czasu staramy się robić wycieczki po ciekawych miejscach w Gdańsku w weekendy, a w dni powszednie czasami chodzimy z grupą do muzeów. Sądję, że nasze wycieczki są dla ludzi atrakcyjne dzięki klimatowi przyjacielskich spacerów, który staramy się podtrzymywać, jak w nazwie naszej inicjatywy, razem.

Tacianna dodaje: – Mówili nam, że musimy to rozwijać – po to, aby odwrócić ich uwagę od rzeczywistości i okropieństw dziejących się wokół nas. Być razem i zjednoczyć się. Historia Białorusi i Polski to przecież wiele lat wspólnej przeszłości. Dużo nas łączy i o tym trzeba opowiadać w przystępnej formie. Nasz projekt jest



DAWID LINKOWSKI / ARCHIWUM ECS

tym, co kochamy i co będziemy robić w Polsce w przyszłości.

Łącznik z przodkami

W Trójmieście mieszka liczna diaspora białoruska. Podobnie jak w skali całego kraju, trudno oszacować dokładnie jej wielkość. Pewnym wskaźnikiem mogą być lokalne grupy w popularnym komunikatorze Telegram. Liczą po kilka tysięcy członków. Największa – ponad 5,5 tysiąca. Tu odbywa się wymiana najważniejszych informacji: oferty pracy, porady w sprawach urzędowych, ale także informacje o wydarzeniach kulturalno-rozrywkowych oraz tych związanych z ważnymi datami dla Białorusinów.

Wielu Białorusinów, którzy przyjechali do Polski, było wcześniej aktywnych na polu obywatelskim, kulturalnym czy społecznym. W Sopocie przedstawiciele nowej białoruskiej diaspory założyli przy wsparciu władz miasta organizację pozarządową – Stowarzyszenie Białorusinów na Pomorzu. W Gdańsku tchnęli nowe życie w zasłużoną miejscową organizację – Białoruskie Towarzystwo Kulturalne „Chatka”. Od lat dba ona o zachowanie tradycji mniejszości białoruskiej na Pomorzu oraz popularyzację białoruskiej kultury: tradycyjnej i współczesnej, wśród mieszkańców Trójmiasta.



Wystawa „Żywie Białoruś. Niech żyje Białoruś”,
Europejskie Centrum Solidarności w Gdańsku, sierpień 2021 r.

– Chatka łączy pokolenia Białorusinów na emigracji – opowiada Raman Szczërba, wiceprezes organizacji. – Wielu ludzi żyjących w swoim kraju pod władzą Łukaszenki nie wie o tym, że za granicą istnieją białoruskie organizacje, które pielęgnują ducha wolności, szacunku do ojczystej kultury i historii. To właśnie tu zachowała się pamięć o dziejach i działaczach niezwiązanych z narracją radzieckiej historiografii, a także o tradycjach prawdziwie białoruskich. Niekiedy zachowały się one lepiej na emigracji.

W tym roku Chatka obchodzi swoje trzydziestolecie. A nowi gdańscy Białorusini, według jej szefa, nie dowierzają, że w innym państwie, za wschodnią granicą, są ich rodacy, dla których prawdziwą ojczyzną była i pozostanie Białoruś: – Duża grupa zasłużonych działaczy Chatki urodziła się w Polsce – głównie na Podlasiu – i z państwem białoruskim niewiele ma wspólnego. Jednak to właśnie ta białoruska kultura i tożsamość jednoczy tu pokolenia od wielu lat.

Raman Szczërba przyjechał do Gdańska w 2006 r. w pierwszej grupie stypendystów Programu Kalinowskiego. Ukończył filologię polską i rosyjską, zaangażował się w aktywność społeczną. Twierdzi, że rosnąca liczba Białorusinów nad Wisłą stwarza Polakom dodatkową możliwość poznania kulturowego bogactwa ich

ojczyzny. Dzięki energii nowych aktywistów Chatka regularnie organizuje koncerty, spacer, spotkania literackie i wiele innych. Ważną częścią działalności organizacji jest promocja języka białoruskiego, który przez lata był w Białorusi marginalizowany – według różnych szacunków ok. 90 proc. Białorusinów na co dzień posługuje się dziś językiem rosyjskim.

– Język białoruski jest naszym łącznikiem z przodkami. Dziesiątki, jeśli nie setki lat polonizacji oraz rusyfikacji doprowadziły do tego, że młodzi Białorusini nie mają gdzie go usłyszeć – mówi Szczërba. – Państwo wpaja ludziom, że białoruski jest prymitywny i niedoskonały, a w języku rosyjskim można wyrazić wszystko. Nie zgadzamy się z tym. Pracujemy nad poszerzeniem świadomości rodaków o wpływie języka na zachowanie białoruskiej świadomości, walki o wolny i niepodległy kraj.

Kiedyś wrócimy do domu

Choć w pierwszych tygodniach po wybuchu protestów w sierpniu 2020 r. wydarzeniami w Białorusi żyło wielu Polaków, z czasem temat zaczął schodzić na dalszy plan. Skala represji jednak nie ustala.

Lokalni aktywiści starają się także dbać, aby o tym nie zapomniano. Rok temu, na

pierwszą rocznicę sfalszowanych wyborów, Chatka przygotowała wspólnie z Europejskim Centrum Solidarności wystawę czasową „Żywie Białoruś! Niech żyje Białoruś!”, prezentującą m.in. sylwetki osób zaangażowanych w działalność demokratyczną i obywatelską.

Raman Szczërba: – Ta wystawa to hołd zarówno dla tych, którzy przez wiele lat walczyli o wolność i sprawiedliwość w Białorusi, jak i tych, którzy „przebudzili się” w roku 2020. Dla tych, którzy ofiarowali własne zdrowie, wolność, a nawet życie, aby kolejne pokolenia Białorusinów mogły żyć bez strachu na swojej ziemi, czując się tam gospodarzami. To był także akt zjednoczenia Białorusinów Trójmiasta, którzy wspólnie wspominali, cieszyli się i płakali. To także przykład współpracy Białorusinów i Polaków. Dzięki wsparciu takich instytucji jak Europejskie Centrum Solidarności możemy działać razem i czuć tę solidarność. Tu w Gdańsku budujemy teraz taką białoruską społeczność, którą chcielibyśmy widzieć w przyszłości we własnym kraju. Dlatego że wszyscy wierzymy, że kiedyś wrócimy do domu – mówi szef Chatki.

Na razie nie jest to możliwe. Białorusinom pozostaje życie na emigracji oraz w swojej „Niezależnej Republice Marzeń” – jak nazwał się kultowy białoruski zespół rockowy, któremu przewodził Lawon Wolski.

Chatka otrzymała w tym roku od władz miasta Gdańska lokal na prowadzenie swojej działalności. Jedno z marzeń się spełniło – gdańscy Białorusini będą mieli ponownie swoje miejsce, do którego zapraszać będą wszystkich zainteresowanych białoruską kulturą. Iryna i Taciana opowiedzą o historii Białorusi, Raman zaś przybliży białoruską literaturę oraz język. Obecnie głównym zadaniem jest remont oraz umeblowanie i wyposażenie lokalu.

Chatka, jako niewielka organizacja zrzeszająca pasjonatów, nie posiada regularnego dochodu. Wkrótce planuje zorganizować zbiórkę.

© KACPER DZIEKAN

Autor jest pracownikiem Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku oraz doktorantem na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Realizuje działania wspierające białoruską społeczność Trójmiasta w ramach stypendium Landecker Democracy Fellowship, prowadzonego we współpracy z organizacją Humanity in Action.

JAŚNIE OŚWIECONY ŁOTR

Gdy Rosja, Prusy i Austria dokonywały 250 lat temu rozbioru Rzeczypospolitej, ich głównym pomocnikiem był Adam Poniński. W jego życiu jak w lustrze odbija się upadek państwa – i próba jego reformy.

PIOTR SAUTER-ZAWADZKI



WSPOMNIENIE O NIM DŁUGO BUDZIŁO emocje. Jego postać zajęła poczesne miejsce na obrazie „Rejtan. Upadek Polski”, którym w 1866 r. Jan Matejko sportretował moment, gdy Sejm Rzeczypospolitej akceptuje traktat pieczętujący (już po fakcie) jej pierwszy rozbiór, dokonany w sierpniu 1772 r. Przy czym sama już jego fizjonomia – taka, jak przedstawił ją Matejko – mogłaby służyć za przykład w nauczaniu o siedmiu grzechach głównych.

Jeszcze wcześniej historyk Julian Ursyn Niemcewicz napisał o Adamie Ponińskim, iż ten „urodzony z niepospolitymi talentami i wymową (...) wyuzdany na wszystko, co jest niecnym, wszelki wstyd, wszelką uczciwość chciwości i lubieżności poświęcił”.



Inny autor z epoki, Piotr Maleszewski, w wydanym w 1833 r. dziele „Essai historique et politique sur la Pologne” ocenił Ponińskiego jeszcze dosadniej: „Był jedną z tych kreatur, które rodzą się i dojrzewają w rymsztokach rewolucji, kreatur, które filozofia społeczna winna poćwierać i dogłębnie zbadać w celu poszerzenia ludzkiej wiedzy”.

Z kolei eseista Stanisław Mackiewicz, usiłujący bronić królującego wtedy Stanisława Augusta, konstatuje, iż czas taki jak tamten „rodzi wszelkie nieszczęścia, między innymi to, że wypełzają wtedy na powierzchnię wszelkie gady, że triumfują wszelkie hyeny”.

Wspomniany tu obraz Matejki to zarazem alegoria upadku Rzeczypospolitej. Upadku przypieczętowanego własnymi rękoma: Sejm, który obradował w latach 1773-75, na żądanie zaborców usankcjonował traktat rozbiorowy, a „gad” Poniński był jego głównym *spiritus movens*. Jego pyszniący się czerwienią strój na obrazie Matejki kojarzy się z wizerunkiem kata.

Za swe usługi skasował wtedy, jak podaje jego biografka Zofia Zielińska, 400 tys. złotych polskich. Pozyskał też stałą pensję 100 tys. złp rocznie ze skarbu Rzeczypospolitej, Order Świętego Stanisława, tytuł książęcy, urząd podskarbiego wielkiego koronnego i stanowisko przeora zakonu maltańskiego, które dawało mu roczny dochód 12 tys. złp.

Nagroda za zdradę z kasy zdradzonego kraju. Paradoks? W tamtym czasie niekoniecznie.

Wszystko dla korzyści

Na obrazie Matejki nie wygląda młodo – tymczasem miał wtedy niewiele ponad 40 lat.

Jan Matejko, *Rejtan. Upadek Polski*, 1866 r., Zamek Królewski w Warszawie.

Obraz przedstawia scenę z sejmu 1773 r., kiedy to poseł nowogródzki Tadeusz Rejtan (leżący po prawej) sprzeciwił się legalizacji rozbioru. Nad nim, w czerwonym mundurze z rosyjskimi orderami, stoi marszałek Adam Poniński, obok niego Szczęsny Potocki, trzymający akt przyszłej konfederacji targowickiej. Z tyłu, po lewej stoi znużony król Stanisław August Poniatowski, w łóżu zasiada ambasador rosyjski Nikołaj Repnin, a na wszystkich spogląda z portretu caryca Katarzyna II.

Urodził się w 1732 r. (był rówieśnikiem przyszłego króla Stanisława Poniatowskiego). Jego ojcem był Maciej, chorąży wschowski. Od zarania kariery, rozpoczętej około roku 1759, kierowało nim przekonanie, iż w życiowych wyborach słuszne jest to, co przynosi korzyść. A na korzyści miał apetyt – w czym pomagał mu chyba całkowity brak wyrzutów sumienia.

Należąc początkowo do koterii saskiej (tj. stronnictwa popierającego dynastię saskich Wettynów na tronie), uwolnił ministra Brühla od jego „wysłużonej” (jak wtedy mawiano) metresy Józefy Lubomirskiej, poślubiając ją. Odwdzięczono mu się za to kuchmistrzostwem koronnym, po czym wkrótce uhonorowano Orderem Orła Białego.

Gdy w 1764 r. na tronie zasiadł Stanisław August Poniatowski, wyniesiony do władzy przez wroga saskiej koterii stronnictwo Czartoryskich, 32-letni kuchmistrz koronny zręcznie zmienił zapatrywania. Aby nowe przywiązanie ugruntować, zaprzyjaźnił się z kochankiem Izabeli Czarotorskiej – księciem Nikołajem Repninem, ambasadorem carycy Katarzyny II.

W podzięce za akces do jego stronnictwa nowy król ofiarował Ponińskiemu prawo uczestnictwa w Komisji Wojskowej Koronnej. Repnin natomiast przyjął go do grona osób sowiec wynagradzanych, wysługujących się Rosji, a przeciwnych modernizacyjnym reformom nowego króla. W interesie Rosji było utrzymanie ustroju pogrążającego się w anarchii, dzięki czemu mogła zachować kontrolę nad Rzeczpospolitą, uznawaną już za jej protektorat.

Projekt uspokojenia kraju

Podczas wojny domowej – wznieconej w 1768 r. przez szlachtę po zawiązaniu przez nią konfederacji w Barze, której powodem była zarówno niezgoda na królewskie reformy, jak też na rosyjską kuratelę – Poniński i hetman Franciszek Ksawery Branicki (kolejny sportretowany potem przez Matejkę) złożyli Michaiłowi Wołkońskiemu, nowemu ambasadorowi Rosji, owoc ich za troskania losem ojczyzny. Memorandum nosiło tytuł „Projekt uspokojenia Polski”. Autorzy proponowali, aby pod osłoną rosyjskich wojsk zawiązana została konfederacja stanowiąca kontrę wobec tej barskiej. Jej walna rada, powołana pod laską →

→ Ponińskiego, miała zawrzeć wieczysty sojusz z Rosją, a także przywrócić te ustrojowe prawa, które ograniczyły królewskie reformy. Chodziło głównie o *liberum veto* i władzę hetmanów.

Autorzy „Projektu” proponowali, aby do antybarskiej konfederacji zaproszony został Stanisław August. Ten jednak, przy wsparciu Czartoryskich, nie zamierzał ulec żądaniom, by wojska koronne w połączeniu z rosyjskimi rozprawiły się z rebelią. Przeciwnie: król domagał się, by siły rosyjskie opuściły kraj i próbował doprowadzić do narodowego pojednania.

Wobec takiej postawy króla Poniński zareagował modyfikacją „Projektu”, dokonaną w tercecie, bo jeszcze z kancle rzem Andrzejem Młodziejowskim – politykiem równie usłużnym Rosji. Modyfikacja postulowała detronizację Stanisława Augusta. Król, zrażony ostatecznie do Ponińskiego, wyrzucił go z Komisji Wojskowej.

Nie była to zbyt dotkliwa kara. Jeszcze nie.

Na liście płac

U następcy Wołkońskiego, ambasadora Kaspra von Salderna, Poniński nadal figurował na liście płac. I to jako jeden z najbardziej zaufanych: podpisał Saldernowi cyrograf posłuszeństwa. Za odpowiednio wysoką pensję odwdzięczał się rekomendowaniem osób, na których skorumpowanie i lojalność Rosja mogła liczyć. Donosił też o czynionych przez króla na europejskich dworach zabiegach dyplomatycznych, by zapobiec upadkowi Rzeczypospolitej.

W październiku 1772 r., wkrótce po pierwszym rozbiore, Saldern wyprawił Ponińskiego do Petersburga. Celem podróży było przygotowanie kuchmistrza koronnego do odegrania roli marszałka Sejmu, mającego zatwierdzić dokonane przez Rosję, Prusy i Austrię aneksje – już po fakcie, bo podpisanie traktatu między zaborcami nastąpiło wszak w sierpniu tego roku.

Na patrona Ponińskiego w tym przedsięwzięciu desygnowany został rosyjski minister pełnomocny Otto Magnus von Stackelberg – osobnik, o którym biograf Stanisława Augusta, Adam Zamojski pisał, iż „podobnie jak Repnin, czerpał przyjemność z traktowania polskiego monarchy w sposób, w jaki nie ośmieliłby się potraktować kogoś równego mu stanem”.

Godność gwałtem wzięta

W karierze Ponińskiego nastały złote czasy. Na obrazie Matejki tocząca się u jego stóp moneta z moskiewskiej saskiewki to tylko skromny symbol dostojęstw i zysków, do jakich się dorwał.

Wspierany przez Stackelberga, pozwalał sobie na działania bezprawne. „Nie mogąc nigdzie w kraju dla znajomego swego złego charakteru utrzymać się na funkcji poselskiej, w Liwie, przy asystencji żołnierza moskiewskiego zebrawszy kilku szlachty już po odbytych w czasie podług prawa sejmikach, posłem się zrobił” – podaje dziejopisarz Jędrzej Kitowicz.

Dalej Kitowicz pisze: „Podobnym gwałtem godność marszałkowską na sejmie sobie przywłaszczył (...); tenże sejm mimo wolą wszystkich innych posłów w konfederację zawiązał; (...) sądy konfederackie właśnie jakby podczas bezkrólewia otworzył; (...) wszystkim innym jurysdykcjom milczenie nakazał; (...) Reytana, posła litewskiego, do łaski marszałkowskiej sobie przeszkadzającego i przy prawie żywo obstającego, kryminalnie zapozwał (...); przyjmując do swoich sądów konfederackich sprawy o substancje obywatelskie, nawet kilka dekretami trybunalskimi ułatwione, też dekreta uchylał, a inne wyroki sejmowe według pieniędzy, które od udających się do sądu swego brał, wydawał; (...) konstytucje na sejmie uchwalone, posyłając do kancelarii (...) sekretarza sejmowego, człowieka charakteru sobie podobnego, z aktów wydierał, a inne na to miejsce podług interesu swego lub cudzego dobrze sobie opłaconego podsuwał”.

Wykorzystując koniunkturę, Poniński odkupił od Teodora Wessla za 300 tys. złp urząd podskarbiego koronnego, który tamten kupił niegdyś od saskiego ministra Brühla. „Zrobiwszy się na tymże sejmie podskarbigim wielkim koronnym – pisze Kitowicz – na urzędy skarbowe nikogo podług zasług i zdatności, ale tylko podług zapłaconych sobie od konkurentów pieniędzy nominował”.

Bywało, że jeden urząd sprzedawał kilku chętnym. Albo że usuwał z urzędu swoich nominatów na rzecz kolejnych, którzy dali więcej.

Na koniec: generał-lejtnant

Gdy delegacja Sejmu negocjowała z Rosją sprawę zaborczych aneksji, Poniński upozował się na patriotę realistycznie oceniającego sytuację. Winą za rozbiórczą ini-

cjatywę obarczył żądne terytorialnych zdobyczy Prusy i przekonywał członków sejmowej delegacji, jak korzystny wobec pruskiej pazerności będzie dla Rzeczypospolitej przyjazny układ z Rosją.

Zmienił jednak zaraz front, gdy przyszła kolej na negocjacje z Prusami. Suto przez nie opłacany, orędownał, aby przystać na żądania króla Fryderyka II, zawarte m.in. w fatalnym dla Rzeczypospolitej traktacie handlowym. Dało mu to jeszcze jedną okazję do bogacenia się, a to za sprawą łapówek pozyskiwanych za koncesje dla Pruskiej Kompanii Handlu Polskiego.

Również potem inwencja Ponińskiego w pomnażaniu fortuny nie słabła. Gdy w 1775 r. Sejm przyjął wymuszoną przez Stackelberga konstytucję – wprowadzającą nową formę rządów, mających opierać się na powołanej przy królu Radzie Nieustającej, ograniczającej monarchią władzę – Poniński najpierw wystarał się w niej o stanowisko marszałka, a potem odsprzedał je z korzyścią Antoniemu Sułkowskiemu.

W innej sprawie, jaką był zadawiony problem ordynacji ostrogskiej – tj. kwestia własności wielkich dóbr ziemskich pierwotnie należących do rodu Ostrogskich, a potem będących przedmiotem sporu między różnymi rodami – również doprowadził do zyskownego finału. W rozdrapywanej Rzeczypospolitej wielu ludziło się nadzieją, że ordynacja ta, bardzo cenna, stanie się własnością państwa i zapewni finansowanie wojska.

Poniński ochoczo wmieszał się w rozwiązanie problemu. Sejm zniósł ordynację, a w jej miejsce utworzono Przeorat Zakonu Maltańskiego, przy czym Poniński – zwiódłszy chytrze występującego z roszczeniami zakonnego ambasadora – wybił się na stanowisko Wielkiego Przeora, zapewniając sobie roczną pensję 42 tys. złp. Jako fundator powołał też jedną z komandorii rodowych i obwołał się szefem regimentu pieszego ordynacji ostrogskiej w randze generał-lejtnanta.

U księcia ścisk niesłychany

Kolejną okazją, w której Poniński zwierzył interes, była likwidacja majątku po świeżo skasowanym przez papieża zakonie jezuitów. Król chciał, by pojezuickie dobra przekazano na rzecz Komisji Edukacji Narodowej. Uchwalono w tym celu ustawę, lecz w efekcie działań Ponińskiego przejęcie dóbr odwleczono

– pod pozorem konieczności ich oszacowania.

Poniński i jemu podobni – jak biskup Massalski czy kanclerz Młodziejowski (również biskup) – wodzili przy tym prym w powołanych Komisjach Rozdawniczych i Sądowych. Skala łapówkarstwa i grabieży była w nich tak ogromna, że pierwsze z tych komisji zyskały miano „rozdrapniczych”. Poniński miał przywłaszczać sobie – i odsprzedawać dalej – nawet kosztowności z kościelnych ołtarzy.

Poza tymi źródłami jego zysków historycy wymieniają jeszcze m.in. dywidendy z monopolu tytoniowego (sam go sobie przyznał), opłaty za korzystanie z mostu na Wiśle, który zbudował, łapówki pobierane od Żydów za prawo do osiedlania się w Warszawie czy dochody z majątków ziemskich pozyskanych w czasie Sejmu rozbiorowego (jak podaje Zofia Zielińska, m.in. „klucza torczyckiego w woj. kijowskim i bractawskim, klucza derazeńskiego na Wołyniu (...), dóbr barskich, cudnowskich, lubarskich i Łysobyków na Wołyniu, klucza lipowieckiego w pow. winnickim”).

Biogram Ponińskiego autorka kończy konkluzją: „Uderza w tej postaci dysproporcja ogromu przestępstw popełnionych dla zdobycia pieniędzy i miąższość celów”, na jakie je wydawał. Faktycznie: użytkował je głównie na wielkopańskie uczty, a przede wszystkim na karciane gry hazardowe, niebawem wtedy modne. „U księcia Ponińskiego ścisk był nieślychany – wspomina w pamiętnikach Jan Duklan Ochocki. – Ci, co bank faraona ciągnęli, mieli przed sobą kupy złota, wielkie jak kretowiny, na innych stołach grano w kwintę, ale i tam złota nie brakło”.

Rozrzutność, otoczenie szulerów i kwoty, jakie przegrywał (Włoch

Thomatis, farbowany hrabia, złupił go kiedyś, „zabierając mu jednego wieczora nie tylko wszystką gotowiznę, ale i całoroczne pensje – przeora maltańskiego i podskarbińską”, notuje Andrzej Hamerliński-Dzierzynski) – wszystko to doprowadziło Ponińskiego do bankructwa.

Pogrążony w długach, sprzedał pensję przeora maltańskiego i usiłował sprzedać podskarbiostwo. W 1786 r. Trybunał Koronny Lubelski (od XVI do XVIII wieku jeden z najwyższych sądów Rzeczypospolitej) wydał dekret o podziale jego majątku. Za to nieodmiennie mógł liczyć na pensję od ambasadora Rosji.

Skazany

W roku 1789 dobrano się wreszcie Ponińskiemu do skóry. Stało się to podczas obrad Sejmu Wielkiego, który zakończył się uchwaleniem Konstytucji 3 maja.

Zaczątkiem oskarżenia było rozgrabienie dóbr pojezuickich. Rozwinięto je wkrótce, dodając przestępstwa popełnione na Sejmie rozbiorowym. Znalazł się wśród nich zarzut „o branie pensji zagranicznych i interesom zagranicznym na szkodę Rzeczypospolitej służenie”. Poniński odgrażał się, że ujawni współników, z których wielu w atmosferze Sejmu Wielkiego wystroili się na reformatorów – jak hetman Ksawery Branicki („Choć ich wprzód jedną było można mierzyć pędzią, / Dziś nie tak – Adam więziem, a Ksawery sędzią” – kpił w wierszu Franciszek Zabłocki).

Ponińskiego aresztowano, lecz z pomocą syna zdołał zbiec. Wynajętą łodzią umykał Wisłą do Gdańska, jednak pod Toruniem, jak ironizuje Kitowicz, „pijakowi ognistemu zachciało się wódki gdańskiej i pierników toruńskich”. Gdy zszedł na brzeg, został schwytany.

Wyrok sądu ogłosił go zbrodniarzem stanu i nieprzyjacielem ojczyzny, odsądzonym od urzędów, godności i orderów. Jak pisze Kitowicz: „kiedy czytano dekret (...) najprzód wspomniano go jaśnie oświeconym księżciem, potem jaśnie wielmożnym, potem tylko urodzonym, podług stopniów, z których go zrzucano; a na ostatku, gdy go odsadzono od szlachectwa i od imienia Ponińskich, nie mianowano go, tylko człowiekiem Adamem”.

Miał opuścić Warszawę w ciągu czterech godzin po ogłoszeniu wyroku, a Rzeczpospolitą do czterech tygodni. Na prośbę rodziny odstąpiono od publicznego wytrąbienia go ze stolicy.

W ryszotoku

Wyrok i banicja nie umniejszyły tupego Adama Ponińskiego. Jeszcze przed opuszczeniem ojczyzny przywdział rosyjski mundur i ozdobił się rosyjskimi orderami, a także wydał w Mokotowie pożegnalny bankiet. Następnie udał się do mołdawskich Jass, do faworyta carycy księcia Potiomkina. Po drodze nie omieszkali złożyć we Lwowie do ksiąg grodzkich manifestu przeciw wyrokowi. Wojażując przez jakiś czas po Europie, przedstawiał się z humorem jako *Monsieur Toutcourt* (Pan Nic-Więcej).

Gdy przeciwko majowej konstytucji zawiązała się konfederacja targowicka, jej władze na prośbę Ponińskiego ogłosiły jego niewinność i przywróciły odebrane mu prawa. Nie zaprzestali jednak ścigać go wierzycciele. Także próby odzyskania źródeł dochodów spełzały na niczym. Nawet ambasada rosyjska nie była już zainteresowana jego usługami – był nazbyt skompromitowany.

Niegdyśszy krezus popadł w nędzę. Żył na łaskawym chlebie u dawnego sługi. Choć różne są wersje okoliczności jego śmierci w roku 1798, w każdej z nich włóczyący się po szynkach „jaśnie oświecony łotr” ostatnie pijackie tchnienie wydaje w ryszotoku.

W komentarzu do wspomnienia o Ponińskim historyk Niemcewicz przywołuje haniebne rodzaje śmierci innych jeszcze sprzedawczyków, m.in. tych, którzy zawiśli na szubienicach podczas insurrekcji kościuszkowskiej. Komentarz zamyka smutną refleksją: „Czemuż przykład ten nie zastrasza podłych i sprzedajnych dzisiaj”. Po czym cytuje Wergiliusza: „Uczcie się cnót, karceni, i szanujcie bogi”.

© PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim | Wydział Cywilny w sprawie I Ns 49/22 toczy się postępowanie z wniosku Bożeny Stalki o stwierdzenie nabycia spadku po Mariannie Stalce, zm. 26 listopada 1977 r., ostatnio zamieszkałej w miejscowości Elżbieta, oraz po Bolesławie Stalce, zm. 2 grudnia 1988 r., ostatnio zamieszkałym w Józefowie nad Wisłą. W skład spadku wchodziło gospodarstwo rolne położone w miejscowości Elżbieta w gminie Opole Lubelskie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców lub ich następców, aby w terminie trzech miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie, albowiem w przeciwnym razie zostaną pominięci w stwierdzeniu nabycia spadku.

KOSMOS W ERZE WEBBA

Wiemy już, że nowy kosmiczny teleskop robi piękne zdjęcia – tak doskonałe, że zachwyt nad nimi może przesłonić nam główny cel istnienia instrumentu.

SEBASTIAN J. SZYBKĄ

MIESIĄC TEMU ZA SPRAWĄ TELESKOPU Jamesa Webba astronomia trafiła na pierwsze strony gazet. Urzekające obrazy odległych gwiazd i galaktyk wywoływały u wielu komentatorów metafizyczną zadumę nad nikłością naszego istnienia w kosmologicznych skalach czasu i przestrzeni. W mediach mogliśmy też czytać i słyszeć o oczekiwaniach związanych z nowym teleskopem.

Co nam jednak po tych wszystkich podglądanych dalekich galaktykach czy gwiazdach? To, jak pisała Szymborska, gwiazdy „bez konsekwencji. / Bez wpływu na pogodę, modę, wynik meczu, / zmiany w rządzie, dochody i kryzys wartości”.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że teleskop Webba fascynuje głównie jako maszyna do bicia rekordów. Człowiek z największymi stopami urodził się w Maroku, kichnięcie podróżuje z prędkością 44 m/s, a najstarsza galaktyka, jaką kiedykolwiek dojrzał człowiek, wygląda jak czerwona plamka i widać ją, o, tutaj.

Dlaczego więc nowy teleskop jest dla nas cenny? Richard Feynman, jeden z najbardziej wpływowych fizyków w historii, zauważył, że wartość nauki nie jest oczywista. Naukę często błędnie utożsamia się z techniką. Technika to tworzenie nowych rzeczy, a jej wartość łatwo zrozumieć – wynalazki ułatwiają nam życie. Jednak główna wartość nauki nie wynika z korzyści płynących z wdrażania w życie nowych osiągnięć.

Nauka w swojej najczystszej postaci zajmuje się odkrywaniem struktury rzeczywistości – świata, w którym żyjemy. Jest to według Feynmana największa przygoda człowieka. Odkrycia są plonem i złotem nauki, zapłatą za dyscyplinę rozumowania i ciężką pracę.

Obserwacje odległych galaktyk nie spowodują, iż nasze życie stanie się łatwiejsze. Nie mają one tego typu konsekwencji, ale też nie tego od nich oczekujemy. Mimo to dotyczą nas bezpośrednio.

Detronizacja Hubble’a

Kosmiczny teleskop Jamesa Webba – największy i najdoskonalszy, jaki kiedykolwiek zbudowaliśmy – powstał dzięki współpracy amerykańskiej NASA (Narodowa Agencja Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej), ESA (Europejska Agencja Kosmiczna) oraz CSA (Kanadyjska Agencja Kosmiczna). Nosi imię administratora NASA, który kierował agencją w czasach programu Apollo. W przestrzeń kosmiczną został wyniesiony 25 grudnia 2021 r. Po przebyciu 1,6 mln kilometrów, w styczniu tego roku, zajął swoją docelową pozycję względem Ziemi i Słońca. Pierwsze pełnowartościowe zdjęcia wykonane przez ten instrument – wcześniej musiał zostać odpowiednio skalibrowany – zaprezentowano 11 i 12 lipca.

Teleskop Webba zdetronizował inny słynny instrument, teleskop Hubble’a, który został umieszczony na orbicie okołozemskiej w 1990 r. Dzięki temu



starszemu teleskopowi poznaliśmy dokładniej wiek wszechświata i tempo jego ekspansji, czyli nieustannego rozszerzania się przestrzeni, stworzyliśmy też mapy tajemniczej ciemnej materii. Zebrane dane upewniły nas, że w centrum prawie każdej galaktyki znajduje się ogromna czarna dziura.

Niewiele osób pamięta dzisiaj, że misja teleskopu Hubble’a rozpoczęła się od spektakularnej porażki. Przez proste niedopatrzenie instrument trzeba było serwisować w przestrzeni kosmicznej. Problem rozwiązała wysłana w kosmos ekipa ratunkowa i przez kolejne 30 lat to właśnie ten teleskop dostarczał nam przepięknych zdjęć wszechświata. Chociaż ciągle działa, umożliwiając nowe odkrycia, to już się postarzał, a przecież rozwój technologiczny się nie zatrzymał. Każde pokolenie astronomów chciałoby podglą-



NASA.GOV

Kosmiczne Klify (Mgławica Carina) – jedno z pierwszych zdjęć teleskopu Jamesa Webba.

dać kosmos za pomocą instrumentu na miarę swoich czasów.

Teleskop Jamesa Webba różni się od teleskopu Hubble'a nie tylko doskonalszą elektroniką. Każdy, kto oglądał film „Gravitacja” z George'em Clooneyem i Sandrą Bullock, wie, iż teleskop Hubble'a ma rozmiar dużej ciężarówki. Jego lustro ma powierzchnię niecałych pięciu metrów kwadratowych. Powierzchnia lustra teleskopu Webba jest ponad sześciokrotnie większa. Osłona chroniąca olbrzymie lustro przed palącymi promieniami Słońca ma rozmiary kortu tenisowego. Bezpieczne umieszczenie tak wielkiego instrumentu w przestrzeni kosmicznej było inżynierskim majstersztykiem.

Teleskop Hubble'a znajduje się na orbicie okołoziemskiej, zaledwie 540 km nad naszymi głowami. Teleskop Jamesa Webba nie okrąża Ziemi, lecz wraz z Zie-

mią okrąża Słońce, daleko poza orbitą Księżyca – wizyta ludzkich serwisantów, podobna do tej, która ocaliła dla nas Hubble'a, nie jest więc możliwa. Ponieważ w ciemności najłatwiej dostrzec słabo świecące obiekty, instrument Webba zwrócony jest tyłem do naszej gwiazdy i wpatruje się w czarną otchłań kosmosu. Kolejna zasadnicza różnica pomiędzy tymi dwoma instrumentami dotyczy zakresów długości fal elektromagnetycznych, na której wykonywane są obserwacje.

Nasze oczy mogą bezpośrednio zarejestrować fale elektromagnetyczne o bardzo ograniczonym zakresie długości, zwane światłem widzialnym. Teleskop Hubble'a przeznaczony jest głównie do obserwacji w świetle widzialnym. Teleskop Webba natomiast obserwuje głównie fale dłuższe od światła widzialnego,

należące do zakresu tzw. podczerwieni. Ta różnica wynika z odmienności zadań, które stawia się nowemu instrumentowi. Nie należy o nim myśleć wyłącznie jako o udoskonalonej wersji teleskopu Hubble'a.

Narodziny gwiazd i planet

Miłośnicy astronomii mają sentyment do obserwacji prowadzonych w świetle widzialnym. Amatorskie teleskopy działają właśnie w ten sposób – jako swego rodzaju kosmiczne okulary korygujące niedoskonałości naszego wzroku. W praktyce większość zdjęć astronomicznych, jakie oglądamy w internecie, również tych z teleskopu Hubble'a, jest sztucznie koloryzowana. Dla profesjonalnego astronoma kolor to po prostu narzędzie umożliwiające uwidocznienie ciekawych aspektów zdjęć.

→

→ Długość fali elektromagnetycznej, za pomocą której podglądamy świat, ma za to niezwykle ważne praktyczne znaczenie. Różne obiekty w kosmosie generują i pochłaniają fale o różnych długościach. Przykładowo kosmiczny pył jest dobrze widoczny w świetle widzialnym – co oznacza, że może nam coś bardzo skutecznie zasłonić. Jeśli jednak chcemy podglądać zanurzone w kosmicznym pyłe formujące się dopiero gwiazdy czy układy planetarne, to musimy zajrzeć do wnętrza chmur pyłu. Dla odpowiednio wybranych fal podczerwonych drobny kosmiczny pył staje się praktycznie niewidoczny. Dlatego, używając teleskopu Webba, można spoglądać poprzez kosmiczny pył zupełnie jak przez szybę. Obserwacja narodzin gwiazd i układów planetarnych to jedno z czterech głównych zadań teleskopu Webba.

Drugie zadanie ma wymiar sięgający daleko poza astronomię. Teleskop Webba zmierzy się z zagadką, która dotyka nas wszystkich. Gdzie oni są? Czy jesteśmy sami we wszechświecie? Nie, nie spodziewamy się zobaczyć zielonych ludzików. Spotkanie z innymi formami życia będzie prawdopodobnie wyglądało inaczej. Astronomowie dopiero niedawno opanowali następującą sztuczkę. Wyobraźmy sobie odległą gwiazdę i okrążającą ją planetę, która co jakiś czas przelatuje pomiędzy gwiazdą i nami. Gdy planeta przechodzi przed tarczą gwiazdy, „prześwietlona” zostaje jej atmosfera. Choć nie potrafimy dostrzec samej planety, to analizując światło gwiazdy, można stwierdzić, jakie długości fal zostały zablokowane przez atmosferę planety, a dla jakich długości fal była ona przezroczysta. Zależy to od składu chemicznego tej atmosfery. Skład chemiczny z kolei wynika z procesów zachodzących na planecie. Jeśli na planecie istnieje życie podobne do naszego, to skład jej atmosfery ma pewne charakterystyczne cechy, które można zobaczyć również w podczerwieni. Teleskop Webba został wyposażony w instrument, który doskonale nadaje się do prowadzenia tego typu analiz. Gdy w 1990 r. na orbitę wystrzelowano teleskop Hubble’a, istnienie planet pozasłonecznych było kwestią nader wątpliwą. Obecnie znamy ich ponad pięć tysięcy – i domyślamy się, że są powszechne.

Ciemne wieki wszechświata

Wszechświat wyłonił się 13,8 mld lat temu z Wielkiego Wybuchu. Nie była

to eksplozja, która wydarzyła się gdzieś w przestrzeni, lecz „eksplozja” samej przestrzeni. Wielki Wybuch był wszędzie! Wszechświat był pierwotnie niewyobrażalnie gorący, gęsty i jasny. Rozszerzanie przestrzeni powodowało spadek temperatury. Mniej więcej 400 tysięcy lat po Wielkim Wybuchu wszechświat ostygł na tyle, iż mogły utworzyć się atomy. Cały wszechświat przypominał wtedy atomową zupę, bardzo jednorodną i nudną. Nie istniały źródła światła widzialnego, takie jak gwiazdy czy galaktyki. Narodziły się one później, wskutek grawitacyjnego zapadania się drobnych zagęszczeń „zupy”. Powstanie gwiazd zakończyło tzw. ciemne wieki wszechświata. Proces ten w pełni zakończył się około miliarda lat po Wielkim Wybuchu.

Światło porusza się ze skończoną prędkością. Oznacza to, że patrząc na odległe obiekty, spoglądamy równocześnie w przeszłość. Wybierając coraz dalsze obiekty, możemy studiować ewolucję galaktyk, a nawet podglądać moment ich narodzin. Przy czym, jak pamiętamy, od Wielkiego Wybuchu wszechświat się nieustannie rozszerza – a więc odległe obiekty coraz bardziej się od nas oddalają. To zjawisko ma jeszcze jedną istotną konsekwencję: powoduje, że wędrujące w przestrzeni fale światła „rozciągają się”. Nie jest to intuicyjny efekt, znany z życia codziennego, ale dla astronomii ma wielkie znaczenie. Oznacza bowiem, że światło, które dawno temu zostało wyemitowane jako widzialne, po miliardach lat może rozciągnąć się do podczerwieni.

Dlatego teleskop Jamesa Webba o wiele lepiej niż teleskop Hubble’a nadaje się do oglądania pierwszych obiektów powstałych we wszechświecie, wyłaniających się z wieków ciemnych. Obserwując inne galaktyki, mamy nadzieję dowiedzieć się, w jaki sposób powstała nasza – Droga Mleczna, a także Słońce i sama Ziemia. Studiowanie ewolucji galaktyk oraz tego, w jaki sposób powstały, to dwa kolejne zadania, jakie stoją przed teleskopem Jamesa Webba.

Galaktyki z konsekwencjami

Jeśli dzięki teleskopowi Jamesa Webba znajdziemy silne argumenty za istnieniem życia na innych planetach, będzie to odkrycie nieporównywalne z innymi w historii naszej cywilizacji. To oczywiście. Jednak jakie konsekwencje mogą wynikać dla nas z lepszego zrozumienia na-

rodzin gwiazd i układów planetarnych, z lepszego zrozumienia ewolucji galaktyk i tego, w jaki sposób powstały pierwsze z nich ponad 13 mld lat temu?

Zacznę od wyjaśnienia pewnego częstego nieporozumienia. Teleskop Jamesa Webba nie umożliwi podglądnięcia powstawania galaktyk w taki sposób, w jaki oglądamy w telewizji przygody Kubusia Puchatka. Zdjęcia wykonane przez instrument Webba są piękne, ale ich prawdziwa wartość ujawnia się dopiero, gdy to, co ukazują, skonfrontujemy z nagromadzoną wcześniej wiedzą.

Wyobraźmy sobie, że w jakiś cudowny sposób zdjęcia odległych galaktyk wykonane przez teleskop Webba trafiły w ręce XIX-wiecznego astronoma. Nie byłyby one dla niego bardzo użyteczne. Astronom sprzed 150 lat nie wiedział, że istnieją składające się z setek miliardów gwiazd obiekty zwane galaktykami, nie wiedział, że wszechświat nie jest niezmienny, nie wiedział też, że widoczne na zdjęciach deformacje struktur kosmicznych są skutkiem działania grawitacji, która potrafi zakrzywiać światło. Nie wiedział również, że kolor świecących obiektów jest powiązany z ich odległością od nas – im są dalsze, tym bardziej poczerwienione (a więc „rozciągnięte”) jest ich światło.

Na podstawie nawet wielu pięknych zdjęć kosmosu nie da się odgadnąć tych wszystkich rzeczy. Teleskop Jamesa Webba, Wielki Zderzacz Hadronów, który znajduje się w Genewie i pozwala badać składniki materii, a także wszystkie inne teleskopy i zderzacze świata są częścią wielkiego sita, przez które naukowcy przepychają wizję rzeczywistości wypracowaną na podstawie szeregu wcześniejszych odkryć. Odkrycia te powinny tworzyć spójną całość: rozwój fizyki cząstek może zależeć od tego, co zobaczy teleskop Webba, kosmologia czerpie z odkryć dokonywanych w zderzaczach cząstek. Bez wypracowanej przez nas interpretacji zdjęcia odległych galaktyk byłyby zagadkowym zbiorem kolorowych plam, a dane pozyskane w Wielkim Zderzaczu Hadronów – bezsensownym ciągiem zer i jedynek. To właśnie proces tworzenia spójnych teorii dotyczących struktury rzeczywistości i weryfikowania ich za pomocą obserwacji oraz eksperymentów wspomniany wcześniej Richard Feynman uważał za największą przygodę ludzkości. Jego zdaniem nie żyjemy pełnią

swojej epoki, jeśli nie doceniamy, jak wielka jest to przygoda.

Uszczelnianie sita

Dla wielu naukowców głównym celem istnienia teleskopu Jamesa Webba jest uszczelnienie „wielkiego sita obserwacji i eksperymentu”. Teleskop Webba jest w nim naprawdę doskonałym drobnym oczkiem. Być może gdzieś na świecie żyje astronom, którego największym marzeniem jest lepsze zrozumienie powstawania galaktyk 13 mld lat temu. Być może jakiś biolog ponad wszystko chce zrozumieć znaczenie nabrzmiałej szóstej lotki drugiego rzędu samca kusogorzyka miotlastego. Nauka nie jest jednak zbiorem ciekawostek. Studiowanie lotek kusogorzyka jest ciekawe, bo może doprowadzić do odkrycia ogólnych mechanizmów rządzących doborem płciowym, czyli tym, jak zmieniają się cechy osobników, by łatwiej im było uwodzić partnerów i płodzić dzieci. Realna możliwość, iż obserwacje wczesnych galaktyk podpowiedzą, jak udoskonalić nasze teorie fizyczne, jest fascynująca. Nie znamy bardziej skutecznej metody odkrywania struktury rzeczywistości niż zmuśnięte badanie najdrobniejszych szczegółów, ale przeważnie poznanie tych szczegółów nie jest dla nas celem samym w sobie.

Obserwacje odgrywają rolę ostatecznego sędziego stawianych przez nas hipotez, dlatego wszelkie niezgodności pomiędzy teorią i obserwacjami są na wagę złota. Problemy domagają się rozwiązań, a poszukiwanie rozwiązań prowadzi do naukowych rewolucji. Powstawanie wczesnych galaktyk to tylko jeden przykład i zarazem drobny element naukowej układanki. Wszystkie elementy muszą do siebie pasować, by tworzyć spójną całość. Jeśli tak nie jest, należy rozmontować większy fragment układanki i spróbować poskładać ją inaczej.

Badanie tego, co odległe w czasie i przestrzeni, może mieć globalne naukowe konsekwencje dotyczące świata wokół nas. Teleskop Jamesa Webba ma w sobie potencjał, który może zmusić nas do przebudowania naszej wizji rzeczywistości. A na tym, by rozumieć świat, w którym żyjemy, zależy chyba nam wszystkim.

© SEBASTIAN J. SZYBKĄ



NASA.GOV

Sonda Voyager 2 – wizja artystyczna.

Misja dla Szekspira

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Tylko jedna sonda kosmiczna – Voyager 2 – przeleciała w pobliżu Urana i Neptuna. W ciągu kilku dekad powinno się to zmienić: o misjach na lodowe olbrzymy myślą Amerykanie i Chińczycy.

FREDERICK WILLIAM HERSCHEL BYŁ utalentowanym muzykiem. Grał na oboju w orkiestrze wojskowej w Hanowerze, powiązany unią personalną z Wielką Brytanią. Gdy jednak francuskie wojska zajęły to księstwo w 1757 r., Herschel przeniósł się do Anglii. Muzyka pozwoliła mu żyć dość wygodnie, ale fortuny nie zarobił. Próbował więc szczęścia w biznesie: wraz z siostrą założył firmę produkującą damskie kapelusze, lecz cały interes skończył się kląpą.

Być może dlatego, że coraz więcej czasu zajmowało mu nowe hobby. 35-letni Herschel potrafił spędzić 16 godzin na dobę w warsztacie, polerując i dopasowując soczewki teleskopu własnej roboty.

Mineło osiem długich lat, zanim dokonał przełomowego odkrycia. Nocą 13 marca 1781 r. Herschel jak zwykle szukał komet. W konstelacji Bliźniąt zauważył obiekt, którego nie było dotąd w żadnym katalogu. Wkrótce okazało się, że to

nie kometa, tylko nowy świat – pierwsza planeta odkryta od czasów starożytnych.

Herschel z dnia na dzień stał się naukową gwiazdą i osobistym astronomem króla Jerzego III. Z wdzięczności chciał nazwać nową planetę Georgium Sidus, Gwiazdą Jerzego, ale ten pomysł szybko upadł. Astronom Johann Bode zaproponował, by ochrzcić planetę imieniem Uranosa – boga nieba i ojca Kronosa, znanego Rzymianom jako Saturn. W ten sposób planeta ta stała się jedyną, która odziedziczyła imię po bóstwie z greckiego, a nie rzymskiego panteonu.

Podróż Voyagera

O ile jednak obserwacja Urana wynikała z przypadku, o tyle odkrycie jego sąsiada było popisem matematyków. Sam Uran zachowywał się bowiem dziwnie – jego orbita nie odpowiadała przewidywaniom. Uczni doszli więc do wniosku, że gdzieś dalej musi znajdować się kolejny obiekt, który powoduje grawitacyjne zaburzenia. Francuz Urbain Le Verrier →

→ wyliczył prawdopodobną pozycję nowej planety i skontaktował się z Johannem Galle z Obserwatorium Berlińskiego. Ten otrzymał wiadomość 23 września 1846 r. Jeszcze tego samego wieczoru zobaczył przez teleskop błękitny dysk planety. Była niemal dokładnie tam, gdzie przewidział Le Verrier.

Odkrycia Urana i Neptuna wywołały sensację i były postrzegane jako triumf nauki. Ale planety te, odległe i trudne do obserwacji, z czasem straciły swój blisc. Gdy nadeszła era kosmiczna i ludzkość zaczęła wysyłać sondy do badania niemal wszystkich obiektów Układu Słonecznego, mało kto myślał o nich ze względu na dużą odległość (Uran jest średnio 20, a Neptun 30 razy dalej od Słońca niż Ziemia) oraz panujące przekonanie, że są mniejszymi i mniej interesującymi wersjami dwóch imponujących olbrzymów – Jowisza i Saturna.

Ludzkość odwiedziła je dotąd tylko raz, nieco przy okazji. Sonda Voyager 2, korzystając z korzystnego układu planet, odwiedziła kolejno Jowisza (1979), Saturna (1981), Urana (1985), a wreszcie Neptuna (1989 r., 12 lat po starcie).

Od tej pory wystrzeliliśmy sondy na Merkurego, Jowisza, Saturna, umieściliśmy lądownik na Tytanie i na jądrze komety, wysłaliśmy wreszcie całą flotyllę orbiterów i lądowników, które do dziś badają Marsa. Ale Uran i Neptun pozostały niemal *terrae incognitae*. Poza okazjonalnymi obserwacjami prowadzonymi za pomocą teleskopu Hubble’a naszym głównym źródłem wiedzy o nich była wyprawa Voyagera.

Diamantowy deszcz

Astronomowie dzielą planety na kilka kategorii. Cztery najbliższe Słońca – Merkury, Wenus, Ziemia i Mars – to skaliste globy. Dalej leżą dwa gazowe olbrzymy: Jowisz i Saturn, złożone głównie z wodoru i helu. Na rubieżach Układu Słonecznego i w pasie asteroidów między Marsem a Jowiszem znaleźć można planety karłowate, takie jak Pluton i Ceres.

Uran i Neptun pozornie przypominają gazowe olbrzymy. Są masywne, choć nie tak duże jak Jowisz i Saturn, i podobnie jak one składają się głównie z gazów i płynów. Ale ich budowa i procesy zachodzące na nich sprawiają, że stworzono dla nich osobną kategorię – „lodowe olbrzymy”. Panują tam temperatury poniżej -200 st. Celsjusza, ale prawdziwego

Voyager 2 zdołał dotrzeć do Neptuna w zaledwie 12 lat, bo układ planet pozwalał skorzystać z Jowisza jako grawitacyjnej procy.

lodu jest niewiele. Większość wody występującej na obu światach tworzy tzw. płyn nadkrytyczny, dziwny stan, w którym nie zachowuje się ona ani jak gaz, ani jak ciecz. Jednak słowo „lód” w astrofizyce ma szersze znaczenie – odnosi się także do takich związków chemicznych jak metan czy amoniak. Wodór i hel, z których zbudowane są Jowisz i Saturn, stanowią tylko ok. 20 proc. masy Urana i Neptuna. Reszta to w znacznym stopniu właśnie „lodowe” substancje.

Można by się spodziewać, że tak zmrożone światy będą raczej mało dynamiczne. W końcu procesy pogodowe są napędzane głównie energią słoneczną. Ale Voyager udowodnił, że pogoda na obu planetach jest spektakularna. Sonda odkryła na Neptunie ciemną plamę, która okazała się gigantyczną burzą o najszybszych w Układzie Słonecznym wiatrach: więcej z prędkością 1609 km/h. Ta Wielka Ciemna Plama już wygasła, ale jej miejsce zajęły nowe. W dodatku głęboko poniżej chmur na gęste jądra obu planet może spadać deszcz... diamentów, powstałych z węgla pochodzącego z rozpadających się cząsteczek metanu.

Dziwactw na tych planetach jest więcej. Oś obrotu Urana jest nachylona o ponad 90 stopni w stosunku do płaszczyzny orbity – planeta „leży na boku”. Także jej pole magnetyczne jest pochylone, choć nieco inaczej niż cała planeta. Magnetosfera zazwyczaj jest zgodna z kierunkiem obrotu planety, ale Urana jest przechylona o 59 stopni od osi obrotu planety i przesunięta względem jej środka. Skutkiem tego chwije się, gdy Uran obraca się wokół własnej osi. Neptun też ma nieco „krzywe” pole magnetyczne, choć nachylenie jego osi jest tylko nieco większe niż w przypadku Ziemi. Obecne teorie sugerują, że ogromna protopłaneta mogła zderzyć się miliardy lat temu z Uranem, przewracając go na bok. Być może ta kolizja wytrąciła też z równowagi jego pole magnetyczne – ale co

w takim razie spowodowało skrzywienie pola magnetycznego jego sąsiada?

Każda z tych planet jest otoczona (dość delikatnymi) pierścieniami i tródką kilkunastu księżyców. Jeden z tych księżyców sam z siebie byłby doskonałym celem naukowej misji. To Tryton, pokryty grubą warstwą azotowego lodu. Jest jednym z nielicznych znanych nam aktywnych wulkanicznie obiektów – choć jest to „wulkanizm lodowy” – i prawdopodobnie ma pod lodową skorupą głęboki ocean, co sprawia, że astrobiologowie uważają go za jeden z najlepszych w okolicy celów poszukiwania pozaziemskiego życia. Jest też większy od Plutona i okrąża Neptuna w kierunku przeciwnym niż wszystkie inne księżyce. Może być przechwyconym przez planetę obiektem z odległego Pasa Kuipera. Voyager, przelatując w pobliżu, zdołał jednak sfotografować zaledwie 40 proc. jego powierzchni, pozostaje więc duża zagadką. Zagadkami są też największe księżyce Urana – Miranda, Ariel, Umbriel, Tytania i Oberon. Niektóre z nich także mogą posiadać schowane pod powierzchnią oceany.

Skąd się biorą średniaki

Mimo to żadna agencja kosmiczna nie chciała wyłożyć miliardów dolarów na misję na Neptuna i Urana. To się jednak zmieniło. I to przez odkrycia dokonane nie na tych planetach, ale o wiele dalej.

Okazało się bowiem, że podobne lodowe olbrzymy są zaskakująco powszechne wśród odkrywanych przez astronomów planet pozasłonecznych. Zdecydowana większość spośród pięciu tysięcy wykrytych w naszej galaktyce planet ma rozmiary Neptuna. Choć w zasadzie powinny być rzadkością, bo nasze modele formowania się planet mają trudność z wytłumaczeniem tego, w jaki sposób powstają „średniaki” leżące pomiędzy planetami skalistymi a gazowymi olbrzymami. I w jaki sposób mogą znaleźć się aż tak daleko od swojej gwiazdy. Dogłębne badania jedynych lodowych olbrzymów w naszym sąsiedztwie mogłyby pozwolić nam o wiele lepiej zrozumieć, jak tworzą się światy wokół odległych gwiazd.

W ostatnich latach propozycje nowych misji na Urana i Neptuna zaczęły błyskawicznie się namnażać. Od stosunkowo niewielkich, tanich sond, które miałyby jedynie śmignąć w pobliżu planet, po wielkie, złożone orbiter, które mogłyby np. podzielić się na dwa pojazdy, z których



Uran na zdjęciu Voyagera 2 (planeta) i kosmicznego teleskopu Hubble'a (pierścień).

jeden zająłby pozycję na orbicie Urana, a drugi – Neptuna. Jedna z planowanych sond, Triton, w ubiegłym roku niemal doczekała się zatwierdzenia: ostatecznie przegrała z dwoma statkami kosmicznymi, które mają zbadać Wenus.

Chyba jednak czas lodowych olbrzymów wreszcie nadszedł. „Czas” jest tu pojęciem kluczowym.

Podróż do tak odległych światów wymaga ogromnej ilości energii. Nawet największe istniejące czy przygotowywane dziś do startu rakiety nie dawałyby sondom dostatecznego „kopa”, by te zdołały pokonać 3 mld km do Urana czy ponad 4,3 mld km do Neptuna w jakimkolwiek rozsądnym czasie. Tu trzeba posłużyć się orbitalną sztuczką.

Voyager zdołał dotrzeć do Neptuna w „zaledwie” 12 lat, bo układ planet pozwalał skorzystać z Jowisza jako grawitacyjnej procy – przyciągana przez największą planetę słoneczną sonda nabrała prędkości. Kolejne takie grawitacyjne okno właśnie się otwiera. Misja wysłana między 2029 a 2034 r. mogłaby osiągnąć lodowe olbrzymy nawet w mniej niż dekadę. Czas ma znaczenie jeszcze z jednego powodu: rok na Uranie trwa 84 lata ziemskie. Gdy odwiedzał go Voyager, na południowej półkuli planety zaczynała się zima. Docierając tam w latach 40., naukowcy mieliby szansę przyrzeć się zmianom pór roku olbrzyma.

Wyścig mocarstw

Amerykańska Narodowa Akademia Nauk, Inżynierii i Medycyny opublikowała w kwietniu dokument, który ma stanowić podstawę programów badawczych realizowanych przez krajowe

ośrodki naukowe w najbliższej dekadzie. Według wytycznych badanie Urana powinno być priorytetem. Neptun przegrał, bo Uran jest nieco łatwiejszym celem. Sonda na Neptuna musiałaby wystartować jeszcze przed 2030 r. – co nie zostawia zbyt wiele czasu na zaplanowanie misji, budowę statku i testy.

Co prawda wspomniany dokument jest jedynie sugestią, ale bardzo silną – w poprzednich dekadach większość zaleceń przekładała się na realizowane przez NASA misje kosmiczne, takie jak łazik Perseverance czy przygotowywany do startu pojazd Europa Clipper. Tak samo może być z wycenioną na 4,2 mld dol. misją na Urana.

Badanie Neptuna znalazło się za to w planach Chińczyków, ogłoszonych niemal w tym samym czasie. Ich pojazd miałby zabrać ze sobą sondy, które z bliska przyjrzą się atmosferze Neptuna i skopie Trytona, a także pakiet nanosatelitów, które będzie wyrzucał z siebie po drodze, by w ten sposób badać np. asteroidy. Wysłanie misji w tak odległe regiony Układu Słonecznego byłoby dla chińskiej agencji kosmicznej CNSA ogromnym sukcesem – ale nie ma ona doświadczenia w budowie podobnych pojazdów, ryzyko jest więc jeszcze większe niż w przypadku misji amerykańskiej.

Argument kosmologiczny

Istnieje jeszcze jeden powód – wręcz kosmologiczny – by zrealizować obie te misje. Sondy mogłyby stać się ogromnymi detektorami fal grawitacyjnych.

Fale te, zmarszczki czasoprzestrzeni wywołane gigantycznymi, kosmicznymi kataklizmami, takimi jak zderze-

nia czarnych dziur, są dziś wykrywane przy pomocy urządzeń działających na zasadzie ultraczułego dalmierza laserowego: kiedy fala grawitacyjna przechodzi przez detektor, długość ścieżki lasera zmienia się. Detektory takie jak LIGO, o długości około czterech kilometrów, są w stanie wykryć odkształcenia czasoprzestrzeni o ułamek średnicy pojedynczego protonu.

Ale co tam cztery kilometry, kiedy możemy mieć cztery miliardy kilometrów.

Każda sonda kosmiczna musi utrzymywać łączność z Ziemią. Fala grawitacyjna zmieniałaby w subtelny sposób odległość między pojazdem a Ziemią, a takie odkształcenia w zasadzie powinny dawać się wykrywać jako zmiany w częstotliwości docierających do nas sygnałów.

To wymaga niewiarygodnej precyzji pomiaru częstotliwości sygnału – co najmniej sto razy większej niż ta, z jaką mierzone sygnały misji Cassini. Brzmi to jak ogromna przeszkoda, ale projekt sondy Cassini powstawał jeszcze w latach 80. Czterdzieści lat to szmat czasu dla rozwoju technologii.

Los misji na Urana nie jest jeszcze przypieczętowany. NASA jednocześnie chce prowadzić prace nad pojazdem, który przywiezie na Ziemię pierwsze próbki gleby zebrane przez łazik Perseverance na Marsie, a to spore wyzwanie budżetowe. W przypadku opóźnień misja na Urana musiałaby się oprzeć na większej i droższej rakiecie, która mogłaby dotrzeć do celu dopiero w 2053 r.

Poza wyzwaniami finansowymi do rozstrzygnięcia jest też inna ważna kwestia: jak nazwać epokową sondę? Dotychczasowe misje, takie jak Galileo czy Cassini, czcili odkrywcy, którzy jako pierwsi zaobserwowali księżycy gazowych olbrzymów. Herschel doczekał się już jednej misji – orbitalnego obserwatorium – więc raczej na Urana nie polecą. Jedną z proponowanych możliwości jest Caelus, czyli imię rzymskiego odpowiednika Uranosa. Ale jest inna opcja. Urana okrąża rój postaci ze sztuk pewnego dramaturga. Ariel i Miranda występują w „Burzy”, a Tytania i Oberon w „Śnie nocy letniej”. Część astronomów uważa więc, że najlepszą możliwą nazwą dla obserwatora Urana byłby Szekspir. Dramaturg, niemal obseksyjnie wracający w swoich utworach do obrazów gwiazd i planet, wreszcie znalazłby się wśród nich.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

PORTRET Z KOZAMI

Zawsze jeżdżę z saksofonem, jakbym
jeździł z torebką albo kosmetyczką.
Wyciągnąłem go z futerału na spotkaniu
w synagodze i usłyszałem,
że wybrzmiewa tu najlepiej na świecie
– opowiada Mikołaj Trzaska.

KAJETAN PROCHYRA

MIKOŁAJ TRZASKA JEST SAKSOFONISTĄ, KLARNECISTĄ i improwizatorem, autor muzyki do filmów. Regularnie współpracuje z Wojtkiem Smarzowskim; został wyróżniony Złotymi Lwami w Gdyni za muzykę do jego filmu „Pod Mocnym Aniołem” i dwukrotnie nagrodą Orły za „Wołyń” i „Kler”. Kiedyś był członkiem kultowego yassowego zespołu Miłość, w którym grał z Tymonem Tymańskim i Leszkiem Możdżerem. Nagrywa płyty i występuje z pisarzami, Andrzejem Stasiukiem i Jurijem Andruchowiczem. Współpracuje z największymi osobowościami świata muzyki improwizowanej: Peterem Brötzmannem, Joe McPheem czy Kenem Vandermarkiem. Leader bądź współleader zespołów: Shofar, Ircha, Riverloam, Inner Ear.

Właśnie przyjechał do Szczeczeszyna.

Szebreszin

Do sali modlitewnej szczeczeszyńskiej synagogi prowadzi kamienne schody. Przez trzy wieki, jak otaczaki, polerował je strumień butów: co drugi mieszkaniec Szczeczeszyna przychodził tu na modlitwę. 15 listopada 1940 r. Niemcy podpalili synagogę. Po schodach ostatni wbiegł Szmarjahu Wircer – gabaj,





LUKASZ GŁOWALA / AGENCJA WYBORCZA.PL

administrator synagogi. Chciał ocalić Torę – spłonął razem z nią. W 1946 r. runęły sklepienia budynku. Synagogę odbudowano dwie dekady później. Do dziś mieści się tu Miejski Dom Kultury – latem jedna ze scen festiwalu Stolica Języka Polskiego.

W roku 2015 do Szczeczeszyna wrócił wnuk Szmajahu: Shmuel Atzmon-Wircer – urodzony w sąsiednim Biłgoraju w 1929 r. W synagodze miał mieć bar micwę – nie zdążył. Przyjechał na zaproszenie festiwalu, jako wybitny izraelski aktor, twórca i dyrektor jedyne w Izraelu teatru języka jidysz: Yiddishpiel w Tel Awiwie. – Upały były takie jak ostatnio, a Szmulik był już dobrze pod dziewięćdziesiątkę – wspomina Tomasz Pańczyk, współtwórca festiwalu i od 20 lat badacz żydowskiej historii miasta. – Uparł się jednak, że będzie grał w synagodze. Na festiwal zjechały wtedy tłumy, a tam nie ma żadnej dodatkowej wentylacji. W tym tłoku zagrał dwa spektakle. Dla niego to był hołd złożony dziadkowi. Różne historie zapisane są w tych murach.

Pańczyk wcześniej przedstawił polskim czytelnikom Philipa Bibela, tłumacząc jego książkę „Szczeszin”: wspomnienia ostatniego świadka przedwojennego szczeczeszyńskiego sztetla. – Ja jestem zaczytany i zagłębiany w ten świat, więc kiedy wchodzę do synagogi, widzę z nazwiska wszystkich tych, którzy tu przychodzili. Jest tu magia i cieszę się, że dostrzegę ją też Mikołaj Trzaska. Mam nadzieję, że także słuchacze dosłyszają ją w jego muzyce – opowiada Pańczyk.

Trzaska nagrał w szczeczeszyńskiej synagodze solową płytę „Goat’s Ghost”. Album miał swoją premierę podczas tegorocznego festiwalu Stolica Języka Polskiego.

Syndrom

Trzaska przyjechał tu pierwszy raz w ubiegłym roku, zaproszony na festiwal przy okazji premiery autobiografii „Wrzeszcz!”: – To było bardzo miłe spotkanie, kilkaset osób, które nie miały pojęcia, czym się zajmuję. Ale ja zawsze jeżdżę z saksofonem, bo już tak mam: jakbym jeździł z torebką albo kosmetyczką. Wyciągnąłem ten saksofon z futerału na spotkaniu w synagodze i usłyszałem, że wybrzmiewa tu najlepiej na świecie. Tomek Pańczyk

w ciągu 24 godzin zorganizował nielegalny koncert.

– W nocy poszliśmy w dwadzieścia osób do synagogi, posłuchać Mikołaja. I dla niektórych z nas to było rzeczywiście *katharsis*. Później wyjście w nocny Szczeczeszyn, pod gwiazdy, bo tu jest niebo jak w planetarium – wspomina Pańczyk.

Wtedy zapadła decyzja, że Trzaska nagra płytę solo: sam na sam z duchami szczeczeszyńskiej synagogi. Wrócili do Szczeczeszyna w październiku na cztery słoneczne dni poza sezonem. Bez turystów i budek z lodami.

– Każde miejsce ma jakiś syndrom – mówi Trzaska. – Tak jak Jerozolima ma syndrom jerozolimski, tak Szczeczeszyn ma syndrom szczeczeszyński. Pracując w tym miejscu, cofasz się do zamierzchłej przeszłości i do tej bliskiej, wciąż pozostając tu i teraz. Jest więc historia Szczeczeszyna, Zamojszczyzny, Roztocza. Cała kraina jest uszyta na zupełnie inną miarę niż np. Pomorze, z którego pochodzę. Dzięki Zamoyskim w Zamościu stoi sefardyjska synagoga, w Szczeczeszynie byli Sefardyjczycy, ortodoksi i chasydzi... Ale jest też pomnik nietolerancji: obelisk upamiętniający wygnanie arian. Są pierzeje domów, gdzie były sklepy żydowskie z charakterystycznymi piwnicami... Nikt tego jeszcze nie spartaczył, nie zabudował blokami. I pomnik chrząszcza, który wygląda jak konik polny z „Pszczółki Mai”. Okolica jest przepiękna. Dostaje się wiązkę bardzo silnych doznań – chodzi tylko o to, żeby je delikatnie odseparować, rozplątać tak, by nie zlewały się w jedną masę.

Mając w pamięci nocny koncert w synagodze, na nagrania Trzaska przyjechał z przygotowanymi już kompozycjami: – Oczywiście guzik z tego wyszło. Moje świetne pomysły w ogóle w tej przestrzeni nie odpalały.

– Po pierwszym dniu zostawiłem Mikołaja samego, bo widziałem, że on z tą synagogą, z tymi murami zarezonuje, że coś się tam z nim podzieje. Nie chciałem przeszkadzać mu w tym kontakcie ze sobą, z duchami, cokolwiek by to było – mówi Tomasz Pańczyk. – Już się poddałem i poczułem, że cała ta moja koncepcja, żeby bez publiczności, jest nic niewarta, i nagle cich! Trzeciego dnia wszystko było zrobione.

Portret

→ **KAJETAN PROCHYRA:** Zaproszę Cię teraz do debaty publicznej, uważaj. Czy Twoja muzyka jest dla idiotów?

MIKOŁAJ TRZASKA: Sam jestem przecież idiotą. Cała ta gównoburza wokół słów Olgi Tokarczuk ośmieszyła wszystkich, tylko nie Olę. Ośmieszyła i tych, którzy się wstawiali za, i tych, którzy ją hejtowali... Stasiuk mówi gorsze rzeczy na każdym spotkaniu autorskim, ale nikt się do niego nie dowali, bo Andrzej – wiadomo – jest nieświąty od urodzenia. A Olga, dzięki temu, że dostała tego Nobla... Dla artysty najgorszą rzeczą jest stanąć wysoko i jeszcze dyndać. A poza tym miałem wrażenie, że ona mówi także do wiadomego ministra, który nie był w stanie przeczytać jej książki, co prawda grubej, ale napisanej przecież bardzo prostym językiem.

Nie chcecie być idiotami, czytajcie książki! Nie tylko Olgi Tokarczuk.

I słuchajcie Trzaski?

Mam tak, że się tej swojej muzyki jakoś wstydzę. Długo uważałem, że jest po prostu okropna. Wmawiałem sobie, co prawda, że to jest jakiś lepszy produkt, ale potem się zastanowiłem, że przecież nie każdy musi mieć ochotę słuchać wewnętrznych rozterek frustrata. Przez wiele lat wlewałem w swoją muzykę różnego rodzaju bóle, niezadowolenia, rozpacz... Kto miałby mieć na to ochotę? Chyba właśnie jakiś idiota, frajer albo ktoś, kto też jest frustratem, jest podobnie spaczony, ma taką samą traumę... Stop. Ostatnio usłyszałem takie piękne sformułowanie: „nie przeszkadza mi, że mówisz za dużo, ale przeszkadza mi, że mówisz za często”. Nie pozwól mi za często mówić.

Zwłaszcza że bardzo wiele powiedziałeś już w autobiografii „Wrzeszcz!”.

Strasznie lubię tę książkę ze względu na autorów – Tomka Gregorczyka i Janusza Jabłońskiego – ale też dlatego, że zacząłem po tej książce żyć od nowa. Coraz mniej potrzebuję wiedzieć, kim jestem. Nie zrobiłem w życiu dużo, ale to mi wystarczy. Już nie muszę się ścigać, „kto się ściga, ten się zrzyga”. Już nie będę nikim więcej niż sobą. Cały czas miałem nadzieję, że może jak już

będę miał 60 lat, to będę jakimś nie wiadomo kim...

Kilka lat Ci jeszcze zostało.

To jak teraz powinien wyglądać Twój portret?

Mimo większej tuszy, chciałbym być mniej pomnikowy. Chciałbym się uznać za pracownika dziedziny emocjonalno-muzycznej. Kogoś, kto istnieje pomiędzy światami... Niekoniecznie chciałbym się dać wsadzić w rolę muzyka czy saksofonisty, a już na pewno nie jazzowego. I, błagam, nie chcę być zawodowym Żydem! Ostatnio sam zacząłem czuć, że się nim staję: „O! Jest Żyd, który gra, to proszę, niech on zagra. Że awangarda? Trudno, jakoś tam to zniesiemy. Może tym razem zagra coś, co jest trochę podobne do melodii”.

Czyli, w sumie, czego się nauczyłeś?

Zacząłem być ekspertem od... samego siebie. Żeby nie dać się zbyt łatwo skłiszować, od czasu do czasu uciekam od świata żydowskiego do świata awangardy i znowu się cieszę, bo pogram sobie z moimi przyjaciółmi, Per-Åkem [Holmlanderem, szwedzkim tubistą-improvizatorem – KP], ze Stevem [Swellem, amerykańskim puzonistą-improvizatorem – KP]. Ale granie solo jest najlepszym sposobem, by się odkleić i nie należeć do żadnej muzycznej partii.

Parę dni temu wróciłeś z Sejn.

Przyszedł czas, by zakończyć prace z Orkiestrą w Sejnach [działającą w Ośrodku Pogranicze Orkiestrą Klezmerską Teatru Sejneńskiego, złożoną z młodych muzyków przede wszystkim z okolic Sejn – KP]. Muzykę do „Wesela” Wojtki Smarzowskiego nagrywałem już bez nich. Za to powstała między nami nowa relacja: już nie nauczyciel-ucznio. Jak w rodzicielstwie, kiedy dzieci dorastają, stają się partnerami albo nawet same uczą ciebie.

Pierwszy raz poczułem to niedawno, pracując właśnie nad muzyką do „Wesela”, kiedy to Michał Górczyński wykonał moją wersję „Roty”. Wojtek Smarzowski poprosił, żebyśmy przerobili „Rotę” na melodię żydowską – to jedna z najpiękniejszych polskich melodii, bo jest bardziej molowa. Hymn polski jest durowy, niestety, bo to przecież nie do pomyślenia, żebyśmy mieli historię

narodu na wesoło... Napisałem tę „Rotę” i Michał Górczyński zrobił z tego coś takiego, że wyrwało mi serce z klatki piersiowej.

O Boże, to, co ci teraz mówię, jest przecież o moich ograniczeniach, że już po prostu mam mniej siły: „podajecie starszemu koledze rękę, pociągnięcie go trochę”. Czuję, że ten dziadowski gen właśnie we mnie rośnie.

W tym roku ukazała się też Twoja płyta „Malá Pardubická”, nagrana, jak mówisz, z grupą Wyszehradzka.

Jest w niej Petr Vrba z Czech, znakomity elektronik i trębacz, jest wybitna postać, unikalna zupełnie z Budapesztu – perkusista Balázs Pándi i jest Mark Tokar z Ukrainy na kontrabasie. W połowie grudnia zeszłego roku nagraliśmy sesję w Pardubicach w teatrze. To jest projekt poświęcony tym wszystkim biednym koniom, które przez to, że ludzie mają ochotę się ścigać na zwierzętach, traturują się, łamią nogi, giną.

Mark Tokar jest teraz na wojnie. Macie ze sobą kontakt?

Cały czas piszemy do siebie, choć Mark nie może za dużo mówić. Do myślam się tylko, gdzie jest i czym się zajmuje. On ma dwa fakultety: skończył szkołę muzyczną, ale wcześniej ukończył Politechnikę Lwowską. W tamtych czasach służba była obowiązkowa, skończył więc też coś w rodzaju studium wojskowego: jest więc inżynierem i porucznikiem. Wysła czasem ujęcia do pasa i pisze: „poza kadrem mam inny instrument i to nie jest kontrabas”, „Mam więcej do czynienia z cynglem niż ze strunami. Ciekaw jestem, jak to będzie”. Chciałby wrócić, ale w tej chwili całym sercem jest na wojnie. Piszemy do siebie, jaki straszny jest świat. Słyszę jego żal, że są sami. Co z tego, że mają broń? Oczywiście dużo z tego, ale brakuje im ludzi. Sytuacja nie jest wesoła dla nikogo. Organizujemy tu jakieś zbiórki, zbieramy kasę. A on pisze: „Wiecie, już mi tych pieniędzy nie wysyłajcie. Wyplacicie, jak to już przejdzie, a jak nie przejdzie albo coś mi się stanie, to trzymajcie je u was na koncie, dla Wasylą”. To o jego synu. Więc mój przyjaciel nie żartuje. Mój przyjaciel żyje w jakimś innym świecie... I ja się czuję jakoś z tym ch... Bo nie ma innego słowa...

Organy, dudy, modlitwy

Mimo nagród i sukcesów w dziedzinie muzyki filmowej, Trzaska, podobnie jak Wojciech Kilar, dystansuje się od tej części swojej twórczości: to zlecenia, zamówienia, praca do czegoś. Kiedy rozmawiamy o płycie „Goat's Ghost”, nazywa ją niewidzialną koszulą, która jest mu bliższa niż cokolwiek innego. Przy pierwszym przesłuchaniu może budzić skojarzenia z nagraniami jego kwartetu klarinetowego Ircha, tyle że tym razem Mikołaj jest sam. Za nikim się nie schowa, jego klarnet nie zapłaczę się z brzmieniem Pawła Szamburskiego czy Waława Zimpla. Są tu polifonie, nakładane na siebie ścieżki, ale każda jedna zarejestrowana została w szczebrzeszyńskiej synagodze i każda pochodzi wyłącznie od Mikołaja.

Na winylową płytę trafiło piętnaście miniatur. Słuchanie ich jest medytacją nad rozedrganym powietrzem, roznoszącym się, otaczającym słuchacza dźwiękiem. Przypomina przeglądanie bardzo starych, zniszczonych taśm filmowych, na których, po włożeniu do projektora, między abstrakcyjnymi kolażami plam, brudu, dziur, mchu, rozpoznajemy z trudem ledwo widoczne postaci, miejsca, sytuacje. Z czasem na płycie odnajdujemy więcej melodii, narracji. Saksofon i klarnety Trzaski stają się jednym dziwnym instrumentem. Organy? Dudy? Czasem słychać modlitwę, a kiedy indziej kiwając się na wietrze, urwaną z jednej strony tabliczkę z nazwą ulicy, albo dziwny tętent z oddali.

– Ja na tej płycie słyszę handlarki śledzi z targu, tych ludzi, ich głosy, które z Mikołajem gadają – dodaje Tomasz Pańczyk.

„Goat's Ghost” to także dowód na wielki kunszt sonorystyczny Trzaski: bogactwo, dojrzałość jego własnego muzycznego języka. Tytuł albumu – „Duch kozy” – zaczerpnięty został z opowiadania znalezione przez Pańczyka w wydanym w latach 60. w Izraelu zbiorze ludowych opowieści żydowskich. Autorem jest badacz żydowskiego folkloru Dov Noy. Jedna z opowieści nosi tytuł „Dwie kozy ze Szczebrzeszyna” i opatrzona jest dopiskiem: opowiedziane Dov Noyowi przez starego polskiego Żyda.

Tunele

Opowiada Mikołaj Trzaska:

Szczebrzeszyn kończy się nagle na Wieprzu. Dalej są pola, łąki... I tam, domyślam się, na tych łąkach, dawno temu,



KRZYSZTOF KAPICA / POLSKA PRESS / EAST NEWS

MIKOŁAJ TRZASKA:

Chciałbym się uznać za pracownika dziedziny emocjonalno-muzycznej. Kogoś, kto istnieje pomiędzy światami. I, błagam, nie chcę być zawodowym Żydem!

wypasała swoje kozy rodzina chasydów. Młoda rodzina, bez dzieci jeszcze. Stać ich było tylko na dwie kozy. Latem, oczywiście, te kozy nie były wzywane do stodołki, tylko samopas sobie spały czy coś tam sobie robiły. Nagle okazało się, że, nie wiadomo dlaczego, te kozy dają coraz więcej coraz lepszego mleka. Ludzie na rynku zaczęli się po to mleko ustawiać w kolejki. Mówili, że jakąś ciotkę uleczyło z podagry, a komuś tam innemu przywróciło lepszy wzrok.

Młody chasyd – bidny, bo bidny – zaczął się zastanawiać: co się dzieje z tymi kozami? Pewnej nocy się na nie zaczął. Zorientował się, że gdy zapada zmrok, kozy wyruszają w drogę. Jeżeli kiedykolwiek byłeś w Szczebrzeszynie, to wiesz, że nad miasteczkiem jest góra, jakby klif. I oczywiście na szczycie tego klifu są dwa cmentarze: jeden żydowski, drugi chrześcijański. I wiesz co? Te kozy idą w stronę tego klifu i gdzieś między korzeniami drzew jest wejście do pieczary!

„Przeszedłem już tyle, to wejdę za nimi” – pomyślał chasyd. Wchodzi do tej pieczary, a tam mrok potworny i wilgoć. I nagle robi się coraz cieplej. Okazuje się, że znajduje się w jakimś cholernym piekle: muzyka, nagie kobiety, alkohol się leje. Impreza! Nie wiadomo co, może ja-

kiś jazz? Cholera wie. No, ale wiesz, kozy idą dalej. On jest porządnym chasydem – skusić się nie daje. Po jakimś czasie, nie wiem jakim, pojawia się na końcu tego tunelu światło. I te kozy razem z nim wychodzą w jakąś taką piękną przestrzeń: ciepło, ale nie za bardzo, aż niemożliwie. Zapach jakiś...

Po drugiej stronie – pasterz, który ma podobne rysy do niego i mówi językiem, który on zna z Ksiąg. Ale w Księgach nie jest napisane „jak się masz?”, „cześć”, „co słychać?”, „skąd jesteś?” – takiej potocznej mowy tam nie ma, ale jakoś od słowa do słowa pyta się tego pasterza: „Gdzie jestem?”. „Jak to gdzie jesteś? Jesteś w Jerozolimie! Zobacz, tutaj jest mur zaraz”. Te kozy się tam od razu poszły paść. Chasyd myśli sobie: „Cholera jasna, to znaczy, że ja znalazłem... że istnieje między Szczebrzeszynem a Jerozolimą jakiś taki nadprzestrzenny korytarz. I co teraz? Co teraz? To teraz ja wezmę i napiszę szybko list do swojej żony. Wsadzę za obrozę jednej kozie. Potem napiszę list do rabina i wsadzę za obrozę drugiej kozie. I jak te kozy się tutaj napchają tej jerozolimskiej trawy, to je wysłę”. I oczywiście w tych listach napisał, że koza wam pokaże, jak przejść, ja tutaj na was czekam, już wszystko dla was przygotuję: wystarczy, że pójdziecie za kozą.

To było dosyć fajnie wymyślone, moim zdaniem, ale wiesz... Żona zorientowała się, że kozy wróciły, a chłop po prostu zniknął. Pierwsza noc – nie ma, druga – nie ma, trzecia, tydzień – nie ma. Pomyślała sobie: „Cholera, no zginął mi gdzieś. Albo go jacyś antysemita po prostu ubili, albo poszedł sobie do jakiejś innej Jenty – bo tak to też bywa”. I wiesz co? Pomyślała sobie tak: „No, mam siostrę w Szczebrzeszynie, sama tych kóz wypasała nie będę. Oddam te kozy na Szechitę, czyli do rzezaka, a sama sobie z siostrą zostanę i jakoś sobie na nowo życie ułożę. Młoda jestem”. Rzezak zrobił swoje. No i tylko te obroże zostały z tymi dzwoneczkami. I zobaczył rzezak, że za jedną i za drugą są jakieś takie listy wsadzone. No i to jest cała historia.

Czytam ją podwójnie – dodaje – jako kolejną straconą szansę, kolejne nieporozumienie: cały czas nie możemy znaleźć dobrego czasu. Z drugiej strony ma ona dla mnie wymiar bardzo pozytywny: że tych korytarzy, tuneli jest mnóstwo, wszędzie. I właściwie tak niewiele trzeba, że one są blisko i cały czas jesteśmy w kontakcie. © KAJETAN PROCHYRA

I tupiała nóżką bosą

DARIUSZ KOSIŃSKI

Olga Tokarczuk połączyła strzechy i idiotów zapewne niebaczny przypadkiem. Ale burza, jaka się potem rozpetęła, pokazuje głębokie źródła naszych zbiorowych kompleksów i przesądów. Weźmy takie disco polo.

BURZA PO WYPOWIEDZI TOKARCZUK NA festiwalu Góry Literatury w Nowej Rudzie była godna środka lipca – niespodziewana, gwałtowna i krótka. Wir, który wywołała, przyniósł sporo groteskowych aberracji, godnych jakiegoś współczesnego Mrożka, ale też wydobyl kilka spraw poważniejszych. Zgadza się z Bogdanem Balickim, który w komentarzu dla „Więzi” z 23 lipca stwierdził, że warto tę „afere” wykorzystać jako punkt wyjścia do poważniejszej i głębszej debaty „o kulturze, o literaturze, o wykształceniu, o statusie kapitału kulturowego i o nas samych”.

Takie debaty były kiedyś fundamentalne dla polskiej inteligencji, którą przecież definiowało nieustanne pytanie o społeczną odpowiedzialność sztuki, a nawet – *horribile dictu* – jej misję. Oraz misję kultury, nauki i wszelkich innych aktywności niezwiązanych z troską o przetrwanie i zabezpieczenie materialne. Ale odkąd inteligencję jako formację tworzące ją środowiska same odesłały do historii, do tych rozmów raczej się nie wraca.

Pod rządami Prawa i Sprawiedliwości nie wraca się tym bardziej, bo wiadomo, że natychmiast pojawi się populistyczne pytanie o sens finansowania przez podatników „wymysłów i działań „niepraktycznych”, zrozumiałych dla niewielkiej mniejszości, a często narażających „wartości” na rzekomo groźne dla nich poszarganie. Ponieważ władza coraz bardziej na rympał próbuje podporządkować kulturę swojej mało ciekawej „narracji”, „inteligenty twórcze” uznały, że trzeba „robić swoje” i bronić „substancji”, czemu wszelkie krytyczne autorefleksje nie służą. Ale takie strategiczne przemilczenia zawsze się w końcu okazują iluzoryczne. Wystarczy jedna niespodziewana burza...

Kto pod strzechami

Zaczynając od grzmotu z jasnego nieba, czyli od samych słów wypowiedzianych przez Olę Tokarczuk w rozmowie z Jerzym Sosnowskim, zauważyć trzeba, że oskarżeń o klasizm i brak pokory nie wywołało stwierdzenie, że literatura nie jest dla idiotów, ale połączenie go ze „strzechami”. Trzeba zacytować: „Ja nigdy nie oczekiwałam, że wszyscy mają czytać i że moje książki mają iść pod strzechy. Wcale nie chcę, żeby szły pod strzechy. Literatura nie jest dla idiotów – żeby czytać książki, trzeba mieć jakieś kompetencje, wrażliwość pewną, rozeznanie w kulturze”. Gdyby pierwsze dwa zdania oddzielić od trzeciego i każdą z tak stworzonych wypowiedzi zacytować osobno, nie byłoby o czym mówić: najpierw mamy wyraz własnej woli, do której pisarka ma prawo, a potem stwierdzenie oczywistości. Ale połączone w jedno znaczą co innego, a noblistka dołożyła jeszcze wyznaczenie o pisaniu dla „swoich krajanów”, ludzi do niej podobnych, „inteligentnych, którzy myślą, którzy czują, którzy mają jakąś wrażliwość”. Wyciągnięcie stąd wniosku, że ludzie nieczytający „Biegunów” i niepodobni do ich autorki to niewrażliwi idioci zamieszkujący jakiś gorszy krąg społecznego świata, było już proste. I poszło między ludzi...

Mówiąc o strzechach, Tokarczuk odwołała się oczywiście do Mickiewicza i jego tęsknoty, by właśnie pod nie trafiły księgi „Pana Tadeusza”. Niewiara Tokarczuk dotyczy więc wyobrażenia romantycznego, związanego na dodatek z emocjami patriotycznymi, co jeszcze wzmacnia wypowiedziana w tej samej rozmowie niewiara w *katharsis* przeżyte nagle przez naiwnego czytelnika, będąca aluzją do „Latamika” Henryka Sienkiewicza.

Cały ten ciąg odnieść można do napaści ze strony rządzącej narodowej pra-

wicy, która w sposób wyjątkowo idiotyczny usiłuje przedstawić przyznanie pisarce Nagrody Nobla jako rodzaj europejskiej gratyfikacji za atak na „polskie wartości”. Na to jednak szkoda słów, żeby więc z tego kontekstu jej wypowiedź wyjąć, proponuję lekkie przesunięcie i włożenie w miejsce Mickiewiczowskich „strzech” nie tak powszechnie znanego, choć podobnego marzenia Juliusza Słowackiego, zapisanego w liście do matki z lutego 1845 r. Wiecznie a niesprawiedliwie Drugiemu zamarzył się „chłopiek bogaty z rodziną już czytać umiejącą”, który „w cichym gdzieś domku pod Krakowem” odpoczywa po wielkiej wojnie (pewnie tej o wolność ludów) i sięga po dzieła poety, które czyta nie dlatego, że wielkim był, ale z ciekawości. To właśnie dla niego pisze Słowacki dramaty zwane dziś „mistycznymi” – „Sen srebrny Salomei”, „Księża Marka”, a przede wszystkim „Księcia Niezłomnego”, bo wierzy, że to „poezja dla żywych ludzi”, która ich umacnia i przemienia. Trafiając pod strzechy, znajduje tam nie nagle przeżywających *katharsis* prostaczków, ale kogoś dokładnie przeciwnego – właściwego czytelnika i adresata, który może uczynić z literatury użytek będący prawdziwym powodem i celem jej stworzenia.

Poza krąg krajan

Co to był za cel i co Słowacki chciał „chłopkowi” ofiarować i w czym umocnić, to sprawa inna. Teraz chodzi o wypowiedziane tu precyzyjniej niż u Mickiewicza przekonanie przeciwne temu, o czym mówiła w Nowej Rudzie Tokarczuk. Zgodnie z nim potwierdzeniem wartości kultury nie jest rozmowa z myślącymi podobnie, podobnie czującymi i mającymi te same kompetencje „krajanami”, lecz przebicie się ku osobom radykalnie odległym społecznie i kulturowo. Oczywiście można to czytać jako ucieczkowe pocieszenie pisarza, który wśród „swoich nie znajdował zrozumienia i uznania”.

Sądzę jednak, że w całym tym kompleksie wyobrażeń, o który potrafiła Tokarczuk, jest ukryta ważna kiedyś tendencja polskiej kultury, dziś nie tyle nawet nieobecna w myślach i działaniach jej twórców, ile wręcz ośmieszana i wyklinana. Sformułowałbym ją tak, że sens i wartość działalności kulturowej (romantycy powiedzieliby – duchowej), w tym także artystycznej, sprawdzana i ewentualnie potwierdzana jest nie przez opinie



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Olga Tokarczuk, spotkanie z czytelnikami w Krakowie. 14 czerwca 2022 r.

znawców i zachwyty własnego środowiska, ale przez odpowiedź na potrzeby i zyskanie realnego wpływu na życie ludzi od owej elity jak najodleglejszych. Parafrazując słowa Tokarczuk (więc z konieczności nieco upraszczając), zapisać można to tak, że Mickiewicz i Słowacki (i wielu innych) pragnęli trafić „pod strzechy” właśnie dlatego, że literatura nie jest dla idiotów, którzy tworzą krąg ich „krajan”.

Polski romantyzm od początku był napędzany przekonaniem, że prawdziwe życie jest gdzie indziej i że dla ocalenia jakiegokolwiek sensu konieczne jest odnowienie zerwanego przymierza z rzeczywistością codziennego życia, mocno stojącego na ziemi i wbitego w ciało. Kapitalizm, którego narodzin i rozwoju romantycy byli świadkami, postrzegali jako owoc tego zerwania i zarazem zagrożenie dla prób jego przezwyciężenia. Przeciwno fabrykantom i mieszcuchom żyjącym w sztucznym świecie kapitalistycznej iluzji wybierali „lud i chłopków”, projektując na nich wyobrażenie o niekwestionowanej rzeczywistości, nieksiążkowej mądrości i nie-

salonowej sztuce. „Lud” nie potrzebował upowszechniania kultury i wiedzy, ponieważ sam był kulturą i wiedzą – tyle że nieświadomą. Marzony przez romantyków sojusz polegał nie na uzyskaniu jednostronnej akceptacji, ale na rodzaju wymiany – odnalezienie w sztuce narzędzi uświadomienia i umocnienia posiadanej już wiedzy oznaczało dla niej nawiązanie więzi z własnymi głębokimi źródłami.

Choć kolejne pokolenia zerwały z wieloma aspektami romantyzmu, zasadniczo nie naruszyły tego pragnienia potwierdzenia własnej istotności poprzez uzyskanie rezonansu wśród tych, którzy są najbardziej inni od swoich. Stanowiło ono wręcz rdzeń etosu tej przedziwnej formacji, jaką była polska inteligencja drugiej połowy XIX i pierwszej XX wieku. Wystarczy choćby pobieżnie sięgnąć do dzieł jej najważniejszego pisarza, rzecznika a i sumienia – Stefana Żeromskiego, by znaleźć w nich niejeden dowód na trwałość przekonania, że za brak świadomości, głupotę, a niekiedy wręcz zbrodnie trafiające „pod strzechy” zamiast ksiąg od-

powiedzialni są ksiąg owych autorki i autorzy.

Żeromski był oczywiście na tyle przenikliwy, by widzieć, jak złożone i trudne są warunki realizacji społecznej misji polskiej inteligencji, jak wielkich poświęceń ona wymaga, jak może wręcz chwilami wydaje się utopiina. Jednak nigdy nie wyrzekł się przekonania, że tylko opuszczając krąg własnych wielbicielek i wielbicieli, rezygnując z tego, co pokrewne i podobne, może człowiek twórczy potwierdzić wartość swojej pracy. Głosił je do końca, nawet jeśli – jak w swoim ideowym testamentie, dramacie „Uciekla mi przepióreczka” – nie znajdował dla niego innego uzasadnienia niż słynne kiedyś słowa jego bohatera Przełęckiego: „bo takie są moje obyczaje”.

W drugiej połowie XX wieku, po wojnie, po przejęciu władzy przez samowolnych rzeczników „ludu”, przekonanie to mimo wszystko trwało, podtrzymywane – także finansowo i organizacyjnie – przez władze Polski Ludowej. Oczywiście tu i ówdzie opowiadano sobie ➔



NATASZA MEUDZIK / EAST NEWS

Marcin Miller z zespołu Boys i Shazza na koncercie z okazji 30-lecia disco polo. Stalowa Wola, 24 lipca 2022 r.

⇒ z przekąsem anegdoty o kielbasach wymowianych na widowiskach teatralnych czy o górnikach chrapiących na „Halce”, ale równoważyła je realizowana konsekwentnie polityka powszechnej dostępności kultury i sztuki, oczywiście cenzurowanej i na różne sposoby ograniczanej, ale zarazem skutecznie przyczyniającej się do wytwarzania właśnie „pod strzechami” rzeczywistej potrzeby, a i wielu możliwości wejścia w krąg krajan, do których wcale się z urodzenia nie należało. I potrzeba, i możliwości zaistniały nie ze względu na „komunistyczną propagandę”, ale dlatego, że z różnych powodów przez sto kilkadziesiąt lat aksjomatem polskiej kultury było przekonanie, że trzeba robić wszystko, by kierować się ku nieznanym ludziom, którym to, co się tworzy, jest potrzebne naprawdę, właśnie dlatego, że sami z siebie nie wiedzą, że tego potrzebują.

Koniec kulturowej solidarności

Być może ostatnim przejawem trwałości projektu społeczno-kulturowego, o któ-

rym w dużym uproszczeniu usiłuję tu pisać, był „karnawał Solidarności”. Sierpień 1980 r. wydawał się potwierdzeniem słuszności romantycznego marzenia – czy Lech Wałęsa nie był w tamtym czasie traktowany jak ów „chłopiek” z listu Słowackiego, dobrotliwie odrzucający melancholijne jęki, a sięgający po to, co umacnia niezłomność?

Tyle że już w samym rdzeniu celebrowanego w latach 80. sojuszu inteligencko-ludowego tkwił fałsz, który przyczynił się ostatecznie do upadku romantycznego mitu. Solidarność jako ruch polityczny nie potrzebowała kultury i sztuki jako domeny złożoności, lecz jako symbolicznej legitymizacji, którą pod presją historycznych czasów szybko skonstruowała (także przy pomocy wielu wybitnych artystów) z elementów narodo-katolickiego repertuaru ceremonialnego.

Równolegle, o czym nie można zapominać, następował dynamiczny rozwój kultury popularnej, która wywracała do góry nogami tradycyjne relacje między twórcami i odbiorcami, wytwarza-

jąc całe bogactwo oddolnych inicjatyw i praktyk kulturowych przejmowanych i umasowianych przez kapitalistyczny przemysł. Blokowany i kontrolowany do czasu przez władze PRL, proces popularnej produkcji kulturowej został częściowo (także z powodów politycznych, jako rodzaj „wentylu”) uwolniony już pod koniec lat 70., by eksplodować w latach 90.

To wtedy właśnie doszło do radykalnego zerwania wcześniejszych zobowiązań, projektów i fantazji. Momentem przełomowym było pojawienie się disco polo i wsparcie, jakiego udzieliły mu koncerty medialne. To właśnie disco polo zaistniało na kulturowym horyzoncie (i do dziś na nim funkcjonuje) jako kreacja niekwestionownie masowa, a zarazem nie dająca się w żaden sposób usprawiedliwić z perspektywy „inteligencji twórczej”. Maryla Rodowicz mogła jeszcze pastiszowym przejściem wprowadzić na salony mistrza PRL-owskiego obciachu Janusza Laskowskiego. Brutalność punka i wulgarność hip-hopu usprawiedliwiał społeczny gniew. Ale przymilne nieskom-

plikowanie muzyczne, tekstowe i wizualne disco polo nie dawało się wyjaśnić niczym innym jak tylko tym, że tak właśnie wygląda odarty z inteligentkich iluzji poziom potrzeb estetycznych i intelektualnych „ludu”.

Oczywiście rzeczywistość, jak to rzeczywistość, była bardziej skomplikowana, ale pęknięcie, które ujawniło się przy okazji popularności disco polo, szybko zaowocowało podwójnym zerwaniem. Z jednej strony „klasa ludowa” (by przyjąć bardziej aktualną nomenklaturę) uznała się za zwolnioną z odnoszenia się do hierarchii i wartości proponowanych przez „elity”. Z drugiej spadkobiercy inteligencji twórczej, czyli środowiska zwane dziś „klasą kreatywną”, uznały, że nie mają obowiązku, a nawet wręcz prawa, do przekonywania do siebie osób spoza swego kręgu.

Zagniewany bosonóg

Zerwanie, do którego w obszarze kultury doszło dwie dekady temu, na pęknięcia w innych sferach życia zbiorowego przełożyło się w sposób otwarty z pewnym opóźnieniem. Przełom dokonał się tu wraz z fundamentalnym dla obecnej władzy dostrzeżeniem i wykorzystaniem momentu, w którym właśnie niebicie jakkolwiek rozumianą elitą zaczęło się politycznie opłacać.

Populistyczny pseudokonserwatyzm przyjęty przez część (mniejszą) prawicy jako zło konieczne, a przez część (większą) jako narzędzie zdobycia i utrzymania władzy, opiera się na zamianie znaków, która tylko pozornie realizuje romantyczną wizję międzyklasowej wymiany kulturowej. Tamta zakładała proces wspólnego rozwoju w nieustannej

Tylko opuszczając krąg
własnych wielbicielek
i wielbicieli, rezygnując z tego,
co pokrewne i podobne,
**może człowiek twórczy
potwierdzić wartość
swojej pracy.**

aktywności zdobywania siebie każdego dnia. Podstawą tej jest fałszywe z gruntu przekonanie, że wszystko jest dobrze, jak jest, a jedyne, czym warto się zajmować, to troska o dobrostan.

Zerwanie wymiany wzmocniła obfitość łatwych w obsłudze form i technologii kulturowej ekspresji, która sprawiła, że „lud” rzeczywiście zyskał niezawisłość. Nie musi już czytać książek, oglądać przedstawień, słuchać kompozycji proponowanych przez żyjącą we własnej bańce kreatywną mniejszość, bo bez trudu znajdzie inne sposoby zaspokojenia potrzeb, na które wcześniej odpowiedzieć mogła tylko twórczość wyróżnionych.

Za gestem odmowy trafienia do idiotów spod strzech idą eksplikacje mówiące, że to oni tracą coś wartościowego (takich argumentów używa wiele osób broniących Tokarczuk). Że bez czytania książek, chodzenia do teatru i kontaktu z czymś bardziej złożonym niż wyśpiewany wyraz zauroczenia oczami zielonymi nie da się żyć mądrze i wartościowo. Jednocześnie uznaje się, że tak to już jest i nic poradzić się nie da. Współcześni postinteligenci przekreślają więc odpowiedzialność za niekrajan. Skoro nie chcą i nie

umieją nas zrozumieć, to tym gorzej dla nich – niech tkwią w ciemności i pustce. Tymczasem żadnej pustki, której wypełnienia się gniewnie odmawia, nie ma, bo nawet jeśli zaistniała przez chwilę jakaś luka po „kulturze wysokiej”, to została już dawno wypełniona kreacjami, także własnymi, równie dobrze, a czasem nawet lepiej spełniającymi potrzeby, które kiedyś sprawiały, że sięgało się po książki albo przynajmniej szło do kina. Dumna deklaracja zerwania romantycznego kontraktu społecznego wypowiedziana przez Olę Tokarczuk jest nie tylko spóźniona, ale wręcz bezprzedmiotowa.

Charakterystyczne, że letnia burza potrząsnęła tylko bańką elitarną, kompletnie zaś nie obeszła jakiegokolwiek „drugiej strony”, nawet mimo prób nagłaśniania przez tylko czekającą na takie okazje TVP. Przepióreczka już tak dawno buja po zupełnie innych polach, że nie zwróciła uwagi na kolejne zapewnienia, że ani się myśli jej gonić. Niebiegający za nikim nieboraczek tupie bosymi nóżkami z całych sił, ale wychodzi mu tylko ciche klepanie o suchą ziemię, zagłuszane przez wiatr szumiący w zbożach.

Ale skoro tak uporczywie tupie, to rodzi się podejrzenie, że pracuje tu coś jeszcze. Wyrzuty sumienia? Zawiedziona miłość? Pragnienie uznania? A może jednak poczucie zagrożenia i niejasna świadomość, że kultura zamieniona wyłącznie w rozmowę z podobnymi sobie za przecza swoim podstawom i sama przynajmniej do bezpłodności? Chciałbym, by tak było, bo nawet jeśli jeszcze nie da się na tym zbudować żadnego programu, to przynajmniej na fantazji samozadowolenia pozostanie błogosławiona rysa.

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Chełmie I Wydział Cywilny pod sygnaturą I Ns 675/21 toczy się postępowanie z wniosku Haliny Szuby o stwierdzenie nabycia w drodze zasiedzenia przez Halinę Szubę udziału w wysokości 11/20 części w prawie własności nieruchomości stanowiącej działkę gruntu o numerze ewidencyjnym 269, o powierzchni 0,1001 ha, położonej w Chełmie przy ul. Piwnej 2a, obręb ewidencyjny 11 (066201_1.0011), jednostka rejestrowa G 132, dla której Sąd Rejonowy w Chełmie VI Wydział Ksiąg Wieczystych prowadzi Zbiór Dokumentów ZD 930.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do przedmiotowej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 520/21 postępowanie z wniosku wierzyciela – Gminy Jarocin – o stwierdzenie nabycia spadku po:

– Irenie Zofii Górnaś, zm. 30.04.2012 r., ostatnio zamieszkałej w Witaszycach;

– Janie Górnasiu, zm. 2 października 1995 r., ostatnio zamieszkałym w Witaszycach. Skład spadków po zmarłych jest nieznan.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Po młodości

JAKUB MAJMUREK

Pierwszy sezon „Yellowjackets” jest narracyjnie bezbłędny, wszystko jest tu na swoim miejscu. Także wtedy, gdy horror i tajemnice leśnych pustkowi nawiedzają współczesną podmiejską rzeczywistość.

NA POCZĄTKU WIDZIMY CZARNY EKRAN i słyszymy przyspieszony oddech, najpewniej kobiety. Gdy pojawia się obraz, widzimy ją biegnącą ile sił przed siebie w zimowy las, jakby uciekała przed czymś, co zagraża jej życiu. Szybko montowane zbliżenia pokazują tajemnicze symbole wyrte na drzewach i zawieszone na nich figury ze szmat i patyków, wyglądające, jakby miały odstraszać złe duchy albo budzić przerażenie wśród obcych próbujących wkroczyć w leśną głuszę.

Dziewczynie nie udaje się uciec: wpada w pułapkę, ląduje w dole, w którego dno wbite zostały zastrzone patyki. Do pułapki podchodzi inna postać, najpewniej także młoda kobieta. Na głowie ma maskę ze zwierzęcych skór, skóra okrywa też jej plecy, jak peleryna. Pod tym nakryciem widzimy koszulkę szkolnej drużyny piłkarskiej.

Władczynie much z przedmieścia

Tak zaczyna się „Yellowjackets”, w Stanach sensacja serialowej zimy, od lata dostępny w Polsce na Canal+. Opowieść rozgrywa się na trzech planach czasowych, które będą się mieszać na przestrzeni wszystkich odcinków. Pierwszy rozgrywa się w połowie lat 90. w New Jersey. Obserwujemy typowe dla nastolatek perypetie grupy dziewcząt z ogólniaka, grających w szkolnej drużynie piłkarskiej.

Drużyna awansuje do finału ogóln amerykańskich rozgrywek, dziewczyny wsiadają do samolotu, który ma je zabrać do Seattle. Samolot rozbija się w niedostępnych górach Kanady. Pomoc nie nadchodzi, rozbitkowie będą musieli przeżyć



w lesie – ich walka o przetrwanie to druga płaszczyzna narracyjna.

Trzeci plan pokazuje czasy współczesne. Cztery kobiety, które przetrwały w lasach, wróciły do domu, wiodą w miarę normalne życie kobiet w średnim wieku ze średniej klasy społecznej. Choć każda z nich mogłaby sprzedać swoją historię za duże pieniądze, to żadna nie jest gotowa powiedzieć nawet samej sobie, co tak naprawdę się stało na kanadyjskim pustkowi. W pierwszym odcinku kilka scen sugeruje, że społeczność nastolatek posuwa się do kanibalizmu, a może do rytuałów związanych ze składaniem ofiar z ludzi – mamy jednak poczucie, że jakkolwiek dramatyczne byłyby to wydarzenia, to tajemnica, jaką skrywa czwórka bohaterek, jest jeszcze bardziej przerażająca.

Współtwórczyni „Yellowjackets”, Ashley Lyle, mówiła w rozmowie z „New York Timesem”, że inspiracją był artykuł o planowanej nowej filmowej adaptacji „Władcy much” Williama Goldinga, gdzie chłopców miały zastąpić dziewczyny. A właściwie nie sam artykuł, tylko komentarze wokół niego w internecie typu: „no i co miałoby być ciekawego w tej historii?! To, jak dziewczyny zawspółpracują się na śmierć?”. W odpowiedzi na podobne głosy Lyle wspólnie ze swoim życiowym partnerem, scenarzystą Bartem Nickersonem, wymyśliła serial, w którym katastrofa staje się katalizato-

rem wyzwającym tłumioną na co dzień emocjonalną intensywność nastoletnich bohaterek – łącznie z zazdrością, agresją, skłonnością do przemocy, drapieżnymi apetytami seksualnymi.

Najważniejszą narracyjną płaszczyzną, nadającą ton całej produkcji, jest ta współczesna: rzeczywistość podmiejskiej nudy, prozaicznych problemów, małych radości i uporczywych niedogodności, w jakiej tkwią cztery zdecydowanie dorosłe bohaterki.

Zło w sercu lasu

Połączenie trzech linii narracyjnych wymusza też na serialu hybrydową formułę gatunkową. Sceny chronologicznie najwcześniejsze to konwencja serialu dla nastolatków, czy raczej serialu o nastolatkach kręconego tak, jakby kierowany był do widzów dorosłych. Jesteśmy w krajobrazie telewizyjnym po „Euforii”, radykalnie przesuwającej to, co można pokazać w telewizyjnych produkcjach o młodych bohaterach. „Yellowjackets” jest mniej ostentacyjne niż produkcja HBO, bardziej wyciszone i dyskretne, ale kolejne retrospekcje pokazują nam, jak mroczny, nieprzyjazny i zimny był świat bohaterek. Widzimy przemoc domową, alkoholizm, biedę, rówieśnicze prześladowania, depresję. Współczesna rama narracyjna i świadomość, że większość bohaterek scen z połowy lat 90. najpewniej nie przeżyła



MATERIAŁY PRASOWE CANAL+

Kadr z filmu „Yellowjackets”

i wieszczyci. Mówi o tajemniczej, złowrogiej sile rządzącej okolicą, przestrzega, że już przeniknęła ona ciała i dusze dziewczyn i nie wypuści ich ze swojej władzy. W New Jersey podobne twierdzenia wywołałyby pukanie się w głowę koleżanek. Tu Lottie zyskuje kolejne wpatrzone w nią jak w religijną przywódczynię zwolenniczki.

W nastolatkach wychowanych na pozornie bezpiecznych, wręcz sterylnych przedmieściach w sytuacji ekstremalnej uruchamia się „popęd mitologiczny”, dziewczyny „cofają się” do najbardziej pierwotnych, mitycznych wyobrażeń na temat natury, śmierci, świata umarłych, ofiary, jakie ludzkość przekazywała sobie przez tysiąclecia przy ogniskach, na długo zanim zaczęliśmy jako gatunek życie osiadłe. Cała kultura nowoczesnej cywilizacji z końca XX wieku okazuje się jedynie fasadą, która kruszeje, gdy pojawia się autentyczna groza.

Pierwszy sezon nie rozstrzyga, czy nadprzyrodzona groza, o której z takim przekonaniem mówi Lottie, jest czymś realnym czy nie. Wiemy za to na pewno, że ukazała się nam tylko część układanki, że świat bohaterek cały czas ma więcej zagadek niż odpowiedzi. Nie wiemy, co oznacza tajemniczy symbol, wyryty na drzewie w miejscu, gdzie rozbił się samolot drużyny – gdy pojawia się on współcześnie w życiu bohaterek, budzi w nich wyraźne przerażenie. Nie wiemy, czy pojawiający się w czołowiec tajemniczy mężczyzna bez oczu, którego przez całe życie widzi jedna z dziewczyn, Taissa, jest tylko rodzinną legendą, halucynacją, a może naprawdę istniejącym w świecie serialu duchem, mającym tajemniczy związek z katastrofą. Zaskakujący zwrot akcji w finale sezonu pokazuje nam, jak niewiele się dowiedzieliśmy o tym, co stało się w lasach, w tym także na temat tego, kto faktycznie w nich przetrwał, a kto nie.

Na pustyni wieku średniego

Współczesny wątek utrzymany jest w większości w konwencji dramedy, gorzkiej, przesyconej melancholią i rezygnacją depresyjnej komedii. Poczucie rezygnacji i rozczarowania łączy wszystkie cztery bohaterki. Shauna, która jako nastolatka dostała się na prestiżową uczelnię, utknęła w roli gospodyni domowej. Jej małżeństwo przeżywa kryzys, biz-

nes męża – kłopoty. Ich nastoletnia córka uważa swoich rodziców za najbardziej żenujących ludzi na świecie i nie przepuszcza żadnej okazji, by dać im to odczuć. Kolejną bohaterkę, Natalie, poznajemy, gdy wychodzi z odwyku. Nie jest to jej pierwszy raz w podobnej instytucji, Natalie zawsze wraca do nałogu, jakby w ten sposób chciała zagłuszyć dramatyczną przeszłość. Misty nudzi się śmiertelnie pracując jako pielęgniarzka w domu opieki dla seniorów. Pacjenci jej nie lubią, ona odpowiada im okrucieństwem i pogardą.

Najbardziej udane życie wydaje się mieć dorosła Taissa. Jest u progu politycznej kariery, startuje w pierwszych w życiu ważnych wyborach. Wcześniej zapewniła sobie i rodzinie finansowe bezpieczeństwo, ma wspierającą żonę, wspólnie wychowują kilkulatniego synka. Szybko okazuje się, że to tylko pozory: Taissa sprawia wrażenie dobrze funkcjonującej osoby tylko dlatego, że systematycznie wypiera swoje traumy z przeszłości – to, co wyparte, wraca jednak w makabrycznej formie.

Wyparcie jest zresztą słowem kluczem, który pasuje do wszystkich bohaterek. Shauna trzyma w sejfie swoje dzienniki z pobytu w leśnym pustkowiu. Gdy nikt nie widzi, czyta ich fragmenty w samotności. Wiele miejsca zajmuje w nich opis relacji z najbliższą przyjaciółką, Jackie, która najpewniej nie przeżyła katastrofy. Nie wiemy, jaką rolę odegrała w tym Shauna, wiemy, że ich pozornie doskonała przyjaźń od początku była pełna kłamstw, zazdrości, resentymentu, że Shauna ma wobec najpewniej zmarłej koleżanki poczucie winy. Gdy Shauna w trakcie halloweenowego przyjęcia spotyka przypadkowo swoją córkę, która dawną piłkarską kurtkę matki założyła jako kostium, ma wrażenie, że widzi ducha Jackie.

Duchy często pojawiają się w kinie jako znak nieprzepracowanej żałoby, widma domagają się tego, by żywi poegnali się prawidłowo ze swoimi umarłymi, pomagając im przejść na drugą stronę. „Yellowjackets” jest też serialem o problemie z przepracowaniem, a nawet z rozpoczęciem żałoby. Na dwóch poziomach. Na dosłownym poziomie żałoby po koleżankach i przyjaciółkach, które nie przetrwały. Shuana, Taissa i pozostałe bohaterki nie mogą ich opłakać, bo nie chcą nawet same przed sobą przyznać, co właściwie zdarzyło się ćwierć wieku temu.

katastrofy, że obcujemy poniekąd z widmami, nadają scenom jak z filmu dla młodzieży gorzki, melancholijny posmak.

Zupełnie inne konwencje rządzą fragmentami rozgrywanymi się wśród kanadyjskich pustkowi, gdzie trafiły bohaterki. Na początku są to gatunkowe wzorce widowiska katastroficznego: stawką jest konieczność przetrwania najbliższej godziny, nocy, dnia, zorganizowanie dostępu do świeżej wody, pożywienia, opatrzenia rannych w katastrofie, pochowanie zmarłych. Z czasem jednak konwencja survivalowa ustępuje innej – kina grozy. W bezkresnej głębszy rozbitkowicie znajdują opuszczoną chatę w lesie. W środku na bujanym fotelu siedzi szkielet mężczyzny. Nie wiadomo, jak zginął, dlaczego nikt go nie pochował.

Nocami słyhać wycie wilków, pod chatę podchodzą niedźwiedzie. W tej atmosferze łatwo się przestraszyć, łatwo ulec panice, podszeptom pobudzonej wyobraźni, wpisującej niezrozumiałe naturalne fenomeny w mitologiczne figury i narracje. Szczególnie podatna na atmosferę pustkowia wydaje się jedna dziewczyna, Lottie. Jak dowiadujemy się z retrospekcji, od dzieciństwa doświadczała tajemniczych wizji. Jej rodzice, bardzo zażożni ludzie – drużyna leciała do Seattle ich prywatnym samolotem – zagłuszali to lekami. Na pustkowiu dziewczyna odstawiona od leków zaczyna halucynować

→ Na bardziej metaforycznym poziomie bohaterki nie mogą przepracować żaloby po przerwanej młodości, rozumianej jako czas nieskończonych możliwości, biegunowo odmienny od monotonnego czasu „pustyni wieku średniego”, gdy możliwości zrealizowania własnego potencjału nieubłaganie się zawężają. W rolach dorosłych bohaterek obsadzone zostały zresztą aktorki, które w latach 90. jako bardzo młode osoby doświadczyły eksplozji sławy i później całe zawodowe życie walczyły, by dorównać swoim pierwszym sukcesom. Christinę Ricci (Misty) cały świat poznał, gdy jako jedenastoletka wcieliła się w rolę Wednesday w „Rodzinie Adamsów” (1991), Juliette Lewis (Natalie) wypłynęła na fali skandalicznego sukcesu „Urodzonych morderców” (1994) Olivera Stone’a, a Melanie Lynskey (Shauna) po debiucie u boku Kate Winslet w „Niebiańskich istotach” (1994) z nieznanego nikomu dziewczyny z Nowej Zelandii zmieniła się w powszechnie rozpoznawalną aktorkę kina niezależnego. Ricci wprost mówiła, że w pracę nad rolą Misty włożyła własne doświadczenia z „traumą” dziecięcej sławy.

Amerykańska popkultura ma obsesję na punkcie czasów liceum. Filmy o ogólniaku stworzyły własny gatunek i mitologię. Twórcy ciągle wracają do tego okresu, powstają osadzone w realiach współczesnej amerykańskiej szkoły średniej adaptacje literackiej klasyki (od Szekspira przez „Niebezpieczne związki” po Jane Austen) i nawet takie gatunki jak horror wampiryczny wracają do szkoły. „Yellowjackets” proponuje odwrotny zabieg. Przedstawia opowieść o nastolatkach z punktu widzenia dorosłych, przefiltrowaną przez ich życiową mądrość i życiowe rozczarowania. Nie przestając przyciągać uwagi widza bogatą, pełną zagadek intrygą, serial pokazuje, jak toksyczne mogą się stać fantazje uciepione desperacko okresu, gdy wydawało się, że cały świat należy do nas.

© JAKUB MAJMUREK



DOROTA REKSIŃSKA / MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

Dorota Kolak i Łukasz Simlat, „Głupcy”, reż. Tomasz Wasilewski, 2022 r.

Tragedia na tapecie

ANITA PIOTROWSKA

„Głupcy” są dość sadystycznym eksperymentem na naszej tolerancji i wrażliwości. Także filmowej, komunikacja z widzem przypomina bowiem chwilami głuchy telefon.

TOMASZ WASILEWSKI OD DEKADY stara się emancypować obyczajowo polskie kino. Tworzył świat wyimaginowany albo umowny, za to fineryjnie sfotografowany, naznaczony tajemnicą, z wyraźnym autorskim dotknięciem. Tak jest i tym razem. „Głupcy” celowo rozmijają się z życiowym prawdopodobieństwem, kreując na ekranie własną nierzeczywistość. Wabią estetycznym uduśnieniem, po czym przeczolgują, nurzają w niepewności i w końcu porzucają bez żadnej asekuracji, z rosnącym ładunkiem wątpliwości i pytań.

Na początku dominuje czyste zaciekawienie. Dlaczego sześćdziesięcioletnia Marlena (gra ją wybitnie Dorota Kolak) i dużo młodszy od niej mąż Tomasz (Łukasz Simlat) ukrywają się w magicznym domu nad morzem? Dla

czego ona odcięła się od najbliższych? Co sprawiło, że kiedy wreszcie dochodzi do rodzinnego spotkania, jej córka Magda (Katarzyna Herman) zachowuje się jak obca? A spotykają się w hospicjum, gdzie od dwóch lat leży całkowicie sparaliżowany i jeszcze dłużej nieobecny Mikołaj, syn Marleny (w tej roli Tomasz Tyndyk). Matka mimo oporów decyduje się zabrać go do siebie, chociaż niechybnie zakłóci to dotychczasową małżeńską harmonię. Jednocześnie urwany kontakt między matką i synem zamienia się teraz w najściślej rozumianą intymność. Całodobowa opieka nad bezwładnym ciałem dorosłego dziecka przywraca na moment dawny porządek, zburzony przed laty z bliziej niewiadomych powodów.

Porzućmy jednak tradycyjną logikę narracyjną. Zwłaszcza że słowa zastę-

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”. Stuchaj nas
w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Gorlice – 97,4 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | www.radiokrakow.pl

puje tu charakterystyczny język wizualny i dość wcześnie sugeruje on lekkie zakrzywienie czasoprzestrzeni. Na przykład oddając ją we władanie naturze. Surrealistycznym gestem Wasilewski wypuszcza do pokoju chorego rozwrzeszczane mewy, w szpitalach zaś i prosektoriach pozwala plenić się tropikalnej roślinności. Zmysłowym i zarazem niepokojącym komentarzem do sytuacji Marleny i Tomasza staje się morze. Nadbałtyckie plaże, wydmy i chmury w obiektywie rumuńskiego operatora Olega Mutu to żywioł tyleż oczyszczający, co karzący – wszak pogwałcenie naturalnego porządku, które niechybnie dokonuje się na naszych oczach, musi gniewać mściwych bogów. I pewnie dlatego Marlena tak panicznie boi się zanurzyć w wodzie. Są też momenty, gdy fale podchodzą pod sam próg jej domostwa, a ich huk zdaje się zwiastować rychły sąd ostateczny. Bo mieszkanie niczym ze snu, z marzeń o doskonałej izolacji i malowniczej dzikości, ma w sobie coś z pułapki. Napięcie wisi w powietrzu, zanim jeszcze do domu matki zostanie przywieziony Mikołaj, ten półżywy wyrzut sumienia, całkowicie zdany na jej pomoc.

Cierpienie syna wydaje się karą dla bohaterki, choć Wasilewski podrzuca bardzo różne tropy odnośnie do relacji między Mikołajem, Marleną, Tomaszem i Magdą. Wiele z nich wiedzie na manowce i przez długi czas można sądzić, że chodzi w gruncie rzeczy o kliniczne obserwacje zamkniętego układu rodzinnego, który wypadł kiedyś z ram i teraz, w warunkach ciężkiej choroby, redefiniuje się na nowo. Pod tym względem film nie oszczędza nikogo. Bohaterowie, z Marleną na czele, stopniowo pogrążają się w szaleństwo, podczas gdy przeciągany do granic wytrzymałości skowyt chorego i eksponowanie fizjologii są nie lada wyzwaniem także dla widza, niezależnie od jego własnych życiowych doświadczeń. I jest w tym ze strony twórców akt odwagi, pytanie tylko czemu ona służy, poza samym stwierdzeniem, że życie boli i kończy się zazwyczaj w mało pojętych okolicznościach. Może chodzi o ciało (czyli o naturę znowu), brutalnie oswajane, ukazane w całej swej kruchości, również wobec własnych pragnień i popędów. Wreszcie: ciało w dwójnasób obnażone, które stanowi wyzywającą przeciwwagę dla życia w ukryciu, pośród kontrolujących spojrzeń, niedopowiedzeń i kłamstw.

Lecz wcale nie ta cielesna brutalność sprawia, że seans „Głupców” boli niemal fizycznie. Dotkliwiej działa w nim kultura, nie natura. Zauważone na festiwalu w Karlowych Warach dzieło Wasilewskiego z namaszczeniem przywołuje konteksty edypalne, chrystusowe, filmowe, a wraz z nimi grecki fatalizm, ewangeliczną pietę i ptaki od Hitchcocka. Tyle że funduje widzowi wyrafinowaną udrękę bez jakkolwiek rozumianego *katharsis*, pozostawiając w dezorientacji, rozdrażnieniu, w poczuciu tytułowego oglupienia. Finałowa przewrotka, odsłaniająca mroczną tajemnicę owej nieświeżej rodziny, pozwala opowiedzieć sobie całą historię na nowo, wypełnić wreszcie puste miejsca, przekierować dotychczasowe znaki zapytania, połączyć rozsypane kropki, inaczej ustawić role... I mając taką nadwiedzę, prawdopodobnie inaczej oglądałoby się ten film, ale czy przez to byłoby ciekawiej?

Ze spoilerami lub bez są „Głupcy” dość sadystycznym eksperymentem na naszej tolerancji i wrażliwości. Także filmowej, komunikacja z widzem przypomina bowiem chwilami głuchy telefon (taki był zapewne główny zamysł: im mniej wiemy, tym lepiej), nie wspominając tego, co dzieje się na łączach między głównymi postaciami dramatu. Stawiając trudne pytania o granice – miłości, seksualności, samorealizacji, kulturowych tabu – film domaga się licznych przypisów. Dobrze byłoby po seansie przeczytać sobie wywiad z reżyserem, bo potrafi zajmująco mówić o swoich intencjach. Pozbawiony autorskiej eksplikacji, otwarty na nieskończoność psychologicznych hipotez i mniej lub bardziej naciąganych związków przyczynowo-skutkowych, obraz Wasilewskiego obiecuje transgresję, lecz oferuje przede wszystkim fototapety, intrygującą fonosferę i świetny aktorski czworokąt. To jednak zbyt dużo, zbyt artystowsko jak na prowokację wymierzoną w stronę polskiego bądź zagranicznego kołtuna, żeby otworzył się, przynajmniej mentalnie, na to, co zakazane. A równocześnie za mało, by przeżywać wraz z bohaterami ich wykoncypowaną tragedię i bez żadnej podpowiedzi odnaleźć w niej głęboko poukrywane sensy. ©

GLUPCY – reż. Tomasz Wasilewski.
Prod. Polska/Rumunia/Niemcy 2022.
Dystryb. Gutek Film.
W kinach od 12 sierpnia.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Meduza



Horror, reż. Anita Rocha da Silveira,
Brazylia 2021, HBO Max,
od 14 VIII

Z połączenia niskobudżetowego kina grozy, neonowego musicalu i satyrycznej komedii powstała zwariowana opowieść o pobożnych dziewczynach z dzisiejszego Rio de Janeiro. Nocami tworzą zamaskowany gang i sieją spustoszenie na ulicach – jego główną misją jest fizyczne karanie koleżanek, które zapomniały o cnotach niewieścich.

2. Albina Barańska



Przegląd filmów, Niniateka, do 31 VIII
5 sierpnia znakomita scenografka i kostiumografka skończyła 90 lat.

W ramach comiesięcznego cyklu „Dziś są twoje urodziny” zobaczmy pięć tytułów, przy których pracowała: „Dwa księżycy” Andrzeja Barańskiego, „Ostatni prom” Waldemara Krzystka, „Mniejsze niebo” Janusza Morgensterna, „Listopad” Łukasza Karwowskiego i „Prywatne śledztwo” Wojciecha Wójcika.

3. George Michael Freedom Uncut



Dokumentalny, reż. George Michael, David Austin, Wielka Brytania/Bahamy/USA 2022, iTunes Store

Film kończony przez muzyka tuż przed śmiercią zawiera kilkanaście minut nowego materiału, który nie znalazł się w wersji z 2017 r. Również w tym wypadku powstała rzecz głównie dla fanów wokalisty, próbująca zerwać z jego tabloidowym wizerunkiem, oddać głos jemu oraz tym, którzy dostrzegli w nim kogoś więcej niż gwiazdę popu.

4. Nosorożec



Dramat/kryminał, reż. Ołeh Sencow, Ukraina/Polska/Niemcy 2021, CANAL+ online

Uwolniony w 2019 r. ukraiński aktywista przede wszystkim nadrabia tu zaległości rodzimego kina, portretując bandyckie lata 90. w naszej części Europy. Typowa historia drobnego gangstera, który pnie się na szczyty, a zarazem coraz bardziej się stacza, ma przebłyski inscenizacyjnego geniuszu, zwłaszcza w sekwencji otwierającej.

JAN

Klata: Na placu Pięciu Rogów



WBREW TEMU, CO TWIERDZĄ FANATYCZNI empiryści, mózg nie czerpie całej wiedzy ze swego otoczenia... jednakowoż czerpie jej sporo i często jest to wiedza radosna, radosna jak przebywanie na placu Pięciu Rogów w upalny stołeczny dzień.

Lato w mieście jest, i coraz bardziej będzie, ćwiczeniem z zarządzania temperaturą, temperaturą otoczenia, co to się rzuca na mózg. Tegoroczny kontekst jawi się szczególnie złowrogo ze względu na wojnę i powinien skłaniać do spojrzenia w przyszłość. Jakkolwiek abstrakcyjnie by to zabrzmiało na placu Pięciu Rogów w dzień rozprążonego lata 2022: zimą będzie zimno. Przekazywana z pokolenia na pokolenie mądrość mówi: jak ci zimno, to się ubierz. Trzeba się będzie w mieszkaniach podoubierać, dopizamić, dogać nawet. I co z tym robimy? Pozwolę sobie zauważyć: na szczęście zadbano o to, że już teraz musimy się ubierać, jesteśmy zmuszani do dalekowzroczności. Korzystający z transportu publicznego nie mają wyjścia i zgoda się ze

mną, że w apogeum lata klima nastawiona jest na temperaturę optymalną do serwowania wody mineralnej Perrier, co dobrze przygotowuje nas na putinowską zimę. W tzw. centrach handlowych także ziąb niemożliwy. Wagony Inter-city mogą służyć do przewozu półtuszy wieprzowych. Znakomita dykcja lektorki zapewniającej o „bazie świeżych produktów” jest jak najbardziej na miejscu. Ale tymczasem PKP śmiało wybiega w przyszłość – przecież za zimnicą w wagonach kryje się głębszy strategiczny zamysł, wszak sztokholmski syndrom ubierania się musi wejść nam w krew, żebyśmy już teraz byli gotowi na nadchodzący od listopada nieunikniony ziąb, przerwy w dostawach energii. Tak hartuje się stal.

A jeśli ktoś jest raczej pasikonikiem niż mrówką i chce żyć chwilą, w pełnym kontakcie z niczym niezapośredniczoną letnią naturą, może lipcowo-sierpniowym popołudniem położyć się na nawierzchni placu Pięciu Rogów, choćby i w samych szponkach, aby dodać sobie otuchy, zapomnieć o całym świecie i nałapać energii na przyszłość. ©

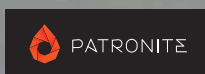
**TYGODNIK
POWSZECHNY**

weź, słuchaj!

JAGIELSKI STORY

Wszystkie strony świata – w jednym podkaście rozmawiają Wojciech Jagielski i Krzysztof Story
TygodnikPowszechny.pl/podcast

Dołącz do społeczności
patronite.pl/PodcastTygodnikaPowszechnego



PAWEŁ

Bravo: *Mus narracji*



TRZY MINUTY WYSTARCZYŁY, ŻEBY ZMYŚLOWYM ruchem swojej magicznej nogi niejaki Lewy skonsumował odbyte dopiero co zaślubiny z Dumą Katalonii. Nie, nie będę się dziś pastwił nad językiem religii piłkarskiej. Jest we mnie ciekawość i szacunek do zjawiska, co nie znaczy, że nie bawi mnie ścisły rytuał, w który wchodzi wszyscy piszący o meczach czy piłkarzach. Najbardziej pocieszni są przy tym ci, którym się wydaje, że siłą barokowej metaforyki uwolnią się od formy. Licencja poetycka w tej branży wydaje się tania i dostępna, ale daje wstęp tylko na wąziutkie pasma metafor. Przypuszczam zresztą, że wielcy kibice, których nie kręci jedzenie i gotowanie, z takim samym życzliwym pobłażaniem czytają nasze wprawki językowe o stole i spizarni, i niech nie będzie między nami złości. Znamy gorsze rejony języka, choćby polityczną głądźbę z jej chwastami, takimi jak np. „szalejąca inflacja”.

Toteż złożę małe *votum separatum* – mianowicie, że Katalonia ma jednak trwalsze i ważniejsze w ogólnej ekonomii zbawienia powody do dumy, np. winnice Penedes i Prioratu – i zostawmy w spokoju sam mecz. Jeśli bowiem skromny udział (jeden gol na sześć) w pokonaniu nienadzwyczajnej drużyny w drugorzędnej rozgrywce jest tym, czego potrzebuje dusza Polaka, by rozjaśnić pełen najgorszych przeczuć sierpień, to nie będę ironizował. Nas tam teraz kochają. Koleżanka z Barcelony podesłała zdjęcia: ludzie w pasiastych koszulkach z dziewiątką, świeżo nabytych w klubowym sklepie za 160 euro.

Trzeba by odwrócić logikę i zamiast „klubowy sklep”, pisać „sklepowy klub”, bo taka jest właściwa hierarchia znaczenia poszczególnych członów tej grandy, jaką jest tzw. wielka piłka. Od dawna serio powtarzam, że należałoby ją zdelegalizować. Jest to szczególnie szkodliwy rodzaj przestępczości zorganizowanej, bo coraz drożej sprzedaje trudne do zastąpienia formy przeżywania wspólnoty. Zalewa, niczym narkotyczne delirium, obszary naszej uczuciowości motywujące nas do wysiłku, wytrwałości, odporności na porażkę. Wykorzystuje potrzebę wiary w „piękno sportu”, które moi koledzy słusznie odnajdują i wydobywają z karier opiewanych przez siebie mistrzów kopania.

Ale z faktu, że pisanie o pięknie jest listkiem figowym bezlitosnego biznesu na szalikach, koszulkach i transmisjach, nie wynika, że tam na boisku nie dzieją się piękne rzeczy za sprawą potu i wysiłku garstki natchnionych ludzi. Gdyby jednak nie ta zgniła do spodu klubowa granda żyjąca z transmisji, nic byśmy nie wiedzieli o ich istnieniu i grze, a niejeden szczerzy talent nie miałby szans się rozwinąć bez magnesów sławy, zarobków

i stosownych mechanizmów selekcji. I w ostateczności liczy się to, jak gra numer dziewięć, a nie, ile na nim klub zarobi i jakie „narracje” do tego sobie dorobi.

Ta sama bezradność wobec sprzecznych racji ogarnęła mnie parę dni temu, gdy śledziłem głośną obecnie w świecie elitarniej gastronomii aferę z Dallas, gdzie prasa wytropiła – z rocznym, co prawda, opóźnieniem wobec otwarcia superambitnego i błyskawicznie docenionego lokalu – że szef kuchni zwyczajnie nałgał, mówiąc w licznych wywiadach, iż szlify zdobywał w ważnych restauracjach Ameryki, mających swoje zasłużone gwiazdki i renomę. Dziennikarze podważyli jego tłumaczenia, że był w tych sławnych miejscach darmowym stażystą pod przybranym nazwiskiem, chociaż oczywiście biznes gastro zna takie początki karier.

Przez ten rok działalność knajpa zdążyła zebrać mnóstwo dobrych recenzji i nawet trafić do rankingu „Forbesa”, który dba, żeby jego inspektorzy luksusu nie dawali punktów za piękne oczy. Ludzie są ponoć szczęśliwi, spożywszy menu degustacyjne za 200 dolarów, złożone z typowych dla takich przybytków polifonicznych kombinacji kasków i kleksów, z nieśmiertelnym musem z *foie gras* na czele. I co teraz? Teksański łos z smardzami straci na smaku, bo kucharz się okazał kłamcą? Bynajmniej. Ale czy klienci nie przychodzili skuszeni właśnie opowieścią o wielkim świecie, z którego przyłeciał? Świecie, który, co się skrętnie ukrywa, bywa często okrutny, pełen wyzysku i ściemy, tyle że uszytej bardziej subtelnie niż owo lipne CV? W tym świecie też liczą się głównie wielcy korporacyjni gracze wynajmujący szefów, podobnie jak kluby płacą za swoich gladiatorów.

Rankingi, pozycje, nagrody, szmer prestiżu nie mają smaku, a jednak bez nich wiele miejsc i momentów nie mogłoby zaistnieć. Tak rozmyślałem nad miseczką musu z *foie gras*, którą dzięki hojności przyjaciół postawił przede mną kelner z gwiazdkowanego lokalu. Z tym musem to chyba chodzi o to, żeby móc się cieszyć boskim smakiem bez świadomości, że się wcina wątrobę. Ale to już zupełnie inne rewiry samooszukiwania. ©P

W charakterze przeprosin dla kibiców, którzy mogli się poczuć urażeni, oto genialny w swej prostocie finger food, który można upiec na godzinę przed meczem, w dodatku okrągły jak piłka. W dużej misce mieszamy 250 g ricotty z 1 jajkiem, 2 kopianymi łyżkami parmezanu, garścią siekanej natki lub kolendry. Solimy, doprawiamy pieprzem lub inną ostrą przyprawą, która nam pasuje.

Do masy zaczynamy dosypywać bułki tartej, tylko tyle, żeby masa po wzięciu w palce dała się jako tako lepić. Odstawiamy na godzinę, żeby bułka wchłonęła więcej wilgoci i uczyniła masę jeszcze ściślejszą. W dłoniach toczymy kulki wielkości dużego orzecha, obtaczamy je w bułce tartej i pieczemy ok. kwadransu w 180 st. C. na blasze wyłożonej papierem do pieczenia, aż się zrumienią i zaczynają nieznacznie pękać.





ZATOKA AKABA

Częściej niż w domu był na mapie. Być może dlatego go szukałem i wciąż szukam.

Najlepiej na końcu mapy, bo tam obecność tego, co nieobecne,
jest najbardziej skondensowana.

TEKST I ZDJĘCIE: **MICHAŁ MILCZAREK**

DZIEŃ PRZED WYJAZDEM ŚNIŁ MI SIĘ OJCIEC. POJAWIŁ SIĘ w domu zmartwychwstały i nie rozumiał, co się dzieje. Milczał, ale jego oczy mówiły więcej, niż powiedziałyby słowa. Był wstrząśnięty, zażenowany i nie mógł uwierzyć. Przecież to tylko miesiące, odkąd umarł. Ja też byłem zażenowany i było mi głupio. I też milczałem.

Przy śniadaniu w niewielkim hotelu w Dahab na Synaju powiedziałem do Rosjanki, że toster nie rabotajet, nie działa. Chwilę wcześniej też się z nim mocowałem, a tosty i tak nie wyszły. Była zaskoczona moim rosyjskim, ale przeniosła to zaskoczenie na toster, mówiąc, że przecież rabotał. Rabotał, ale już nie rabotajet.

W ogóle mało co tu rabotajet. Obok hotelu Egipcjanie namalowali na murze traktor ciągnący czołg po żółtym polu pod błękitnym niebem. W lufie tkwił bukiet czerwonych maków. Czołg też nie rabotajet. Dobrze, że chociaż traktor rabotajet. I Egipcjanie, którzy kolejnego wieczoru domalowali jeszcze ukraińską flagę, tryzub, a pod nim słowo „will”. Wola, chęć, czasownik modalny nakierowany na przyszłość. Spełniająca się wola: zwycięstwo, peremoha.

Ale to są szczeliny. Bo tak w ogóle to jestem na wakacjach niemożliwych. Wakacjach, które nie są w pełni wakacjami, bo nie mogą być. Zepsute. Nie rabotajet.



Filtry

Wojna wybuchła w dniu pogrzebu mojego ojca. Rano zamiast pierierabatywać żałobę, czytałem newsy. Potem wyłączyłem komputer, bo trzeba było jechać na cmentarz. W kaplicy puściliśmy mu „High Hopes” Pink Floydów. Tata nie chciałby księdza, wołałby Floydów. „*The grass was greener, the light was brighter*”... Na stypie nie wytrzymałem i wyciągnąłem telefon. Świat się wykołbał.

W Dahab dziś wieje. Morze Czerwone poszarzało. Na plaży śpią głodne psy. Suche góry ciągną się wzdłuż brzegu. Wokół pustynia. Okrutny, bezlitosny krajobraz. Tym bardziej że słońce nabiera mocy. Jest trzydzieści parę, ale wakacje wpadły w turbulencje. Morze, palmy, rafy, piasek. Ludzie smarują się filtry. Niby wszystko jest tak zawsze, ale nie jest. Przestało rabotać.

Nad schodami ruchomymi w hali przylotów w Szarm el-Szejk wisiał baner z soborem Wasyla Błogosławionego na placu Czerwonym. Pod nim napis po rosyjsku i po angielsku: „*Welcome back!*”. Autorzy baneru pewnie nie wiedzą, że Wasyl Błogosławiony był jurodiwym, świętym szaleńcem, i poczęstował kiedyś cara Iwana Groźnego ociekającym krwią, surowym mięsem. Na pytanie zaskoczonego władcy dlaczego, Wasyl miał odpowiedzieć, że przecież car lubi krew.

Rosjanka jest z mężem i dwójką dzieci na pograniczu szkoły i przedszkola. Odpoczywają. Schodzi z nich stres, prze-

Obok hotelu Egipcjanie namalowali traktor ciągnący czołg po żółtym polu. Dahab, 1 maja 2022 r.

nika słońce, dzieci się bawią. Szczęście. Nie wiem, co myślą. Ale widzę, że są na wakacjach bardziej niż ja.

Rdza

Po drugiej stronie Zatoki Akaba leży saudyjska Magna. W dzień pozostaje niewidoczna – brzeg zlewa się w jednolity, pustynny pas. Nie mogę na nią patrzeć, ale mogę sięgnąć pamięcią. Byłem tam dwa lata temu. W ostatnim momencie: w połowie lutego 2020, chwilę przed covidem.

Zdążyłem. Przejechałem całą Arabię Saudyjską od Bahrajnu po Jordanię. Od Zatoki Perskiej po Zatokę Akaba przez Rijad, Dżeddę, Al-Ulę, Tabuk i Magne. Pociągami, samolotem, autostopem, wypożyczonym samochodem, znowu autostopem. 3700 kilometrów.

Dlatego spoglądałem na wschód i myślę o świecie sprzed katastrofy. Na przykład Rijad. Siedmiomilionowy moloch pośrodku niczego. Mirażowate miasto wyrastające wprost z pustyni. Rozkopane, zakorkowane, szorstkie, głośnie i żywotne. Trochę maszyna do mieszkania, trochę tarcza przeciwsłoneczna, trochę poharatane ciało. W starej części stały gliniane domy w ruinie. Mieszkali w nich Afgańczycy, Jemeńczycy, Bengalczyki. Momentami można było się poczuć jak w Kabulu czy Peszawarze. Były też ciężkawe modernistyczne bloki, pustostany, krzywe chodniki i wielkie kontenery na śmieci.

Dużo starych amerykańskich samochodów. Można było natknąć się przykładowo na dwudziestopięcioletniego chryslera rozkładającego się na rdzę i pierwiastki. W Rijadzie samochody umierały pokryte żółtym pyłem – i to było piękne. Po ludziach zostawały tylko kamienie na piasku, bo grobów w Arabii Saudyjskiej się nie oznacza. Poza tym szkło, beton i galerie handlowe. Trochę Detroit, trochę Chartum, trochę Astana, trochę Kuwejt – tyle że bez wody. Brzydkie miasto. W alternatywnym świecie Rijad nadawałby się na stolicę heavy metalu.

Albo północna wylotówka z Dżeddy. Na poboczu szerokim jak Wołga stały mocno sfatygowane tiry i biedaknajpy, a w powietrzu unosił się zapach smaru i benzyny. Dalej nie było już nic – tylko rozgrzany asfalt, wielbłądy i piaszczysta pustka. Od razu zachciało mi się żyć bardziej.

Jakucki rap

Stałem z wyprostowaną ręką, chcąc zaznać saudyjskiego autostopu. Pierwszy zatrzymał się Fahd. Niepokaźny, ale z pokaźną brodą. „Skąd jesteś” – zapytał po pseudoangielsku. „Bolanda” – odpowiedziałem. „Czy w Bolandzie jest wojna, bum-bum, czy pokój?” – zapytał. „Pokój – odpowiedziałem – zero bum-bum, nie strzelają”. „Good – powiedział. – Daj mi swój numer, muszę pojechać do Bolandy”.

Następnie trafił się sfrustrowany seksualnie typ w rozklekotanej hondzie. Nie przedstawił się, chyba nie chciał tracić czasu. Od razu sprowadził rozmowę na tematy damsko-męskie, które płynnie przeszły w męsko-męskie. „Gdzie twoja madam, w Bolandzie? A w Arabii masz drugą madam czy nie?” – pytał ze słodyczą w oczach i klepnął mnie po udzie. Odpowiedziałem, że nie mam saudyjskiej madam. „To jak ty bez madam po Arabii podróżujesz, co?” – mówił językiem arabsko-migowym, więc żeby na pewno zrozumiał,

→ o co mu chodzi, znowu dotknął czule mojego uda, tylko trochę wyżej. Zapytałem go, czy sam ma madam, ale zrobił kwaśną minę i pokręcił głową. No tak. Nie masz żony, nie masz seksu. Z mężczyzną też nie próbuj, bo grożą ci więzienie i baty. Ale to jest silniejsze. My w tej grzesznej Bolandzie na pewno robimy to wszyscy ze wszystkimi i na wszystkie sposoby. Na szczęście wkrótce skręcał. Wysiadłem, ale on wciąż się nie poddawał. Podjął ostatnią próbę wytłumaczenia, co miał na myśli, bo ja na pewno też tego pragnę, tylko słabo pojmuję jego arabski, a on słabo pojmuję mój angielski. Włożył sobie palce do ust, a w oczach miał nieme pytanie.

Brodaty Nasser powiedział, że zanim wyruszymy w drogę, musimy udać się na targ rolny po paszę dla wielbłądów. Skarżył się, że deszczów w tym roku mało, trawa nie rośnie, zwierzęta są głodne. Załadowaliśmy na pick-upa kilka worków siewki, dziesięć bloków siana i pojechaliśmy w głąb oaz daktylowych.

Ziomeczek noszący czapeczkę z daszkiem do tyłu w szybkiej toyocie włączył muzykę na full i patrzył na mnie jak na idiotę. Jak można podróżować bez samochodu?

Dwaj faceci w furze jak stajnia Augiasza pędzili sto siedemdziesiąt, a jednocześnie koniecznie chcieli porozmawiać ze mną z pomocą translatora Google, wymienić się numerami i zakolegować przez wszystkie media społecznościowe. Nie wszędzie był zasięg.

Potem trafił się czarnoskóry Sudańczyk z głową owiniętą białym turbanem. Powoli i dostojnie kierował autem terenowym pamiętającym młodość Umara al-Baszira. W daktylowych oczach miał szczęście, z ust nie schodził mu uśmiech.

Stałem pośrodku pustki. Na horyzoncie ciągnęły się suche góry. Skały, piasek i erozja. Naga geologia. Została mi setka z kawalkiem, a słońce kończyło pracę. Rozżarzony pomarańcz przechodził w psychodeliczny fiolet.

Wtedy nadjechał tir. Czarny, nowy, wyrośnięty. Myślałem, że się nie zatrzyma, ale się zatrzymał. Za kierownicą siedział Mohammed, Pasztun z Afganistanu. W brązowym perahanie, z brodą i z pierścieniami na palcach. Nie mogłem trafić lepiej. Oczywiście nie mówił po angielsku, nawet po arabsku bardzo kiepsko. Ja natomiast po pasztuńsku ni w ząb, dlatego doszliśmy do wniosku, że nie pogadamy. Podał mi kabel, że bym podłączył telefon i puścił swoją muzykę. Włączyłem jakucki rap i zrobiło się pięknie. Jedziesz stopem z afgańskim Pasztunem przez Arabię Saudyjską i słuchasz jakuckiego rapu. Biegun ciepła połączył się z biegunem zimna, jeden koniec Azji z drugim. Mohammedowi też się podobało, bo zaczął za kierownicą tańczyć i klaskać.

Wysiadłem na pustynnym rozjeździe. Było absolutnie ciemno i zero zasięgu, więc szukałem na migotliwym niebie Gwiazdy Polarnej, aby upewnić się, że idę w dobrym kierunku.

Mapy

Druga strona zatoki, dwa lata temu. Tak blisko i tak daleko. Teraz patrzę, jak ciemnieją wznoszące się tam góry, suche i chropowate. Światło wyparowuje, morze bije o brzeg – ciepławe i niewyczerpane, ślepe, na wpół żywe. Zastępuje życie, którego tu nie ma. Patrzę i czekam, aż zapala się światła w Maginie, bo wtedy stanie się widzialna, będzie można zobaczyć na horyzoncie cienką szczelinę wakacji, niewidzialny pomost

przez Zatokę Akaba, łączący i oddzielający przeszłość i teraźniejszość. Gapię się na wielki rów tektoniczny, pęknięcie na skorupie ziemskiej, szczelinę zarazem łączącą i oddzielającą wzrok i pamięć, życie i śmierć, istnienie i nieistnienie.

Na końcu był dotyk. Dotyk, a nie słowo, bo wypowiedzieć słowa nie miał już siły. Ścisnął moją rękę, a potem pociągnął ku ustom i pocałował. Wiedziałem, że widzę go po raz ostatni.

Tata był marynarzem, pływał. Wyjeżdżał. Wracał. Wyjeżdżał. Wracał. Częściej niż w domu był na mapie. Być może dlatego go szukałem i wciąż szukam. Najlepiej na końcu mapy, bo żeby tam dotrzeć, trzeba przemierzyć całą jej połać. Na końcu mapy obecność tego, co nieobecne, jest najbardziej skondensowana. Na przykładkach, oderwanych od lądu wyspach, urywających się drogach, na przeciwnym brzegu. Na przeciwnym brzegu bardziej niż na tym, na którym się jest. Tam, a nie tu.

Pewnie dlatego znowu tu jestem i czekam, aż na Półwyspie Arabskim zapłoną światła. Patrzę, jak zwielokrotnia się przestrzeń, nakładają się na siebie czasy. Myślę o przeciwnym brzegu ogromnego półwyspu – Zatoce Perskiej. Na koniec tata pracował w Dubaju. Miał swoje biurko i swój komputer w jednym z tych szklanych symulakrów. Rzecz jasna nie tym najwyższym, ale zawsze. Chodził do pracy w krawacie, chociaż nie musiał. Dumny. Ale nie ma co się dziwić. Urodził się w 1947 r. pod Łodzią na płaskości ciągnącej się po horyzont jak nieskończoność. Wieś pośród piachów, każda strona świata wyglądała tak samo. Udało mu się wyrwać. Sześć kontynentów i pewnie z milion kilometrów wody pomiędzy. Potem sterylne szkło i klimatyzacja. Bezdyskusyjny awans społeczny.

W lipcu w Dubaju było jak w saunie. Temperatura i wilgotność – najgorzej. Naga rzeczywistość była nie do wytrzymania, więc pewnie dlatego budowali te symulakra. Trzeba było emigrować z życia w świat wirtualny. Kryć się w klimatyzowanych kapsułach, shopping mallach, wirtualnych oazach. Inaczej się nie dało. Dubaj to było symulakrum rzeczywistości w kraju, w którym rzeczywistość nie istnieje. Były tylko piasek i ropa, a rzeczywistość należało zbudować. W nicości tworzy się łatwo, więc nie kryli ambicji. Symulowana rzeczywistość miała być lepsza niż ta niesymulowana w bardziej sprzyjającym środowisku. Symulakrum miało zawiesić prawa fizyki i prześcignąć świat.

Miejski spacer w południe był jak operacja Pustynna Burza. Pot spływał z czoła i szczypał w oczy. Groził *blackout*, ciało mogło przestać rabotać. Trzeba było przemieszczać się od cienia do cienia, od shopping mallu do shopping mallu. Urbanpartyzantka. Słońce było za blisko. To bardziej Merkury niż Ziemia.

Krab

Sprzedawcy i kelnerzy w Dahab chwilę się zastanawiali, jakby kontrolnie skanowali moją powierzchowność, a następnie odzywali po rosyjsku. Widocznie jestem podobny. Nie udawałem, że nie jestem, i nie udawałem, że nie znam języka. Na rosyjski odpowiadałem rosyjskim. Menu też zwykle mieli po rosyjsku, więc zdarzało mi się zamawiać po rosyjsku. Wyobrażałem sobie tylko, że to nieimperialny rosyjski, rosyjski wschodniej lub południowej Ukrainy. Pro-

blem w tym, że Ukraińców ze wschodniej lub południowej Ukrainy nie było obecnie w Dahab. Dlatego nie rabotał ten rosyjski, nie rabotał należycie. Przestał być przeźroczysty. Mówiłem, potykając się o słowa i kołowacając. Cicho i nienachalnie. Jakbym ukrywał swoje wakacje, bo wakacje wydawały mi się zbyt obszernie, nie na miejscu.

On natomiast nie krępował się. Zamówił tyle, że nie dało się tego zjeść. Przystawki, bukiet ryb i owoców morza, deser. Pokazywał swojej dwadzieścia lat młodszej kobiecie, że te światła po przeciwnej stronie zatoki to już Arabia Saudyjska. „Bardzo bogaty kraj” – mówił głośno po rosyjsku, chcąc popisać się wiedzą nie tylko przed partnerką, ale także przed sąsiednimi stolikami. Wiedzy jednak brakowało. Powtórzył więc raz jeszcze z namaszczeniem, że „to bardzo bogaty kraj”, i na tym poprzestał. Wkrótce przynieśli jedzenie. Zawartość kraba wysysał z lubością jak coś przynależnego. Na wakacjach, od razu widać, że na zasłużonych wakacjach. Dlatego mówił głośno, wskazywał przeciwny brzeg, wysysał szczypce kraba. Nie rozmawiał, lecz rozprawiał. Długonoga Rosjanka nie odzywała się.

Aż wreszcie ucichł. Ogarnęła go senność, patrzył na świat pustymi oczami i nic już nie mówił. Zdaje się, że poczuł swoją skończoność. Stać go na wszystkie owoce morza w restauracji Shark, w której kelnerzy mówią po rosyjsku, ale na końcu zamiast błogiej sytości poczuł niemy i bezsensowny ciężar. Wakacje przegasyły.

Darmo

Domy w Magnie kryły się za murami z surowej cegły, wiał wiatr. Nad morzem leżała wielka drewniana szpula po kablu. Chyba zapomniano jej zabrać. Było też trochę porzuconego betonu, śmieci, kilka wraków samochodów i zero infrastruktury turystycznej. Na wzgórzach rozciągały się gaje palmowe. Miejscowe chłopaczki rozbiły się starymi pick-upami. Chcieli, żebym robił im zdjęcia i wysyłał przez WhatsAppa. Można było na mnie liczyć. Znalazł się nawet miejscowy jurodiwa, magnijski Wasyl Błogosławiony. Wchodził do sklepu prowadzonego przez Bengalczyka, witał się ze wszystkimi, obchodził półki, klepiąc ręką cały towar, a następnie wychodził. Bengalczyk zaś zapytał mnie, czy jestem z Korei Południowej czy Północnej. O różne rzeczy mnie w życiu pytano, ale o to po raz pierwszy.

Saudyjski koniec świata. Środek plaży zajmowało wojsko. Teren otaczał drut kolczasty i melancholia zastygłej materii. Gdyby to była Rosja, na pewno istniałaby tu pograniczna. Na jeździe stałby szlaban, a pogranicznicy w pustynnych moro sprawdzaliby przepustki wydawane przez FSB.

Było kilka prostych smażalni ryb. Nikt nie mówił ani po angielsku, ani po rosyjsku, więc sam wybierałem rybę z plastikowego pojemnika. Leżały na lodzie i miały ślepe oczy. Zanim ją zjadł, musiałem się z tym zmierzyć. Gdy przyszło do placenia, okazało się, że właściciel nie chciał pieniędzy. Inny za falafela też nie chciał. Jeszcze inni zaprosili mnie na kurę z ryżem, którą ugotowali na butli gazowej w plenerze. Roz-

Zrobiło się pięknie. Jedziesz stopem z afgańskim Pasztunem przez Arabię Saudyjską i słuchasz jakuckiego rapu.

Biegun ciepła połączył się z biegunem zimna, jeden koniec Azji z drugim.

kładali dywany na kamienistym podłożu i urządzali sobie pikniki. Sami faceci, kobiety zostawały w domach. Cztery razy z rzędu zjadłem w Magnie za darmo, za piątym uparłem się, że tym razem zapłacę. Prawie jak na Czulkotce, tylko że bez równouprawnienia.

Wieczorami siadałem na powalonym pniu palmy i patrzyłem na bezalkoholowe zachody słońca chowającego się za postrzępione góry Synaju. Czekałem, aż zapalą się światła w Dahab i miasto stanie się widzialne, wyodrębni się z jednolitego brzegu rysują-

cego się po drugiej stronie Zatoki Akaba. Z meczetów rozlegały się wielokrotniony *azan* i czekały psy. Kilka sklepików, falafelownia i smażalnia rybna Maguena zamykały się na czas modlitwy. Siedziałem i czekałem. Nie wiedziałem, że światła Dahab są brzemienne w śmierć, że zapowiadają śmierć.

Sosna

W Szczecinie krematorium było nieczynne, więc kremowali go w Policach. Tak chciał. Nie wiedziałem, o której, ale i tak pojechałem, żeby nie był sam. Krematorium znajdowało się przy ulicy Usługowej, na przemysłowych przedmieściach. Chaszcze, kałuże, bezdotykowa myjnia samochodowa, wędzarnia i wyglądające jak bunkry zabudowania dawnej niemieckiej fabryki benzyny syntetycznej. Fabryka zaopatrywała w paliwo Luftwaffe, Kriegsmarine i Wehrmacht, dlatego całe miasto bombardowali bez litości, aż nie zostało prawie nic.

Nad chromowanym kominem falowało ciepłe powietrze. Kremowali w sosnowej trumnie. Surowe drewno, wciąż z namiastką żywicznego zapachu. Ciało, sosna, ogień – wszystko się mieszało. Lutowe słońce było czyste, niebo przetarte. Wojna miała się zacząć dopiero jutro. Patrzyłem, skąd wieje. Jak zawsze, z zachodu na wschód. Wiatr niósł atomy ponad beznieżną zimą, wolną od kry Odrą, wilgotnymi polami. Były bezwłose, beznogie, bezigielne. Gubiły ciepło, gasły.

Traktor, czołg, flagę i tryzub Egipcjanie zamalowali na białe. Zostawili tylko błękitne niebo i maki wystające z niewidzialnej lufy. Wyglądało na to, że bukiet kwiatów lewituje w powietrzu. Rzeczywistość została wymazana. Chcemy w Egipcie wakacji, a nie wojny. Wojna jest nam nie na rękę, nie na kieszeń.

Czołg nie zniknął. Tkwi pod białą farbą i koroduje. Ktoś go powinien odmalować wraz z traktorem, bo inaczej zarazi korozją całe miasto.

Patrzę na drugi brzeg Zatoki Akaba. Słońce zeszło, kraj obraz szarzeje. Coś się zepsuło. Nie rabotajet. Czekam, aż na horyzoncie zapalą się światła Magny. © MICHAŁ MILCZAREK

Autor (ur. 1981) jest wykładowcą w Instytucie Filologii Wschodniosłowiańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wydał książki na temat myśli rosyjskiej „Z martywch was wskresimy. Filozofia Nikołaja Fiodorowa” oraz „Drzewo życia. Fenomen Wasilija Rozanowa”. Za reportaż „Donikąd” (Czarne, 2019) był nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia i Nagrody im. Macieja Kuczyńskiego oraz w konkursie Travelery 2019.

STANISŁAW

Mancewicz:

Kultura palenia



OSTATNIA AWANTURA W SPRAWIE LITERATURY prędko ucichła. Jak zresztą każda wywołana z dowolnego powodu. Te marne ścichnięcia zawsze martwią, że oto malowniczo wściekli, tak prędko się wypalamy i gaśniemy. Szkoda. Przykre. Bo kultura i sztuka

– o które nam tu bezustannie idzie – są przecież zawsze żywe i warte każdego kwiku-krzyku. One istnieją, dzieją się, a literatura – zważmy – się pisze, czasem wręcz pisze się sama. A najlepiej, by spierali się ci, którzy ją rozumieją, z tymi, którzy jej nie rozumieją. Tak by było najpiękniej dla naszej kultury, jałowe spory bowiem zawsze ją wzbogacają.

Czy – jak tu ponuro siedzimy – mamy do kogoś pretensje, że czegoś w literaturze nie rozumiemy? Że coś nas w książkach przerasta? Że jakiś rozmiar literacki na nas nie pasuje? Że jesteśmy – do diaska – za chudzi bądź za grubi na jakiś tom lub tomik? Że czasem, przewracając stronicę – dla przykładu, powieści B. Wildsteina – patrzymy na nie, na te stronicę, jak wół na malowane wrota? Nie. Nigdy nie mamy pretensji do autorów, że napisali coś tak, nie tak albo owak, słabo albo za dobrze. Cudze prace piśmienne studiuje zawsze z pokorą, w mnisim skupieniu, podczas czytania staramy się zawsze i bardzo, bo staranie w zrozumieniu literatury jest niezbędne. Powtórzmy: wysiłek jest w czytaniu konieczny, tak jak jest oczywisty, gdy się stawia literki, które przecież nie zawsze układają się w tak ładne, jak te, zdania. Spieramy się. Owszem, gdy ktoś nam mówi, że czytanie czegoś nie ma sensu. Tak, popisy nieczytaniem są jedną z najczęściej słyszanych deklaracji w czasach ogólnego bezwstydu. „Nie czytam, więc jestem mądry” – tego typu, modna ostatnio, manifestacja może wynikać z różnych

powodów, np. ewolucyjnego odlepienia się układu limbicznego od pnia mózgu. Najbardziej oczywiście lubimy, gdy te nabrzmiałe godnością oświadczenia składają publicznie ludzie z doktoratami. To daje wyobrażenie, że nikomu już lekko w świecie akademickim nie jest, a będzie ciężiej.

Idźmyż dalej, nikt bowiem nie woła. Otóż delikatne powyższe napomknięcie, że literatura pisze się czasem sama, bo niepotrzebna jest do tej czynności ani myśl, ani trening chwytu pisarskiego, wymaga oczywiście rozszerzenia i wyjaśnienia. Niezbędny będzie nam cytat, na którego poszukiwanie nie straciliśmy wiele z naszego cennego czasu. Oto on: „Jako Solidarna Polska bronimy nie tylko polskiego węgla, ale i polskiego drewna, które przez lata było objęte pewną polityką wstydu. Dzisiaj, w obliczu kryzysu energetycznego, bronimy drewna. Przywracamy kulturę palenia drewnem”. Są to słowa rzecznika prasowego Lasów Państwowych i polityka Solidarnej Polski Michała Gzowskiego. Trzy zdania, trzy myśli, trzy powody, by się zastanowić nad przeszłością, teraźniejszością i przyszłością naszej ojczyzny.

Po pierwsze, to jest literatura, która – zważmy – napisała się zupełnie sama. Choć nie. Po chwili namysłu podaliśmy w wątpliwość jej samorództwo. Jednak, podobnie jak dalekie mruganie Merkurego, literatura ta nie wzięła się znikąd, jest odbłyśkiem, a może odbiciem po czymś ciężkostrawnym, kupionym w skupie runa leśnego. Po drugie – sens tej literatury wynika z poziomu nauczania co najmniej dwu podstawowych przedmiotów, któremu był poddany w obowiązku szkolnym obecny rzecznik przedsiębiorstwa Lasy Państwowe. Mamy tu na myśli naukę historii i języka polskiego. Ten człowiek został oszukany, nie uczono go ani jednego, ani drugiego. Po trzecie wreszcie, sformułowanie, deklaracja, obietnica, a może groźba „przywrócenia kultury palenia drewnem” wywołuje w nas i strach, i ciekawość. To ociera się o geniusz. Niechący, ale się ociera. No więc przypomnijmy, bo tego nigdy za wiele: znudziła wam się ongiś ciepła woda w kranie? Gryzła was polityka wstydu? To fajnie. Brak ciepłej wody, palenie parkietem i meblami wynagrodzi wam już niebawem samorodna literatura godnościowa, samopisząca się w głowach ludzi Zbigniewa Ziobry i Jarosława Kaczyńskiego. Już wam wynagradza, ale będzie lepiej. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ





Napisz własną historię kuchenną

Do każdej prenumeraty autorski, wyjątkowy notes kulinarny „Smaki” w prezencie. 12 sezonów, przepisy, rozmowy, eseje, autorskie ilustracje – **i Twoja opowieść.**

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00
od poniedziałku do piątku
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00
pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny**		
+ 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES||manago
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

FESTIWAL

re:tradycja

JARMARK JAGIELLOŃSKI

REKLAMA

RETRADYCJA.EU

19 — 21

SIERPANIA

20
22



STARE MIASTO
LUBLIN

FESTIWAL MUZYKI I RZEMIOSŁA TRADYCYJNEGO

ORGANIZATORZY/ORGANISERS

PATRONAT HONOROWY/HONORARY PATRONAGE

MECENAS/PATRON

PARTNER

